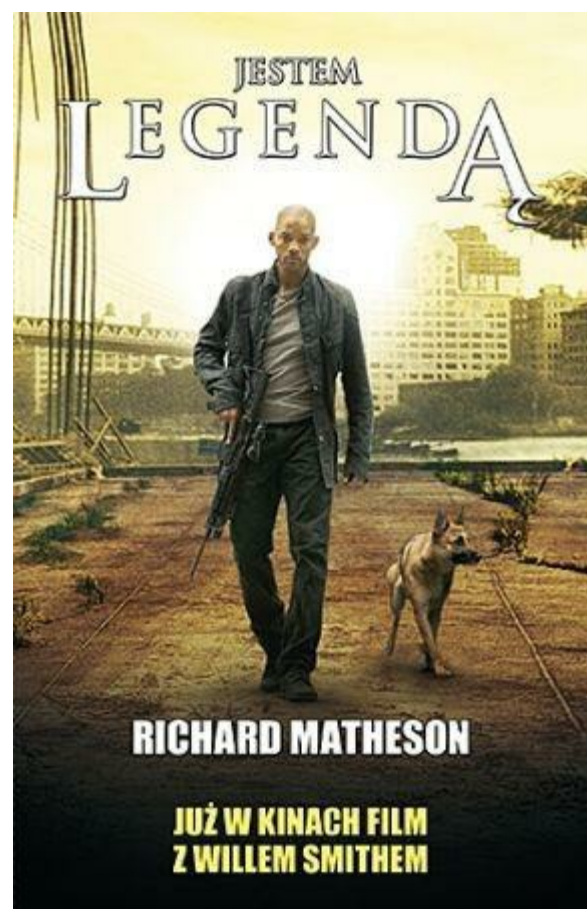


JESTEM
LEGENDA



RICHARD MATHESON

**JUŻ W KINACH FILM
Z WILLEM SMITHEM**



Richard Matheson

JESTEM LEGENDĄ

przełożył Wojciech Kustra

HENRY'EMU KUTTNEROWI

z podziękowaniem za pomoc i zachętę w pracy nad powstaniem tej książki

CZEŚĆ PIERWSZA STYCZEŃ 1976

Rozdział 1

Robert Neville nie był pewien, kiedy w te pochmurne dni zachodziło słońce. Czasem nie zdążył wrócić do domu, gdy na ulicach pojawiali się oni.

Gdyby zechciał zadać sobie trochę trudu, można było mniej więcej obliczyć czas ich przybycia, ale nawykowo już spoglądał w niebo w oczekiwaniu zapadającego zmierzchu. Choć robił tak od lat, sposób ten nie sprawdzał się podczas złej pogody. Wolał więc w pochmurne dni nie oddalać się nazbyt od domu.

W monotonnej szarości popołudnia chodził wokół domu z papierosem tkwiącym w kąciку ust. Nić dymu snuła się leniwie ponad jego ramieniem. Oglądał każde okno, sprawdzał, czy mocno tkwią w nich deski. Często deski pękały po gwałtownych atakach z ich strony, odpadały i musiał je zastępować nowymi. Nie znosił tego zajęcia. Tamtego dnia naruszona była tylko jedna deska.

„Czy to nie dziwne?” - pomyślał.

Z tyłu domu obejrzał cieplarnię i zbiornik na wodę. Niekiedy naruszone było zamocowanie zbiornika; rynny doprowadzające deszczówkę mogły być wygięte albo oderwane. Czasem duże kamienie, które rzucali, przelatowały wysokim łukiem ponad ogrodzeniem wokół

cieplarni i przebijały rozpiętą nad nią siatkę. Trzeba było potem wymieniać w dachu szyby.

Tego dnia nie było szkód w zbiorniku na wodę ani w szklarni.

Wrócił do domu po młotek i gwoździe. Otworzywszy drzwi zobaczył

swoje zniekształcone odbicie w pękniętym lustrze, które przed miesiącem sam zamocował. Za kilka dni pewnie potłuczone kawałki srebrnego szkła zaczną odpadać.

„Niech tam!” - pomyślał. To już ostatnie lustro, które tam powiesił.

Szkoda było roboty. Zamiast lustra do tego celu używał też czosnku. Ten zawsze okazywał się skuteczny.

Powoli przeszedł przez milczący półmrok dużego pokoju, skręcił w lewo i przez niewielki hol udał się do swojej sypialni.

Kiedyś był to przytulny pokój, ale to już inne czasy. Teraz sypialnia stała się pomieszczeniem przede wszystkim funkcjonalnym. Biurko i łóżko Neville'a zajmowało niewiele miejsca, więc całą jedną część pokoju zamienił na warsztat.

Długa ława zajmowała niemal ścianę. Na jej twardej, drewnianej powierzchni leżała ciężka piła taśmowa, imadło, tokarka do drewna i tarcza szlifierska. Ponad ławą, na ścianie zamocowane były rozmaite półki i wieszaki z narzędziami, których używał Robert Neville.

Wziął z ławy młotek, a z byle gdzie stojących puszek wyjął kilka gwoździ. Potem wyszedł na zewnątrz, by przybić deskę w okiennicy.

Pozostałe gwoździe wyrzucił na stos gruzu, znajdujący się za ogrodzeniem.

Jeszcze przez chwilę stał na trawniku przed domem, spoglądając to w górę, to w dół ulicy Cimarron. Panował spokój. Robert Neville był

wysokim, trzydziestosześcioletnim mężczyzną. W jego żyłach płynęła krew niemiecka i angielska. Nie miał żadnych cech szczególnych za wyjątkiem szerokich, wyraźnie zarysowanych ust i jasnobłękitnych oczu, które spoglądały teraz na zgliszcza po obu stronach domu, w którym mieszkał. Sam postanowił spalić stojące tam domy, aby oni nie mieli do niego łatwego dostępu z przylegających dachów.

Po kilku minutach westchnął głęboko i wrócił do domu. Rzucił

młotek na kanapę w dużym pokoju i zapaliwszy papierosa zaczął popijać nie pierwszego już porannego drinka.

Potem zmusił się, by pójść do kuchni i powybierać śmieci ze zlewu, które wrzucał tam przez ostatnie pięć dni. Nie chciało mu się też palić tekturowych talerzy i sztućców, odkurzać mebli, myć zlewu, wanny i ubikacji, zmieniać swojej pościeli, choć dobrze wiedział, że trzeba było to już zrobić.

Był jednak samotnym mężczyzną, dla którego rzeczy te nie miały żadnego znaczenia.

Dochodziło już prawie południe. Robert Neville był w szklarni, zebrawszy już prawie cały koszyk czosnku.

Kiedyś zapach czosnku w takich ilościach przyprawiał go o mdłości; czuł, że wnętrzności wywracają się w nim. Teraz już woń czosnku rozniosła się po całym domu, przesiąknęły nią jego ubrania, a mimo to Neville nie zwracał już na nią uwagi.

Zabierając ze sobą dość główek czosnku, wrócił do domu i wyrzucił

je przy zlewie, tam, gdzie odstawia się do wyschnięcia umyte naczynia.

Pospiesznym ruchem ręki przy ściennym wyłączniku zapalił światło, które najpierw zamigotało, a potem rozblęskło pełną jasnością. Syknął z oburzenia przez zaciśnięte zęby. To oznacza kolejny kłopot z prądnicą.

Będzie musiał znów wyjmować tę cholerną instrukcję i sprawdzać instalację. A jeśli naprawa okaże się zbyt poważna, trzeba będzie podłączyć nową prądnicę.

Ze złością pchnął w kierunku zlewu jeden z taboretów na długich nogach, wziął nóż i usiadł westchnąwszy ze zmęczenia.

Najpierw podzielił główki czosnku na małe ząbki przypominające kształtem sierpy. Potem poprzecinał je na połówki. Każdy z nich był

różowawy, przypominający w dotyku skórę i po przecięciu odsłaniał

mięiste kielki. Powietrze stało się natychmiast ciężkie. Pokój napełniał

piżmowy, gryzący zapach. Gdy stał się nie do zniesienia, Neville szybkim ruchem dłoni włączył klimatyzator, który natychmiast wessał to, co w woni czosnku było najbardziej przykre...

Potem sięgnął ręką w górę po nóż do rozbijania lodu, który leżał na półce z narzędziami. W każdym przeciętym ząbku czosnku zrobił otwory i ponawlekał na kawałki drutu. Wyszło razem około dwudziestu pięciu obręczy.

Najpierw wieszał je na oknach. Jednak rzucając przez nich kamienie dosięgały okien nawet ze znacznej odległości. Musiał wtedy w miejsce powybijanych szyb wstawiać kawałki sklejk. W końcu pewnego dnia zerwał sklejki i w jej miejsce poprzybijał jedna obok drugiej całe deski.

Jego dom przypominał teraz ponure wnętrze jakiegoś grobowca, ale było to lepsze niż wpadające do pokojów kamienie i hałas tłuczonego szkła.

Poza tym, kiedy zainstalował w domu trzy klimatyzatory, nie było aż tak źle. Jeśli trzeba, człowiek przyzwyczai się do wszystkiego.

Uporawszy się z wiązaniem czosnku poszedł na zewnątrz, aby przymocować go do desek, którymi zabite były okna. Ściągał przy tym stare wiązki, ich wietrzejący zapach nie był już tak ostry.

Całą tę procedurę musiał powtarzać dwa razy w tygodniu. Dopóki nie znalazł czegoś lepszego, była to jego jedyna linia obrony.

„Obrony?” - myślał często - „ale po co?”

Całe popołudnie zajęło mu robienie drewnianych żerdzi.

Toczył je z grubych kawałków, które przecinał piłą taśmową na krótsze, długości około dwudziestu centymetrów. Dociskał je do wirującego koła szmerglowego tak długo, aż ich ostrza stawały się jak sztylety.

Było to zajęcie monotonne i męczące. Powietrze napełniało się gorącą wonią drewnianego pyłu, który osiadał na ciele, wnikał w pory, przedostawał się do płuc i powodował kaszel.

Poza tym wydawało się, że praca ta nigdy nie posuwa się naprzód.

Niezależnie od tego, ile żerdzi przygotował, znikwały w mgnieniu oka.

Coraz trudniej było znaleźć odpowiednie kawałki drewna. W końcu trzeba było toczyć belki.

„Z tym dopiero będzie zabawa” - myślał poirytowany.

Wszystko to było niezmiernie przygnębiające i wiele razy postanawiał sobie, że rozejrzy się za jakimś lepszym sposobem, aby się ich pozbyć. Jakże jednak miał to zrobić, skoro nigdy nie dawali mu szans, żeby zwolnić tempo i trochę pomyśleć.

Tocząc żerdzie słuchał muzyki, która dochodziła z głośnika w sypialni. Były to płytowe nagrania Beethovena, *Trzeciej*, *Siódmej* i *Dziewiątej Symfonii*. Zadowolony był, że za młodu matka nauczyła go doceniać taką muzykę, która pomagała mu wypełnić dręczącą pustkę kolejnych godzin.

Od czwartej jego wzrok uparcie kierował się na ścienny zegar.

Robert Neville pracował w ciszy. Jego wargi były mocno zaciśnięte, w kąciку ust tkwił papieros. Oczy z uwagą wpatrywały się w obracającą się tarczę, która nadgryzała kolejne kawałki drewna, obsypując podłogę mącznym pyłem.

Czwarta piętnaście, czwarta trzydzieści, za piętnaście piąta. Jeszcze godzina i znowu nadejdą. Parszywe bękarty, pojawiają się, jak tylko zapadną ciemności.

Stał przed gigantyczną zamrażarką, próbując wybrać coś na kolację.

Jego zmęczone oczy patrzyły na sterty mięsa leżące na górnych półkach, potem na mrożone jarzyny, jeszcze niżej pieczywo, mrożone łakocie i wreszcie lody.

Sięgnął po dwa kawałki baraniny na kotlety, fasolkę szparagową i karton pomarańczowego sorbetu. Wyjął to z zamrażarki i trzymając w dłoniach, pchnął łokciem drzwi.

Potem podszedł do sterty puszek, piętrzącej się aż po sufit. Zdjął

jedną z soki pomidorowym. Było to w pokoju, który kiedyś należał do Kathy, a teraz służył jedynie potrzebom jego żołądka.

Powoli przeszedł przez duży pokój, spoglądając na fototapetę, która ozdabiała tylną ścianę. Przedstawiała klifowy brzeg, który osuwał się w zielonobłękitny ocean. Jego wody burzyły się i roztrzaskiwały o czarne skały.

Wysoko ponad nimi, na przejrzystym, błękitnym niebie białe mewy dryfowały na wietrze. A jeszcze wyżej, po prawej stronie jakieś wykrzywione, sękate drzewo pochylało się nad przepaścią, a jego ciemne gałęzie odcinały się wyraźnie na tle błękitnego nieba.

Neville wszedł do kuchni i rzucił na stół przyniesione pakunki. Jego oczy powędrowały ku zegarowi. Za dwadzieścia szósta. Już niedługo.

Do niewielkiego garnka nalał trochę wody i postawił go z brzękiem na elektrycznej kuchence. Potem rozmroził mięso i włożył je do piekarnika. Woda w garnku wrzała. Wrzucił do niej zamrożone szparagi i przykrył garnek. Pomyślał przy tym, że piec elektryczny tak okrada prądnicę z energii.

Przy stole ukroił sobie dwie kromki chleba i nalał szklanekę soku pomidorowego. Usiadłszy spojrzął na cienką, czerwoną wskazówkę, która, odliczając sekundy, przesuwała się wolno wokół tarczy. Te dranie powinny tu wkrótce być.

Wypił sok i przez drzwi frontowe wyszedł na werandę. Zszedł na trawnik, potem jeszcze niżej, do chodnika. Niebo robiło się coraz ciemniejsze i robiło się coraz chłodniej. Popatrzył w jedną, potem w drugą stronę ulicy Cimarron, a zimny powiew wiatru zmierzwił jego jasne włosy. Tak, to właśnie był problem, w pochmurne dni nie było wiadomo, kiedy przychodzą.

„No, wolę już ich niż te przeklęte kurzawy”. Wzruszył ramionami i wrócił do domu, idąc w poprzek trawnika. Przekręciwszy klucz w drzwiach, zasunawszy rygiel i włożywszy grubą szynę, która zabezpieczała drzwi, wrócił do kuchni, obrócił na drugą stronę nastawione kotlety i wyłączył palnik pod fasolą.

Nakładał sobie właśnie jedzenie na talerz, kiedy nagle zatrzymał się i spojrzął na zegar. Dwadzieścia pięć po szóstej. Ben Cortman krzychał.

- Wychodź, Neville!

Robert Neville usiadł i odetchnąwszy zaczął jeść.

Potem usiadł w dużym pokoju, usiłując coś czytać. Korzystając ze swojego niewielkiego barku, zrobił sobie drinka. Whisky z wodą sodową.

Trzymał teraz szklankę, czytając jakiś artykuł na temat fizjologii. Z

głośnika zawieszzonego ponad drzwiami, które prowadziły do holu, dobiegała głośna muzyka. To był Schönberg.

Nie była jednak wystarczająco głośna. Dochodziły do niego z zewnątrz ich głosy, pomruki, słyszał ich kroki wokół domu, krzyki i warknięcia. Wydawali takie odgłosy, walcząc między sobą. Co jakiś czas cegła albo duży kamień uderzył w ścianę domu. Czasem zaszczekał pies.

Wszyscy oni przychodzili z tego samego powodu.

Robert Neville zamknął na chwilę oczy i zacisnął mocno wargi.

Potem otworzył oczy i zapalił jeszcze jednego papierosa, wciągając dym głęboko w płuca.

Pomyślał, że gdyby było więcej czasu, mógłby uszczelnić dom tak, aby nie musiał słuchać odgłosów dochodzących z zewnątrz.

„No, może nie było aż tak źle” - myślał. Jednak mimo wszystko po pięciu miesiącach te głosy działały mu na nerwy.

Potem już nigdy na nich nie patrzył. Na początku w jednym z okien z przodu domu zrobił otwór, przez który mógł obserwować, co działo się na zewnątrz. Dostrzegły to jednak kobiety i przybierając rozmaite lubieżne pozy, starały się go omamić i zwabić na zewnątrz. Nie chciał na to patrzeć.

Odłożył książkę i ponurym wzrokiem wpatrywał się w dywan, kiedy z głośnika dochodziły dźwięki „Verklärte Nacht”. Mógł wprawdzie włożyć do uszu zatyczki, żeby odizolować się wreszcie od ich głosów, ale wtedy nie słyszałby także muzyki, a nie chciał przyznawać się do tego, że się ich bał.

Znów zamknął oczy. To te kobiety tak dawały mu w kość.

Wystawiają w mroku swe lubieżne ciała, licząc na to, że on je ujrzy i zdecyduje się opuścić swoją kryjówkę.

Przeszły go ciarki. Każdej nocy było to samo. Najpierw czytał i słuchał muzyki. Potem zastanawiał się nad uszczelnieniem ścian, później na myśl przychodziły mu te kobiety.

Gdzieś w głębi jego ciała znów pojawiło się i zaczęło wzbierać to palące ciepło. Zacisnął znów usta, aż zrobiły się białe. Znał dobrze to uczucie. Do pasji doprowadzało go to, że nie był w stanie mu się przeciwstawić. Wzbierało i narastało w nim, aż nie mógł spokojnie usiedzieć. Wtedy wstawał, chodził po pokoju z zaciśniętymi pięściami, aż odpływała z nich krew. Myślał o tym, żeby nastawić projektor filmowy, może coś zjeść, może za dużo wypić albo włączyć muzykę na cały

regulator. Musiał się czymś zająć, kiedy bardzo zaczynało go to dręczyć.

Czuł, że jego mięśnie brzucha kurczą się jak zwijające się spirale.

Wziął książkę i znów próbował czytać, wypowiadając wargami powoli i boleśnie każde słowo.

Ale już po chwili odłożył książkę na kolana. Spojrzał na regał z książkami stojący naprzeciwko. Cóż z tego, skoro cała zawarta w nich wiedza nie była w stanie ugasić ognia, który w nim płonął. Wszystkie wypowiadane przez wieki słowa zdały się na nic wobec bezgłośnego i bezdusznego płomienia, który trawił jego ciało.

Na samą myśl dostawał mdłości. Godziło to w jego męskość. No dobrze, były to naturalne pragnienia, ale nie znajdował dla nich ujścia. To oni narzucili mu życie w celibacie, nic innego mu nie pozostaje.

- Od czego masz rozum - mówił sam do siebie - używaj go!

Wyciągnął rękę, żeby puścić muzykę głośniejszą, potem zmusił się do przeczytania całej strony bez przerwy. A czytał o krwinkach, które przechodzą przez błony, o limfie przenoszącej zbędne produkty kanalikami, które mogą się zatkać, o limfocytach i fagocytach.

- „...które znajduje ujście w rejonie lewego ramienia, w okolicy gardła do dużej żyły układu krwionośnego”.

Zamknął książkę z głuchym odgłosem. Czemu nie zostawią go w spokoju? Czy są aż tak głupi, by sądzić, że starczy go dla nich wszystkich?

Dlaczego przychodzą co noc? Po pięciu miesiącach można by sądzić, że dadzą mu spokój i spróbują gdzie indziej.

Poszedł znów do barku po kolejnego drinka. Kiedy wracał, by usiąść na tym samym miejscu, usłyszał kamienie spadające po dachu, z głuchym odgłosem lądujące w krzakach, obok domu. Odgłosy te mieszały się z krzykiem Bena Cortmana, którego słyszał już wiele razy.

- Wychodź, Neville!

„Któregoś dnia dopadnę tego drania” - myślał, pociągając tęgi łyk.

„Kiedyś jeszcze wbiję żerdź w ten parszywy tułów, już ja przygotuję dla niego żerdź, taką trzydziestocentymetrową, specjalnie dla tego drania ozdobię ją wstęgami”.

Jutro, na pewno jutro uszczelni dom. Jego palce niemal wbijały się w zaciśnięte pięści. Nie umiał dłużej znieść myśli o tych kobietach. Gdyby ich nie słyszał, być może nie myślałby o nich. Jutro, zrobi to na pewno już jutro.

Muzyka skończyła się. Zdjął płytę z talerza i schował ją do koperty.

Tym wyraźniej dały się słyszeć dźwięki dochodzące z zewnątrz. Sięgnął po pierwszą z brzegu płytę i nastawił ją najgłośniejszą, jak było to możliwe.

Rozległa się muzyka „Roku plag” Rogera Leie. Był w niej zgrzyt i pojękiwanie skrzypiec. Bębny wydawały głuche odgłosy przypominające uderzenia umierającego serca. Flety grały, jakby fałszując jakąś atonalną melodię.

Tężała w nim złość. Gwałtownym ruchem chwycił płytę i roztrzaskał

ją o prawe kolano. Miał to zrobić już dawno. Na sztywnych nogach poszedł do kuchni i wrzucił do kosza na śmieci to, co z niej pozostało. Stał

tak w ciemnej kuchni z mocno zamkniętymi oczyma, zaciśniętymi ustami, przyciskając dłonie do uszu. Zostawcie mnie. Zostawcie mnie w spokoju.

ZOSTAWCIE MNIE!

Na próżno, nocą nie można było ich pokonać. Nie warto nawet próbować. To dla nich szczególna pora. Zachował się głupio, próbując się z nimi zmagać. Może by obejrzeć jakiś film? Nie, nie ma ochoty na ustawianie projektora. Pójdzie do łóżka, wkładając do uszu zatyczki. Tak to się kończyło co wieczór.

Pospieszenie, starając się o niczym nie myśleć, poszedł do sypialni i rozebrał się. Ubrał spodnie od piżamy i poszedł do łazienki. Nigdy nie ubierał góry. Nauczył się tak w Panamie, podczas wojny.

Mył się i spoglądał na swój szeroki tors, na czarny zarost, który kłębił się na piersiach i poniżej, wzdłuż linii biegnącej pośrodku brzucha.

Patrzył na ozdobny krzyż, który dał sobie wytatuować pewnej nocy w Panamie, kiedy był pijany.

„Jakimże byłem wtedy głupcem” - pomyślał. Cóż, być może ten krzyż ocalił mu życie.

Starannie oczyścił zęby, pomagając sobie jedwabną nitką. Starał się dbać o zęby, gdyż teraz on był swoim jedynym dentystą. Różne sprawy mógł zaniedbać, ale nie zdrowie.

„To dlaczego nie przestaniesz wlewać w siebie tyle alkoholu” -

pomyślał. - „Lepiej w ogóle się zamknij”.

Przeszedł teraz przez dom, wyłączając światła. Przez kilka chwil patrzył na fototapetę, próbując sobie wyobrazić, że jest to prawdziwy ocean. Jak jednak można było w to uwierzyć, słysząc dochodzące z zewnątrz uderzenia, skrobanie, wycie, warczenie i krzyki?

Wyłączył światło w dużym pokoju i poszedł do sypialni. Jęknął ze wstrętem zobaczywszy trociny, które pokrywały jego łóżko. Strzepał je pospiesznymi uderzeniami dłonią, myśląc, że musi jakoś odgradzić warsztat od części sypialnej pokoju. „Powinienem w ogóle zrobić jeszcze sto innych rzeczy” - pomyślał posępnie. Było ich do zrobienia tyle, że nigdy nie mógł zabrać się za rzecz

najistotniejszą.

Wcisnął do uszu zatyczki i pogрузił się we wszechogarniającej ciszy.

Wyłączył światło i wsunął się pod kołdrę. Spojrzał na fosforyzującą tarczę zegara. Było dopiero kilka minut po dziesiątej.

„Nie jest tak źle” - pomyślał - „przynajmniej krócej będę musiał ich znosić”.

Leżał tak w łóżku, poddając się panującej w pokoju ciemności. Miał nadzieję na szybkie nadejście snu. Cisza jednak nie bardzo pomogła.

Ciągle przed jego oczyma byli oni, ludzie o białych twarzach grasujący wokół domu, nieustannie węszący, jak mogliby go zdobyć. Niektórzy z nich najprawdopodobniej skuleni, przygotowani do skoku jak psy z błyszczącymi ślepiami utkwionymi w jego dom, powoli zgrzytający zębami.

No i te kobiety...

Czy znowu musiał o *nich* myśleć? Zaklął i przewrócił się na brzuch, wciskając twarz w ciepłą poduszkę. Leżał tak, ciężko oddychając i kręcąc się na prześcieradle. Niechże już będzie rano. Wypowiadał te słowa każdego wieczora. „Dobry Boże, niechże już będzie rano”.

Śniła mu się Virginia i krzyczał przez sen, a jego palce jakby w szale wczepiły się w prześcieradło.

Rozdział 2

Budzik zadzwonił o piątej trzydzieści. Robert Neville wyciągnął

ścierpniętą rękę w poranny smutek i nacisnął wyłącznik.

Potem sięgnął po papierosy. Zapalił jednego i usiadł na łóżku. Po chwili wstał, poszedł do dużego pokoju, wreszcie zbliżył się do judasza, by spojrzeć na zewnątrz.

A tam, na trawniku stały bezgłośnie ciemne postacie, nieruchome jak żołnierze na warcie. Kiedy tak na nie patrzył, niektóre zaczęły się poruszać i odchodzić. Słyszał, jak wymieniały pomruki niezadowolenia.

Minęła kolejna noc.

Wróciwszy do sypialni zapalił światło i zaczął się ubierać.

Nakładając koszulę słyszał, jak Ben Cortman krzyczał.

- Wychodź, Neville!

I na tym się kończyło. Odchodzili stąd słabsi, niż byli wtedy, gdy tu przybyli ostatniego wieczora.

Robert Neville już o tym wiedział. Chyba że ofiarą padał ktoś z nich. Robili to często. Nie było między nimi zgody. Ich potrzeba była jedynym motywem działania.

Ubrał się, a potem wzięwszy ołówek, chrząknął i zapisał, co trzeba było zrobić tego dnia.

Tokarka u Searsa

Woda

Sprawdzić prądnice

Kołki do desek (?)

To, co zwykle

Śniadanie zjadł w pośpiechu: szklanka soku pomarańczowego, grzanka i dwie filiżanki kawy. Zjadł szybko, myśląc, że dobrze byłoby mieć cierpliwość i jeść bez pośpiechu.

Po jedzeniu wyrzucił talerz i filiżankę do kosza i umył zęby.

„Przynajmniej jeden dobry nawyk” - pocieszał sam siebie.

Pierwsze, co zrobił po wyjściu na zewnątrz, było spojrzenie w niebo.

Było przejrzyste, dosłownie bez jednej chmurki. Będzie zatem mógł

gdzieś wyjść. To dobrze.

Przechodząc przez werandę, kopnął niechcący kawałki lustra.

„No tak, cholerny patent” - pomyślał - „tak, jak myślałem, rozbiło się”. Posprzątać postanowił później.

Jedno z ciał leżało na chodniku, drugie było częściowo w krzakach.

W obydwu przypadkach były to ciała kobiet. Właściwie prawie zawsze były to kobiety.

Otworzył drzwi garażowe i wyprowadził swoją furgonetkę marki Willys. Wokół panowała rzeźkość wczesnego poranka. Potem, wysiadłszy z auta otworzył tylne drzwi. Wciągnął robocze rękawice i podszedł do ciała leżącego na chodniku.

Ciągnąc je przez trawnik i wrzucając na brezentowe płótno myślał, że z całą pewnością w dziennym świetle nie było w nich nic pociągającego. Nie została w nich ani jedna krople. Ciała obydwu kobiet miały kolor ryb, które długo pozostawały bez wody. Zatrzasnął i zamknął

tylną klapę samochodu.

Następnie obszedł trawnik zbierając wszystkie kamienie i cegły.

Wkładał je do torby, którą także wrzucił do auta. Zdjął rękawice, poszedł

do domu, gdzie umył ręce i przygotował sobie lunch: dwie kanapki, kilka placków i termos z gorącą kawą.

Gdy się z tym uporał, poszedł do sypialni, skąd wziął torbę z przygotowanymi żerdziami. Przerzucił ją przez ramię i przypiął do futerału, w którym nosił młotek. Potem wyszedł na zewnątrz, zamknąwszy frontowe drzwi na klucz.

Nie zadawał sobie trudu, by tego ranka szukać Bena Cortmana, było tyle innych rzeczy do zrobienia. Przez chwilę przemknęło mu przez głowę, że postanowił przecież uszczelnić dom.

„Ech, do diabła z tą robotą” - pomyślał - „zrobię to jutro albo któregoś pochmurnego dnia.

Wsiadł do samochodu i rzucił okiem na swoją listę. „Tokarka u Searsa, to trzeba załatwić najpierw”. Naturalnie, kiedy pozbędzie się ciał.

Włączył silnik i pośpiesznie wycofał na ulicę, następnie skierował

auto ku Alei Compton. Tam skręcił w prawo i pojechał na wschód. Po obydwu stronach mijał stojące w ciszy domy. Także zaparkowane przy krawężnikach samochody były puste, jakby wymarłe.

Robert Neville spojrział na wskaźnik poziomu paliwa. Została jeszcze połowa baku. Tak czy inaczej może zatrzymać się przy Western Avenue, by go dopełnić. Bez sensu byłoby brać paliwo, które trzymał w garażu. Chyba że już w ostateczności.

Podjechał do opustoszałej stacji i zaciągnął hamulec. Wziął beczkę i przelał paliwo do baku, aż bursztynowy płyn buchnął z otworu i zaczął

strużką ściekać na cement.

Neville sprawdził też poziom oleju, wodę w chłodnicy i w akumulatorze, obejrzał opony. Wszystko było w porządku. Zazwyczaj samochód był w dobrym stanie, bo szczególnie się o niego troszczył. Jeśli coś zepsułoby się i nie mógłby wrócić do domu przed zachodem słońca...

Właściwie nie było sensu się o to martwić, bo gdyby się tak stało, byłby to koniec.

Jechał teraz w górę Alei Compton, mijając wysokie szyby naftowe.

Wszystkie uliczki, przez które przejeżdżał, były ciche. Nigdzie nie widać było żywej duszy.

Ale Robert Neville wiedział, gdzie byli.

Ogień palił się tam zawsze. Podjechał bliżej, nałożył rękawiczki i maskę przeciwgazową. Przez oszklone otwory widział całun czarnego jak sadza dymu, który unosił się nad ziemią. Rozległy obszar zamieniony został w gigantyczny dół. Było to w czerwcu 1975 roku.

Neville zatrzymał samochód i wyskoczył na zewnątrz zniecierpliwiony, by szybko uporać się z tym, co miał zrobić. Odrzucił zaczep i otworzył! klapę z tyłu samochodu. Potem ściągnął jedno z ciał i powlókł je na krawędź dołu. Postawił je tam na stopach i pchnął.

Ciało koziółkując stoczyło się po stromym zboczu i znieruchomiło na ogromnym stosie tłących się popiołów, na dnie dołu.

Wciągając ciężko powietrze, pobiegł z powrotem do furgonetki.

Zawsze, gdy tam był, miał wrażenie, że się dusi mimo nałożonej maski przeciwgazowej. Zaciągnął na krawędź dołu drugie ciało i zepchnął je w dół. Potem zrzucił jeszcze torbę z kamieniami, podbiegł do samochodu i szybko odjechał.

Po przejechaniu prawie kilometra ściągnął maskę i rękawiczki i rzucił je na tylne siedzenie. Otworzył usta i wciągnął w płuca świeże powietrze. Wyciągnąwszy ze schowka na rękawiczki butelkę, pociągnął

spory łyk ognistej. Potem zapalił papierosa i zaciągnął się dymem.

Niekiedy trzeba było przyjeżdżać w to miejsce codziennie przez całe tygodnie, co zawsze przyprawiało go o mdłości.

Gdzieś tam na dole była Kathy.

W drodze do Inglewood zatrzymał się przy sklepie, by wziąć trochę wody w butelkach.

Wszedł do sklepu. Panowała cisza. Jego nozdrza napełnił zapach psującej się żywności. Przechodził szybko między półkami, pchając przed sobą wózek. Na podłodze widać było grubą warstwę kurzu. Od ciężkiego zapachu rozkładających się produktów cierpła skóra. Zaczął oddychać ustami.

Butelki z wodą znalazł na tyłach sklepu, zobaczył tam także drzwi, a za nimi schody prowadzące na górę. Włożywszy do wózka wszystkie butelki poszedł na górę. Mógł tam być właściciel sklepu. Może przestraszony schował się tam.

Było ich dwoje. W dużym pokoju, na tapczanie leżała mniej więcej trzydziestoletnia kobieta, ubrana w czerwony szlafrok. Leżała tam z rękami złożonymi na brzuchu, jej pierś powoli unosiła się i opadała.

Jego dłonie jakby mimowolnym ruchem zaczęły manewrować przy żerdziach i futerale, w którym był młotek. Sprawiało mu to trudność, kiedy jeszcze żyli, zwłaszcza w przypadku kobiet. Odczuwał ów bezsensowny odruch, w którym spinały się jego mięśnie. Jakieś idiotyczne zahamowania, nie było przecież żadnych racjonalnych argumentów, które mogłyby je potwierdzić.

Kobieta nie wydawała żadnego dźwięku, tylko ciężko i gwałtownie wciągnęła powietrze. Wchodząc do sypialni, usłyszał dźwięk podobny do lejącej się wody.

„Taak, co więcej mogę zrobić?” - zadał sobie w duchu pytanie, ponieważ ciągle jeszcze musiał

siebie przekonywać o słuszności tego, co robi.

Staął w drzwiach prowadzących do sypialni, wpatrując się w niewielkie łóżko stojące przy oknie. Przełknął ślinę. Jego oddech stał się nierówny. Poddając się jednak jakiejś sile, która pchała go naprzód, podszedł do łóżka i spojrzał z góry na leżącą tam kobietę.

„Dlaczego one wszystkie wydają mi się podobne do Kathy?” -

pomyślał, wyciągając drżącą dłonią kolejną żerdź.

Jadąc bez pośpiechu do Searsa, próbował zapomnieć o tym, co się przed chwilą stało. Zastanawiał się, czy skuteczne są tylko drewniane żerdzie. Jechał pustą aleją, na której jedynym słyszalnym dźwiękiem był

stłumiony warkot jego silnika. Wydawało się niesłychane, że dopiero po pięciu miesiącach zaczął się nad tym zastanawiać.

Zrodziła się w nim następna wątpliwość. Jak to się dzieje, że zawsze zdołał trafić w serce? Trzeba było trafić w serce. Tak twierdził dr Bush.

Ale on, Neville, nie znał się na anatomii.

Zmarszczył brwi. Irytowało go, że tak długo uprawia ten ohydny proceder i dotychczas ani razu nie przyszło mu do głowy, by coś w nim zakwestionować.

Potrząsnął głową.

„Nie” - pomyślał - „powinienem to wszystko dokładnie przemyśleć, zebrać wszystkie pytania, zanim spróbuję na nie odpowiedzieć. Trzeba to zrobić właściwie, naukowo.

„Tak, tak” - myślał - „znowu kłania się stary Fritz”.

Tak nazywał się jego ojciec. Neville go nienawdził. Zwaleni każdy przejaw logiki ojca, którą po nim odziedziczył, pozornej mechanicznej łatwości, którą widać było na każdym kroku. Ojciec umarł, aż do samego końca niezwykle stanowczo zaprzeczając istnieniu wampirów.

U Searsa dostał tokarkę, załadował ją do samochodu i poszedł się rozejrzeć po sklepie.

Było ich pięciu w piwnicy. Chowali się w różnych zacienionych miejscach. Jednego znalazł w środku wystawionej lodówki. Kiedy zobaczył człowieka leżącego tam, jakby w emaliowanej trumnie, roześmiał się. Cóż za dziwne miejsce wybrał sobie na schronienie.

Potem przyszło mu do głowy, jak bardzo pozbawiony humoru jest świat, w którym żyje, skoro śmieszne wydają mu się rzeczy takie jak ta.

Około drugiej zatrzymał samochód i zjadł przygotowany wcześniej lunch. Wydawało mu się, że wszystko przesiąknięte jest zapachem czosnku. Skłoniło go to do zastanowienia się nad tym, jaki

wpływ miał na nich czosnek. To chyba zapach był dla nich odstrasający. Ale dlaczego?

Wszystko to było dziwne, wszystkie związane z nimi fakty, to, że szukali schronienia w ciągu dnia, że unikali czosnku, że można było ich uśmiercić przy pomocy żerdzi, że podobno obawiali się krzyży, że przerażały ich lustra.

Weźmy na przykład to ostatnie. Jeśli wierzyć legendzie, byli niewidoczni w lustrach, ale Neville wiedział, że to nieprawda. Tak samo nieprawda jak to, że zamieniają się w nietoperze. Był to przesąd, któremu kłam zadawała logika, a także fakty, które można było zaobserwować.

Równie niemądre było przekonanie, że zamieniają się w wilki. Bez wątpienia natomiast istniały psy - wampiry, widział i słyszał je w nocy na zewnątrz domu. Ale to były tylko psy.

Robert Neville zacisnął gwałtownie zęby.

„Zapomnij o tym” - powiedział do siebie - „jeszcze nie jesteś gotowy”.

Przyjdzie czas, kiedy rozgryzie ten problem, każdy jego szczegół. Ale ten czas jeszcze nie nadszedł. Teraz miał wystarczająco dużo zmartwień.

Po lunchu chodził od domu do domu i zużył wszystkie żerdzie. Miał

ich wszystkich czterdzieści siedem.

Rozdział 3

„Siła wampira tkwi w tym, że nikt w niego nie uwierzy”.

„Dziękuję Panu, doktorze Van Helsing” - pomyślał, odkładając egzemplarz *Drakuli*. Wpatrywał się posepnie w półkę z książkami, słuchał

Drugiego koncertu fortepianowego Brahmsa, w prawej ręce trzymał

whisky, której smak stał się cierpki, w ustach trzymał papierosa.

To prawda. Cała książka jest stekiem przesądów i wyświechtanych pomysłów w stylu mydlanej opery, za wyjątkiem ostatniego zdania. Nikt w nich nie wierzył. Jak można było walczyć z czymś, w co się nie wierzy?

Tak właśnie wyglądała sytuacja. Coś czarnego żyjącego w ciemnościach nocy wypełzło wprost ze średniowiecza. Coś zupełnie niewiarygodnego, wszystko, co się z tym łączyło zamknięto na stronicach literatury fantastycznej. Istoty te należały do przeszłości; do melodramatów Stokera albo sielanek Summersa, były tematem krótkich notatek encyklopedycznych w *Britannice* albo stanowiły wodę na młyn pisarskiej wyobraźni, czy też materiał dla wytwórni sentymentalnych filmów. To tylko ulotna legenda, która przetrwała przez wieki.

No cóż, okazała się prawdą.

Pociągnął drinka. Zamknąwszy oczy czuł, jak płyn przedostaje się przez gardło i rozgrzewa żołądek.

„Prawda” - pomyślał - „cóż z tego, skoro nikt nigdy nie miał okazji się o tym przekonać. Nawet jeśli wiedzieli, że coś w tym jest, nie przypuszczali, że chodzi o to. Nie chodziło im o TO! TO było zawsze wyobraźnią, przesadą, nie było czegoś takiego jak TO!” Zanim więc nauka dogoniła legendę, ta ostatnia pochłonęła wszystko, łącznie z nauką.

Tego dnia nie poszedł szukać drewna na żerdzie. Nie sprawdził

prądnic. Nie posprzątał kawałków lustra ani nie zjadł kolacji, ponieważ stracił apetyt. Nie było to nic nadzwyczajnego, nie miał apetytu przez większość czasu. Nie był w stanie po skończeniu tego, co robił przez całe popołudnie, wrócić do domu i ot tak, zjeść sobie solidny posiłek. Nawet po pięciu miesiącach nie był w stanie.

Myślał także tego popołudnia o jedenaściorgu, nie o dwanaściorgu, dzieciach. Potem dwoma łykami dopił drinka.

Przymknął na moment oczy, a kształty pokoju zafalowały przed nim.

- Zalewasz się w pestkę, stary! - powiedział do siebie. - No i co z tego? Czy ktoś oprócz ciebie ma tu jeszcze rację?

Cisnął książką, która przefrunęła przez pokój. Wyoście się wszyscy, Van Helsing, Mina, Jonatan, hrabia z przekrwionymi oczyma.

Wszystko to wymysły, jakieś bzdurne cienie ponurych faktów. Z jego gardła dobył się chichot podobny do kaszlu. Na zewnątrz Ben Cortman nawoływał go do wyjścia.

„Już wychodzę” - pomyślał - „tylko założę smoking” - zgrzytnął

zębami - „Już wychodzę. No cóż, dlaczegożby nie? Niby dlaczego NIE? To najpewniejszy sposób, by się od nich uwolnić”.

Stać się jednym z nich.

Aż zachichotał, takie było to proste. Z trudem podniósł się z fotela i chwiejnym krokiem poszedł do baru.

„Dlaczegożby nie?” - podpowiadał mu umysł w równie chwiejnym rytmie. Niby dlaczego ma męczyć się z tą całą skomplikowaną rzeczywistością, skoro jeden ruch, otwarte na oścież drzwi i kilka kroków naprzód mogłoby zakończyć całą tę udrękę?

Naprawdę nie potrafił odpowiedzieć na to pytanie. Istniało naturalnie nikłe podobieństwo, że gdzieś są jeszcze ludzie tacy jak on, którzy próbowali żyć w nadziei, że znów któregoś dnia znajdą się w normalnym świecie, między normalnymi istotami. Ale jak można było kogokolwiek znaleźć, jeśli wypuszczenie się na odległość całodziennej jazdy samochodem nie dawało żadnego efektu?

Wzruszył ramionami i nalał sobie whisky do szklanki. Już wiele miesięcy temu zaniechał szukania normalnych ludzi. Wieszanie czosnku na oknach, rozpinanie siatki nad szklarnią, palenie ciał, wywożenie kamieni i milimetr po milimetrze posuwał się do przodu na drodze zmniejszania okropnie dużej ilości tych istot. Po cóż więc się oszukiwać?

Już nigdy nikogo nie znajdzie.

Opadł ciężko na krzesło. Oto jesteśmy, my ludzie, beztroskie dzieciaki, wygodnie jak u mamy za piecem, osaczeni przez zgraję krwiopicjów, którzy nie pragną niczego innego jak tylko dorwać się do darmowego źródła i doić stuprocentową hemoglobinę.

„Dalejże, popijcie sobie, we mnie taką znajdziecie!” Tępe i bezwzględne uczucie nienawiści wykrzywiło jego twarz.

„Przeklęte bękarty! Powyrzynam każdego, nim się poddam!” Jego dłoń zacisnęła się jak kleszcze, miażdżąc szklankę.

Otępiałym wzrokiem popatrzył na okruchy szkła, które spadły na podłogę, na ostre kawałki, które trzymał w ręce i rozcieńczoną alkoholem krew, która kapała z jego dłoni.

„Co, chcielibyście skosztować trochę tego?” - pomyślał. Poderwał

się w ataku furii i już prawie otworzył drzwi, tak że z łatwością mógł

pomachać im przed nosem poranioną dłonią i usłyszeć ich wycie.

Ale wtedy zamknął oczy, a po jego ciele przebiegł dreszcz.

„Spokojnie, koleś, spokojnie” - pomyślał - „idź opatrzyć tę cholerną rękę”.

Potykając się poszedł do łazienki i opłukał dokładnie wodą całą dłoń. Potem, sycząc z bólu, nalał do otwartej rany jodynę. Wyglądała jak rozplątany kawałek mięsa. Następnie nieporadnie zabandażował ranę.

Jego szeroka pierś podnosiła się przy tym i opadała gwałtownie, a krople potu kapały z czoła.

„Potrzebuję papierosa” - pomyślał.

Wróciwszy do dużego pokoju zmienił Brahmsa na Bernsteina i zapalił papierosa.

„Co będzie, jak skończą mi się kiedyś gwoździe?” - zastanawiał się, obserwując, jak snuje się błękitny dym z papierosa - „Nie, raczej było to nieprawdopodobne. W pokoju Kathy było ich jeszcze z tysiąc kartonów”.

Zacisnął mocno zęby. W pokoju, w którym jest spiżarnia, spiżarnia, *SPIŻARNIA*.

To był pokój Kathy.

Siedząc wpatrywał się w fototapetę zamarytymi oczyma, a w uszach tętniły mu dźwięki „Roku niepokojów”.

„Niepokojów” - pomyślał - „sądziłeś, że wiesz coś o niepokojach, Lenny, chłopcze. Lenny i Benny Cortman, powinniście się poznać. Oto kompozytor, niech pan pozna umrzyka. Mamusiu, kiedy dorosnę, chcę zostać wampirem, jak tatuś! Oczywiście, kochanie, na pewno nim będziesz”.

Zabulgotała whisky, którą nalewał do szklanki. Ból dłoni

.spowodował grymas na jego twarzy, więc przełożył butelkę do lewej ręki.

Siedząc tak, popijał whisky. „Niechaj stępi się ostry brzeg trzeźwości, niech zmętnieje przejrzystość widzenia, niech zachwieje się równowaga. Ale bez pośpiechu. Och, jak ja ich nienawidzę”.

Powoli pokój zawirował mu przed oczami, wszystko zafalowało wokół jego krzesła. Przed oczyma miał teraz przyjemną mgiełkę, rozmazane były krawędzie przedmiotów. Popatrzył na szklankę, na adapter. Pozwalał, by głowa kiwała się bezwładnie z jednej strony na drugą. A na zewnątrz grasowali, pomrukiwali i wyczekiwali oni. Biedne małe typki pałętające się wokół domu, takie to spragnione, takie żałosne.

Zaświtała mu pewna myśl. Podniósł palec i pokiwał nim przed oczyma.

„Koledzy, staję przed Wami, aby przedyskutować” - zaczął -

„problem wampirów, czyli problem mniejszości, jeśli była jakaś mniejszość, no ale przecież była. Ale do rzeczy, przedstawię pokrótce zarys moich poglądów, które to można wyrazić w stwierdzeniu, że wampiry stały się ofiarą uprzedzeń. Zasadniczą sprawą w tych uprzedzeniach wobec mniejszości jest rzecz następująca. Ludzie tej mniejszości nienawidzą, ponieważ się jej obawiają. Dlatego też...” Pociągnął whisky. Był to drugi łyk.

„Kiedyś, konkretnie mówiąc, w ciemnych wiekach średnich istoty te miały wielką siłę. Budziły powszechny postrach. Wampir oznaczał klątwę i nadal pozostaje klątwą. Społeczeństwo nienawidzi ich bez miary.

Ale czy potrzeby tych istot są w jakiejś mierze bardziej szokujące od potrzeb innych zwierząt czy nawet człowieka? Czy ich poczynania są bardziej odpychające od tego, czego dopuszcza się rodzic, wysysając z dziecka resztki ducha? Wampir przyprawia o palpacje serca, na samą myśl o nim włosy stają dęba, ale czy jest choć trochę gorszy od rodzica, obdarzającego społeczeństwo neurotycznym dzieckiem, które zostało politykiem? Czy jest gorszy od fabrykanta, który poniewczasie przeznaczają na zbożne cele pieniądze, których dorobił się na sprzedaży rewolwerów i bomb „nacionalistom o skłonnościach samobójczych? Czy jest gorszy od gorzelnika, który daje więcej środków obywateliom, którzy nawet na trzeźwo nie są zdolni do jakiegoś owocnego myślenia?

(Ach nie, przepraszam, mówię oszczerstwa, odpycham od siebie źródło, z którego czerpię). A więc, czy jest gorszy od wydawcy, za którego przyczyną całe regały wypełniają się książkami epatującymi

lubieżnością i śmiercią? No, naprawdę, kochani, spójrzcie w swą duszę i powiedzcie sami, czy naprawdę wampir jest aż tak zły?

Przecież tylko popija krew i to wszystko.

Skąd więc te nieeleganckie uprzedzenia, te bezmyślne dąsy? A niechże sobie te istoty żyją tam, gdzie zechcą. Dlaczego muszą wynajdywać sobie kryjówki, w których nikt ich nie znajdzie? Dlaczego chcecie ich niszczyć? No i tak zrobiliście ze szczerych i Bogu ducha winnych nieszczęśników jakieś nawiedzone bestie. Może nie mają środków utrzymania, brak im właściwych możliwości wykształcenia, nie mają prawa wyborczego. Nic więc dziwnego, że pozostało im jedynie nocne życie, kiedy rozglądają się za łupem”.

Robert Neville burknął zgryźliwie. „Dobra, dobra, w porządku, ale czy zgodziłbyś się, żeby twoja siostra za takiego wyszła?” Wzruszył

ramionami.

„No tak, koleś, no tak, i tu cię mam”.

Skończyła się muzyka. Igła przesuwiała się po płycie tam i powrotem, powodując chrapliwe dźwięki. Siedział tak czując, jak od stóp do głów ogarniają go dreszcze. To był właśnie problem, jeśli wypiło się zbyt dużo. Człowiek już uodpornił się na alkoholowe przyjemności.

Drinki nie przyniosły już pociechy. Już zanim zdołał się uszczęśliwić, przebierała się miara. Już wewnątrz pokoju, prostując się, nabierało normalnego wyglądu. Dochodzące z zewnątrz dźwięki, jak małe igielki nakłuwały jego uszy.

- Wychodź Neville!

Przełknął ślinę i nerwowo odetchnął. Wyjść na zewnątrz. Były tam kobiety, ich ubrania rozchylone albo zupełnie rozebrane, ich ciała czekające na jego dotyk, ich wargi oczekiwały na...

„Moją krew, moją KREW!”

Jego zaciśnięta aż do białości pięść uniosła się powoli. Patrzył na nią, jakby nie była jego ręką. Opadła niżej, uderzywszy nogę. Syknął z bólu, wciągając w płuca domowy zaduch. Czosnek. Wszędzie był zapach czosnku. W jego ubraniach, w meblach, w jedzeniu, nawet w alkoholu.

„Może masz ochotę na wodę mineralną z czosnkiem?” - podsunął

mu umysł, siląc się na żart.

Poderwał się i zaczął przemierzać pokój. „Co ja teraz zrobię? Czy muszę to wszystko robić w kółko od nowa? Zaoszczędzę wam kłopotu.

Czytać, pić, uszczelnić dom - i te kobiety. Lubieżne, krwiożercze, nagie kobiety, wystawiające ku niemu swe gorące ciała. No nie, może nie gorące”.

Jęklivy skowyt szarpnął gwałtownie jego gardłem i piersią.

Przekłete typy, na co niby oni czekają? Czy myślą, że wyjdzie i po prostu się im odda?

„Być może wyjdę, być może” - i zauważył, że sam wyciąga z drzwi zasuwę - „wychodzę, dziewczęta, wychodzę, możecie już oblizywać wargi”.

Na zewnątrz doleciał do nich dźwięk otwieranych zamków i w ciemnościach nocy zabrzmiały jęki wyczekiwania.

Odwrócił się nagle i mocnymi ciosami zaczął uderzać pięściami raz za razem w ścianę, aż rozerwał plaster i zdarł skórę. Potem stał tak bezradny, trzęsąc się na całym ciele i dzwoniąc zębami.

Po chwili mu przeszło. Włożył zasuwę z powrotem na swoje miejsce i poszedł do sypialni. Opadł na łóżko i wtulił się w poduszkę z jękiem.

Jego lewa ręka uderzyła w pościel. Było to już jedno, anemiczne uderzenie.

„O Boże” - pomyślał - „jak długo, jak długo jeszcze?” **Rozdział 4**

Budzik nie zadzwonił tego poranka. Zapomniał go nastawić. Tej nocy spał

zdrowym snem w bezruchu, podobny do zastygłego odlewu. Była dziesiąta, kiedy wreszcie otworzył oczy.

Z trudem podniósł się, mamrocząc coś z niezadowoleniem, opuścił

nogi na podłogę. Natychmiast odczuł pulsujące łupanie w głowie tak, jakby wewnątrz półkule chciały rozsadzić mu czaszkę.

„No tak, mam kaca” - pomyślał - „jeszcze tego mi tylko brakuje.” Jęknąwszy, z trudem wstał z łóżka i potykając się, poszedł do łazienki. Tam opłukał twarz zimną wodą, zmoczył głowę.

„Nic z tego, niedobrze” - narzekało jego drugie ja - ”nadal jest jak w piekle.” W lustrze zobaczył swoją wycieńzoną, nieogoloną twarz, wyglądał jakby miał czterdzieści lat.

„Ślicznie, ta klątwa jest wszechobecna” - w jego głowie słowa te załopotwały jak wiszące na wietrze mokre prześcieradła.

Wolnym krokiem poszedł do drugiego pokoju i otworzył drzwi frontowe. Ujrzał powyginane ciało kobiety, które leżało na chodniku i z jego ust wyrwało się ciężkie od złości przekleństwo. Aż spał się cały i natychmiast poczuł pulsujący, nie do zniesienia ból głowy, więc musiał

szybko odejść.

„Jestem chory” - pomyślał.

Niebo było tego dnia szare, jakby martwe.

„No, ładnie” - pomyślał - „zanosi się na kolejny dzień w mysiej dziurze zabitej dechami!” Trzasnął drzwiami z furją, jęknął i skrzywił się z bólu, który tętnił mu w głowie. Usłyszał, jak na zewnątrz spadają resztki rozbitego lustra, roztrzaskując się o posadzkę na werandzie.

„Świetnie!” - jego wargi wygięły się z bólu tak, że natychmiast stały się blade.

Dwie filiżanki mocnej, czarnej kawy zaostrzyły tylko ból żołądka.

Odstawił filiżankę i poszedł do dużego pokoju.

„Do diabła z tym wszystkim” - pomyślał - „znowu się upiję.” Ale alkohol miał teraz smak terpentyny i jęknąwszy boleśnie Robert Neville cisnął szklanką o ścianę i stojąc tak patrzył, jak strużki płynu spływają na dywan.

„A niech to diabli, wy tłukę wszystkie szklanki.” Ta myśl bardzo go zirytowała. Jego oddech z trudem wydostawał się przez nozdrza i chwiejnym rytmem uchodził na zewnątrz. Bezwładnym ruchem opadł na tapczan. Siedział tak, wolno potrząsając głową. To nie ma sensu, już go pokonali. Te cholerne czarne bękarty już go pokonały.

I znowu to niepokojące uczucie, które zaczęło go ogarniać. Jakby jego ciało rosło, rozszerzało się, a dom wokół niego się kurczył. Jakby lada chwila on sam miał eksplodować, rozsadzając zbyt ciasne ramy drewna, cegieł, cementu. Wstał i pospiesznym krokiem poszedł do drzwi z trzęsącymi się rękoma.

Stał na trawniku, głęboko wciągając do płuc wilgotne, poranne powietrze. Odwracał twarz od domu, którego nienawidził. Ale nienawidził

także innych domów, które stały wokół, nienawidził ścieżki, chodników i trawników, w ogóle wszystkiego, co znajdowało się na ulicy Cimarron.

Uczucie to wzbierało w nim, aż nagle poczuł, że musi stamtąd uciekać. Pochmurny dzień czy nie, nie mógł tego ścierpieć.

Zamknął na klucz drzwi wejściowe, otworzył garaż, podnosząc do góry grube drzwi, które były zawieszane na zawiasach ponad głową.

Nawet nie zadał sobie trudu, by je z powrotem zamknąć. Za chwilę wróci, tak myślał.

„Chcę tylko stąd na chwilę uciec.”

Wycofał szybko samochód na ulicę, nagłym zrywem zawrócił i naciskając mocno na gaz skierował się ku Alei Compton. Nie wiedział

dokładnie, dokąd jedzie.

Z szybkością ponad sześćdziesiąt kilometrów na godzinę wziął

zakręt i nim dojechał do kolejnej przecznicy, miał już na liczniku sto pięć.

Samochód skoczył naprzód. Pedał gazu był teraz dociśnięty do podłogi, trzymała go sztywna noga Neville'a. Jego zaciśnięte na kierownicy ręce były jak wyciosane z lodowej bryły, a twarz przypominała posąg.

Samochód mknął wzdłuż wymarłej alei z szybkością stu czterdziestu na godzinę, napełniając pogrążoną w ciszy pustkę hałasem wyjącego silnika.

„Wybujala przyroda zdaje się być poza ich kłutwą” - myślał, idąc po cmentarnym trawniku. Trawa była tak wysoka, że źdźbła uginały się pod własnym ciężarem. Kiedy po niej stapał, łamały się i było słycać chrzęst dobywający się spod jego ciężkich butów. Prócz tego dźwięku nie słycać było żadnego innego, poza śpiewem ptaka, który wydawał się zupełnie pozbawiony sensu.

„Kiedyś myślałem, że ptaki śpiewają, gdy na świecie wszystko gra” -

pomyślał sobie Robert Neville - „teraz wiem, że się myliłem, a śpiewają dlatego, że są umysłowo ograniczone.”

Dopiero po przejechaniu dziesięciu kilometrów na pełnym gazie zorientował się, dokąd jedzie. To ciekawe, że umysł i ciało ukrywały to przed jego świadomością. Świadomy był jedynie tego, że jest chory i że musi wyjechać gdzieś z domu. Po prostu nie wiedział, że jedzie odwiedzić Virginie, choć jechał wprost na cmentarz i to najszybciej, jak tylko mógł.

Zatrzymał samochód przy krawężniku, przeszedł przez zardzewiałą bramę i teraz kroczył przez wysoką trawę, deptając i łamiąc jej źdźbła.

„Ileż to minęło czasu od mojej ostatniej wizyty w tym miejscu?

Chyba najmniej miesiąc.”

Żałował, że nie przywiózł kwiatów, ale przecież nie wiedział, dokąd jedzie, aż zobaczył cmentarną bramę. Zacisnął mocno wargi, kiedy dopadł

go stary smutek. Dlaczego Kathy nie mogła też tu być? Czemu tak bezmyślnie posłuchał tych głupców wydających zarządzenia w czasie zarazy? Gdyby mogła leżeć tutaj, obok swojej matki.

„Przestań natychmiast, znowu zaczynasz” - powiedział do siebie stanowczo.

Podchodząc do grobowca, nagle zatrzymał się. Zobaczył, że żelazne wrota były uchylone.

„O, nie” - pomyślał i zaczął biec przez wilgotną trawę. - ”Jeśli dobrali się do niej, podpale całe miasto. Przysięgam na Boga, że wszystko puszcze z dymem, jeśli ją tknęli.”

Otworzył na oścież drzwi, które uderzyły o marmurową ścianę wydając płytki, niesiony echem

dźwięk. Jego oczy pospiesznie powędrowały ku marmurowej podłodze, na której spoczywał zapieczętowany sarkofag.

Napięcie w nim osłabło. Głęboko odetchnął. Był na swoim miejscu, nietknięty.

Kiedy wszedł do środka, ujrzał leżące w jednym rogu krypty, skulone na zimnej posadzce ciało człowieka. Jęknąwszy z wściekłości rzucił się ku niemu i chwyciwszy za poły jego płaszcza pociągnął go po podłodze i wyrzucił na zewnątrz, na trawę. Zwłoki obróciły się i znieruchomiały z białą twarzą utkwioną w niebo.

Robert Neville powrócił do krypty. Jego pierś gwałtownie unosiła się i opadała. Potem zamknął oczy i stał tak z dłońmi opartymi o trumnę.

„Jestem tutaj” - pomyślał - "wróciłem, pamiętasz mnie.” Wyrzucił zwiędłe kwiaty, które przyniósł tam poprzednim razem i zmiotł kilka zwiędłych liści, które dostały się tam przez otwarte drzwi.

Potem usiadł obok sarkofagu i oparł czoło o jego metalicznie zimny bok.

Cisza ujęła go w swe delikatne, chłodne dłonie.

„Gdybym mógł teraz umrzeć” - pomyślał - „łagodnie, w spokoju, bez wstrząsów i krzyku. Gdybym mógł do niej dołączyć. Gdybym tylko wierzył, że mogę do niej dołączyć.”

Jego palce splotły się powoli, a głowa opadła na pierś.

„Virginio, zabierz mnie do siebie, gdziekolwiek jesteś.” Na jego dłoń spadła krystalicznie przejrzysta łza.

Nie miał pojęcia, jak długo tam był. Po jakimś czasie nawet największy smutek ustępuje, nawet najbardziej przenikliwa rozpacz tępi swe ostrze.

„Przekleństwo” - pomyślał - „chłoscze mnie swoim biczem i rani do żywego.”

Wyprostował się i wstał.

„Żyję” - pomyślał - „moje serce bije bez sensu, krew płynie w żyłach bez celu. Mięśnie i tkanki, zdrowe kości spełniające swą rolę, wszystko bez najmniejszego celu.”

Jeszcze przez chwilę stał tam, patrząc na sarkofag, a potem wzdychając obrócił się i wyszedł, zamykając za sobą delikatnie drzwi tak, by nie zakłócić jej snu.

Zupełnie zapomniał o tym człowieku, prawie potknął się o niego wychodząc. Już miał go ominąć, mamrocząc jakieś przekleństwo, aż nagle odwrócił się gwałtownym ruchem.

„Cóż to jest?” - z niedowierzaniem spojrział w dół na leżącego człowieka. Nie żył. Był naprawdę nieżywy. „Jak to możliwe?” - dziwił się tą nagłą zmianą porządku, do którego był przyzwyczajony.

Jednak człowiek ten wyglądał i wydzielał zapach, jakby nie żył już od kilku dni.

Był tak niespodziewanie podniecony, że aż zakotłowało mu się w głowie. Coś uśmierciło wampira. Coś, co było bezwzględnie skuteczne.

Serce miał nienaruszone, nie było tam czosnku, a jednak...

Było to proste, wpadł na to bez większego wysiłku. Oczywiście, że światło dzienne.

I wtedy przysłała ta myśl jak samooskarżenie. Przez pięć miesięcy wiedział o tym, że chowają się w pomieszczeniach przed światłem i nigdy nie przyszło mu to do głowy! Przymknął oczy zdumiony swoją głupotą.

Promienie słoneczne, podczerwień i ultrafiolet. To musi być to. Ale dlaczego? Niech to diabli, czemu nigdy nie dowiedział się niczego o tym, jak promienie słoneczne działają na organizm człowieka. (I jeszcze jedna myśl, ten człowiek był jednym z prawdziwych wampirów - umarłych, którzy żyli. Czy zatem światło słoneczne działa tak samo na tych, którzy jeszcze żyli?)

Po raz pierwszy od wielu miesięcy poczuł się podekscytowany.

Zaczął aż biec do samochodu.

Zatrzasnąwszy za sobą drzwi zastanawiał się, czy nie powinien był

usunąć ciała. Czy przypadkiem nie zwabi to innych, czy nie wejdą do grobowca.

„Nie, nie zbliżą się do sarkofagu, jest zabezpieczony czosnkiem.

Poza tym, jego krew była teraz martwa, nie mogła...” I tu pojawiła się kolejna myśl, przerywając poprzedni tok rozumowania. Promienie słoneczne musiały jakoś wpływać na krew!

Czy to możliwe, że wszystko musiało mieć jakiś związek z krwią?

Czosnek, krzyż, lustro, żerdzie, światło dzienne, ziemia, w której niektórzy z nich spali. Nie potrafił powiedzieć, jaki był ten związek, a jednak.

Trzeba było jeszcze dużo na ten temat poczytać, przeprowadzić jakieś badania. Być może właśnie tego potrzebował. Już od dłuższego czasu chciał się tym zająć, ale ostatnio zupełnie o tym zapomniał. Ta myśl budziła w nim na nowo ochotę, aby to zrobić.

Uruchomił samochód i przejechawszy szybko ulicę zatrzymał się przy pierwszym lepszym domu w dzielnicy mieszkaniowej. Pobiegł

ścieżką do drzwi wejściowych, ale były zamknięte i nie dały się otworzyć.

Mruknął zniecierpliwiony i pobiegł do następnego domu. Tam drzwi były otwarte, więc pobiegł na górę przez zaciemniony przedpokój. Spieszył się, obejmując jednym krokiem dwa schody przykryte

dywanem.

W sypialni znalazł kobietę. Bez wahania zdarł koc i chwycił ją za nadgarstki. Jęknęła, spadając na podłogę. Gdy ciągnął ją po schodach i przez przedpokój, słyszał, jak z jej gardła wydobywają się jakieś ciche dźwięki.

Gdy ciągnął ją przez duży pokój, zaczęła się poruszać.

Jej dłonie zacisnęły się na jego nadgarstkach, a całe ciało zaczęło się rzucać i wyginać na dywanie. Oczy miała ciągle zamknięte, ale oddychała ciężko i mamrotała coś, starając się od niego uwolnić. Ciemne paznokcie zaczęły wczepiać się w jego rękę. Warknąwszy wyrwał rękę i dalej ciągnął

ją za włosy. Zwykle w takich sytuacjach, gdy uświadamiał sobie, co robi, odczuwał ból. Zasmucał go fakt, że w jakiś sposób byli oni takimi samymi ludźmi jak on. Teraz jednak kierował nim zapał kogoś, kto zajmuje się ważnym eksperymentem i nie mógł myśleć o niczym innym.

Mimo to ciarki go przeszły, gdy do jego uszu doszedł zduszony wrzask przerażenia, kiedy rzucił ją na chodnik na zewnątrz.

Leżała tam, wijąc się bezradnie, otwierając i zamykając dłonie, bezgłośnie poruszając wargami. Robert Neville patrzył na to wszystko w napięciu.

Przełknął ślinę. To nie potrwa długo, ogarnęło go uczucie bezdusznej brutalności. Patrząc na nią przygryzał wargi.

„No dobrze, ona cierpi” - próbował sobie tłumaczyć - ”ale jest jedną z nich i z przyjemnością uśmierciłaby mnie, gdyby tylko miała taką możliwość. Musisz na to patrzeć w ten sposób” - przekonywał siebie samego - „to jedyny możliwy sposób.” Z zaciśniętymi zębami stał tam i patrzył, jak umiera.

Po kilku minutach przestała się ruszać, ucichły dźwięki wydobywające się z jej gardła, ręce rozluźniły się i otwały powoli jak rozkwitające na chodniku kwiaty. Robert Neville schylił się, starając się wyczuć jej puls. Serce nie biło. Jej ciało zaczęło stygnąć. Podniósł się z delikatnym uśmiechem. A więc to prawda, niepotrzebne były żerdzie. Po tym wszystkim mógł znaleźć jakiś lepszy sposób.

Ale przez chwilę wstrzymał oddech. Jak może być pewny, że ona naprawdę nie żyje? Nie będzie tego wiedział aż do zachodu słońca.

Ta myśl napełniła go niepokojem i złością. Dlaczego każde pytanie musi od razu niweczyć nadzieję, która mogłaby się kryć w odpowiedzi?

Rozmyślał o tym, popijając z puszki sok pomidorowy, wzięty ze sklepu, obok którego zaparkowany był jego samochód.

Jak się o tym przekona? Nie może przecież czekać tu aż do zachodu słońca.

„Zabierz ją ze sobą do domu, głupcze.”

Zamknął oczy i poczuł, jak po ciele przebiega mu dreszcz irytacji.

Minął się z wszystkimi oczywistymi odpowiedziami dzisiejszego dnia.

Teraz musiałby kawałek drogi wrócić się i ją odnaleźć. Poza tym nie był pewny, gdzie był ten dom.

Uruchomił silnik i wyjechał z parkingu, spoglądając na zegarek.

Trzecia. Było jeszcze mnóstwo czasu, by wrócić do domu przed ich przybyciem. Nacisnął mocniej pedał gazu i samochód przyspieszył.

Znalezienie domu zajęło mu około pół godziny. Kobieta leżała tam na chodniku w tej samej pozycji. Założył rękawiczki i otworzył tył

samochodu, potem podszedł do ciała. Zbliżając się, przyglądał się jej kształtom.

„O, nie, na miłość Boską, nie zaczynaj z tym od nowa.” Przyciągnął ciało do samochodu i rzucił je na tył. Później ściągnął

rękawiczki i zamknął klapę. Podniósł dłoń i spojrzał na zegarek. „Trzecia, jeszcze dużo czasu, zanim...”

Gwałtownym ruchem przyłożył zegarek do ucha, serce nagle w nim skoczyło.

Zegarek nie chodził.

Rozdział 5

Ręce mu się trzęsły, gdy zapalał silnik. Zawracając gwałtownie samochód, mocno uchwycił kierownicę sztywnymi dłońmi.

Ależ z niego głupiec! Droga na cmentarz musiała mu zająć przynajmniej godzinę. Tam z pewnością spędził całe godziny. Potem ta kobieta. Później był w sklepie, pił sok pomidorowy, szukał ciała kobiety.

Która właściwie była godzina?

„Ty głupcze!” - na samą myśl o nich wszystkich, czekających już na niego przed domem, w jego żyły napłynął chłodny strach.

„Mój Boże, w dodatku drzwi od garażu zostały otwarte! Co będzie z benzyną, z narzędziami, z PRĄDNICĄ!”

Z jego gardła dobył się jęk, który stłumił gwałtownym przyspieszeniem samochodu. Neville docisnął do podłogi pedał gazu, wskazówka szybkościomierza zaczęła drgać, a potem powolnym ruchem minęła sto kilometrów, potem cyfry sto dziesięć, sto dwadzieścia. A jeśli już na niego czekają? Jak dostanie się do domu?

Starał się opanować. Nie wolno mu się teraz rozklejać, musi nad sobą panować.

„Jakoś dostanę się do środka” - próbował siebie przekonać. Nie wiedział jednak, jak to zrobić.

Nerwowo przesunął rękę po włosach, odgarniając je do tyłu.

„Spokojnie, będzie dobrze, dobrze” - komentował głos w jego myślach - „Zadajesz sobie tyle trudu, by przetrwać, a potem, pewnego dnia zwyczajnie nie wracasz do domu na czas. Zamknij się!” - napominał

sam siebie. - „Mogłem przyplącić życiem to, że zapomniałem nakręcić zegarek poprzedniego wieczora. Nie musisz zadawać sobie trudu, aby się pozbawić życia, oni z przyjemnością zrobią to za ciebie.” - W tym momencie uświadomił sobie, że ogarnęła go słabość spowodowana głodem. Niewielka ilość mięsa, którą zjadł, popijając sokiem pomidorowym, w ogóle go nie zaspokoila.

Jadąc patrzył, jak pogrążone w ciszy ulice przebiegają po obu stronach. Jego wzrok wędrował to na jedną, to na drugą stronę, próbując dostrzec, czy w drzwiach domów nie pojawiają się ich sylwetki. Wydawało mu się, że już się ściemnia, ale mogła to być jedynie wyobraźnia.

„Nie, nie może być aż tak późno, nie.”

Pędząc, minął róg ulic Compton i Western i w tym momencie dostrzegł wybiegającego z budynku mężczyznę, który coś do niego wykrzykiwał. Serce skurczyło mu się gwałtownie, jakby w uścisku jakiejś lodowatej dłoni, słysząc rozbrzmiewający za samochodem krzyk.

Nie mógł już wykrzesać ze swojej furgonetki większej prędkości.

Pojawiły się torturujące go myśli o tym, że pęka, że samochód traci równowagę, skręcając gwałtownie, wpada na krawężnik i rozbija się o jeden z domów. Jego wargi zaczęły drżeć, więc mocno zacisnął usta, by tego nie czuć. Dłonie trzymające kierownicę zdrętwiały kompletnie.

Na rogu ulicy Cimarron musiał zwolnić. Kątem oka zobaczył

wybiegającego z domu człowieka, który rzucił się w pościg za samochodem.

Potem z piskiem opon wziął zakręt i zaparło mu dech.

Byli tam wszyscy, czekali na niego przed domem.

Krzyk bezradnego przerażenia zatkał mu gardło. Nie chciał

umierać. Mógł o tym rozmyślać, nawet to rozważać. Ale nie chciał

umrzeć. Nie w TAKI sposób.

Widział teraz, jak usłyszawszy dźwięk silnika, zwracają swe białe twarze w jego kierunku. Jeszcze kilku wybiegło z otwartego garażu.

Ogarnęła go bezsilna złość, zaczął zgrzytać zębami.

„Co za głupi, bezmyślny sposób na śmierć!”

Widział, jak zaczynają biec w jego kierunku; inni ustawili się w szeregu w poprzek ulicy. Nagle zdał sobie sprawę z tego, że nie wolno mu się zatrzymać. Poczuł, jak ciała uderzają w karoserię samochodu. Ich krzyczące twarze przemknęły przed przednią szybą. Dźwięki, które wydawali, mroziły krew w żyłach.

Byli teraz z tyłu, widział w lusterku, jak próbowali go dopaść.

Przyszedł mu do głowy pewien plan. Powodowany tym impulsem zwolnił, nawet przyhamował tak, że szybkość spadła do pięćdziesięciu, potem do trzydziestu kilometrów na godzinę.

Odwrócił się i zobaczył, jak zbliżali się, widział ich białe -

zielonkawe twarze, ich ciemne oczy utkwione w jego samochodzie, wreszcie w NIM SAMYM.

Przez twarz przebiegł mu skurcz przerażenia, kiedy gdzieś w pobliżu usłyszał warknięcie. Gwałtownym ruchem odwrócił głowę i ukazała się przed nim oszalała twarz Benny'ego Cortmana, który był tuż obok samochodu. Instynktownie nacisnął na gaz, ale w tym samym momencie jego druga stopa ześliznęła się ze sprzęgła, a samochód skoczył

gwałtownym ruchem w przód, a potem znieruchomiał. Robert Neville odczuł, jak wtedy głowa bezwładnie odchyliła się do tyłu, a potem poleciała w przód.

Zimny pot wystąpił mu na czoło, gdy gorączkowo próbował zapalić.

Ben Cortman już wczepił się w niego paznokciami. Z obrzydzeniem odepchnął zimną, białą rękę.

- Neville, Neville!

Ben Cortman ponownie sięgnął do środka jakby wyciosanymi z lodu pazurami. Neville znów odepchnął od siebie rękę Cortmana i począł

gorączkowo manipulować przy stacyjce. Trząsł się na całym ciele. Był

bezzadny. Z tyłu słyszał ich podniecone szybko zbliżające się krzyki.

Krzusząc się, silnik samochodu ożył na powrót, a długi paznokieć Bena Cortmana przesunął się po policzku Neville'a.

- Neville!

Zacisnął z bólu pięść, która powędrowała w twarz Cortmana.

Cortman upadł na chodnik w momencie, gdy samochód - złapawszy pierwszy bieg - skoczył naprzód i zaczął nabierać szybkości. Jeden z pozostałych, którzy go ścigali, zdążył dobiec i wskoczył na tył samochodu.

Przez chwilę Robert Neville widział ziemistą twarz z oszalałym wzrokiem przytkniętą do tylnej szyby. Nagłym ruchem skręcił samochód w bok, w kierunku krawężnika, potem odbił, strącając człowieka z tyłu, który rozpędzony biegł z wyciągniętymi przed siebie ramionami, po czym uderzył gwałtownie w ścianę domu.

Serce Roberta Neville'a waliło tak mocno, że zdawało się, iż lada chwila wyskoczy mu z piersi. Jego oddech był urywany, a ciało zimne i odrętwiałe. Czuł, jak krew sączy się mu z policzka, ale nie odczuwał bólu.

Pospiesznym ruchem dłoni otarł krew.

Mijał teraz róg ulicy, skręcając w lewo. Spoglądał to w lusterko wsteczne, to przed siebie. Minąwszy niezbyt odległą przecznicę, skręcił

znowu w prawo, w ulicę Haas. Co będzie, jeśli pobiegli na skróty, przez podwórko i przetną mu drogę?

Zwolnił nieco, aż pojawili się, wypadając zza rogu jak stado wilków.

Nacisnął mocniej na gaz. Zakładał, że wszyscy go ścigają.

Czy mogli domyślać się, jaki miał plan?

Znów nacisnął gaz, samochód skoczył naprzód, mijając kolejne domy. Zniknął za rogiem z szybkością osiemdziesięciu kilometrów i przemknął przez krótką ulicę prowadzącą do Cimarron, potem znów skręcił w prawo.

Wstrzymał oddech. Przed jego domem nie było nikogo. Jeszcze więc była szansa. Będzie musiał rozstać się z samochodem, nie było czasu, żeby schować go do garażu. Szybkim ruchem kierownicy podjechał do krawężnika i pchnięciem otworzył bramę. Rzucił się w kierunku domu, słysząc falę nadchodzących zza rogu krzyków.

Powinien zaryzykować i zamknąć garaż. W przeciwnym razie mogliby zniszczyć mu prądnicę. Chyba jeszcze nie mieli czasu tego zrobić.

Podbiegł drogą podjazdową do garażu.

- Neville!

Odskoczył do tyłu, zobaczywszy Cortmana wypadającego z półmroku, jaki panował wewnątrz garażu.

Cortman wpadł na niego i niemal powalił go na ziemię. Poczul

mocne, zimne ręce Cortmana zaciskające się na jego gardle, na twarzy miał jego cuchnący oddech. Siłując się, potoczyli się na chodnik, a dwa białe kły wystające z ust Cortmana zbliżyły się do gardła Neville'a.

Natychmiast poderwał prawą pięść i poczul, jak zatrzymała się niemal w gardle Cortmana. Dobył się stamtąd zdławiony dźwięk. Zza rogu wypadł i, wrzeszcząc, biegł wzdłuż ulicy jeden z nich.

Zdecydowanym ruchem Robert Neville uchwycił Cortmana za jego długie, tłuste włosy i mocnym ciosem rzucił go wzdłuż ścieżki, aż z całym impetem uderzył w bok samochodu.

Błyskawicznie spojrział na ulicę. Nie ma już czasu na garaż! Rzucił

się do wejścia, mijając róg domu. Był już na werandzie. Nagle zamarł.

„O Boże, klucze!”

Wciągając gwałtownie powietrze, odwrócił się i z przerażeniem pobiegł do samochodu. Ben Cortman właśnie podnosił się, warcząc.

Neville unieszkodliwił go ciosem kolana w białą twarz, tak że upadł z powrotem na chodnik. Potem wpadłszy do samochodu wyrwał ze stacyjki spięte łańcuszkiem klucze. Kiedy schylony wychodził z szoferki, skoczył

na niego jeden z nich. Neville skulił się i schował z powrotem do samochodu. Skaczący człowiek potknął się o jego nogi i runął ciężko na chodnik. Robert Neville wyskoczył na zewnątrz i przemykając trawnikiem, kilkoma skokami znalazł się na werandzie.

Zatrzymał się na moment, by znaleźć właściwy klucz i wtedy kolejny skoczył na schody werandy. Impet jego ciała rzucił go na drzwi. Czul

znów na sobie ciepły fetor, ciężki od zapachu krwi, widząc, jak rozdziawione usta celują w jego gardło. Neville uderzył go kolanem w pachwinę, a potem, oparłszy się całym ciężarem o ścianę domu, uniósł

stopę i pchnął go na kolejnego wampira, który już dobiegał przez trawnik.

Sięgnął na oślep do drzwi i przekręcił klucz w zamku. Jednym pchnięciem otworzył drzwi i wśliznął się do środka. Odwracając się, by zatrzasknąć drzwi, zobaczył rękę sięgającą za nim do środka z szybkością pocisku. Przytrzasnął ją z całej siły drzwiami, aż dało się słyszeć chrzęst łamanych kości. Trzęsącymi się rękoma opuścił zasuwę.

Powoli opadł na podłogę i położył się na plecach. Leżał tak w ciemności, jego pierś unosiła się i

opadała jeszcze gwałtownymi ruchami, a nogi i ręce leżały na podłodze jakby bez życia. Na zewnątrz rozległo się wycie, uderzali pięściami w drzwi, wykrzykując jego nazwisko w atakach obłąkanej furii. Rzucali w dom cegłami i kamieniami, wyjąc i przeklinając go. Leżał, słuchając uderzeń kamieni o ściany i dach, dochodziło do niego ich zawodzenie.

Dopiero po chwili z trudem podniósł się i poszedł do barku. Połowa whisky, którą wlewał do szklanki, wylała się na podłogę i rozprysła po dywanie. Wypił to, co było w szklance i stał, trzęsąc się cały. Musiał

trzymać się barku, bo chwiejące się nogi odmawiały mu posłuszeństwa, gardło miał jak zasznurowane, nie potrafił opanować drżenia warg.

Powoli ciepło alkoholu nappełniło mu żołądek i zaczęło rozchodzić się po całym ciele. Oddychał już wolniej, jego pierś unosiła się i opadała miarowo.

Ożywił się dopiero wtedy, gdy usłyszał na zewnątrz jakiś potężny łomot.

Podbiegł do judasza i wyrzwał na zewnątrz. Ogarnęła go nagła fala wściekłości i zaczął zgrzytać zębami, gdy zobaczył swój samochód leżący na boku. Byli przy nim, rozbijali przednią szybę cegłami i kamieniami, wyrwali maskę i niszczyli silnik wściekłymi uderzeniami pałek, ich szaleńcze ciosy zostawiały wgłębienia w karoserii. Wypełniała go złość jak lejący się strumień rozgrzanego kwasu, z jego gardła dobywały się na wpół wypowiedziane przekleństwa, a dłonie zacisnęły się w ciężkie, białe pięści.

Odwrócił się pospiesznie, podszedł do lampy i starał się ją włączyć.

Nie działała. Warknął ze złości i pobiegł do kuchni. Lodówka też była wyłączona. Biegał tak z jednego pomieszczenia do drugiego. Nie działała też zamrażarka - zepsuje się cały zapas żywności. Dom wyglądał jak wymarły

Wybuchła w nim wściekłość. - „Dość tego!”

Ściśnięte gniewem dłonie wyrzucały wszystkie ubrania z szuflady w jego biurku, aż dotknęły znalezionych tam, załadowanych pistoletów.

Pospiesznie minął duży pokój, wyrwał z zaczepów zasuwę i rzucił ją z brzękiem na podłogę. Na zewnątrz rozległo się wycie, gdy usłyszeli, że otwiera drzwi.

„Wychodzę, przeklęte bękarty!” - krzyczał w myślach.

Nagłym ruchem otworzył drzwi i strzelił prosto w twarz jednemu z nich, który odwróciwszy się spadł z werandy. Podeszły do niego dwie kobiety w potarganych, umoczonych w błocie sukienkach. Patrzył jak rozkładały białe ramiona, by pochwycić go w objęcia. Widział, jak dosięgające ich kule szarpały ich ciałami. Odpychał je na bok, po czym zaczął strzelać w sam środek grupy, a jego poblądłe usta wykrzywiły się w dzikim krzyku.

Wystrzelał w ten sposób wszystkie naboje, potem stał na werandzie i jak oszalały okładał ich

pięściami. Zupełnie stracił rozum, widząc, że ci, których zastrzelił, znów rzucają się na niego. Wyrwali mu z rąk broń, więc walczył pięściami, łokciami, głową, kopał ich swoimi dużymi butami.

Dopiero czując piekący ból w zranionym ramieniu uświadomił

sobie, co robi i jak beznadziejny był ten wysiłek. Powalając jednym ciosem dwie kobiety, wycofał się do drzwi. W tym momencie ręka jednego z nich zakleszczyła się na jego szyi. Zginając się błyskawicznie w pól, przerzucił napastnika, który przeleciał ponad nim i wpadł głową w pozostałych. Neville rzucił się do drzwi i trzymając się framugi, wypchnął

kolejnego pracującymi jak tłoki nogami, a ten - spadając z werandy -

potoczył się w krzaki.

Potem, nim zdołali go znowu dopaść, zatrzasnął im drzwi przed nosem, przekręcił zamek, zasunął rygiel i włożył ciężką zasuwę w otwory po obu stronach drzwi.

Robert Neville stał w chłodnym mroku swojego domu i słuchał

krzyku wampirów. Stał przy ścianie, uderzając z wolna słabymi rękoma w tynk, a łzy spływały strumieniem po jego zarośniętych policzkach. W

krwawiącej ręce pulsował ból. Wszystko przepadło. Wszystko.

- Virginia - szlochał jak przestraszone, opuszczone dziecko -

Virginia, Virginia!

CZĘŚĆ DRUGA MARZEC 1976

Rozdział 6

W końcu udało się doprowadzić dom do stanu używalności.

Wyglądało to nawet lepiej niż poprzednio, bo wreszcie poświęcił

trzy dni, aby uszczelnić ściany. Teraz mogli sobie wyć i krzyczeć, ile się dało, a on nie musiał już tego słuchać. Szczególnie cieszył go fakt, że nie musiał już słuchać Bena Cortmana.

Wszystko to wymagało pracy i czasu. Rzeczą pierwszorzędną był

nowy samochód zamiast tego, który został przez nich zniszczony.

Zdobycie go okazało się trudniejsze niż sobie wyobrażał.

Trzeba było dostać się do Santa Monica, gdzie był jedyny sklep z samochodami marki Willys. Jedyne z tą marką miał doświadczenie, a czas nie sprzyjał jakimkolwiek eksperymentom. Nie mógł

ić do Santa Monica pieszo, więc pozostało mu spróbować uruchomić jedno z wielu aut, które stały w okolicy. W większości jednak były z takich czy innych powodów zepsute. Nieczynny akumulator, zatkana pompa paliwowa, brak benzyny, przebite opony.

Wreszcie w odległości około półtora kilometra od domu, w pewnym warsztacie uruchomił jeden z samochodów, którym pojechał pospiesznie do Santa Monica po drugą furgonetkę. Zainstalował w niej nowy akumulator, bak napełnił benzyną, na tył samochodu załadował blaszane pojemniki z benzyną i pojechał do domu. Na miejscu był godzinę przed zachodem słońca.

Dopilnował tego.

Na szczęście prądnicą nie była zniszczona. Najwidoczniej nie było to dla wampirów jasne, jakie ogromne znaczenie dla niego ma prądnicą, ponieważ właściwie pozostawili ją w spokoju, nie licząc rozerwanego przewodu i śladu kilku uderzeń pałką. Udało mu się ją uruchomić już następnego dnia rano po ich ataku i tym samym uchronić się przed zepsuciem zapasów jedzenia. Za to był bardzo wdzięczny, bowiem wiedział, że odkąd w mieście zabrakło prądu, nie było już możliwości zdobycia mrożonych produktów.

Poza tym musiał uporządkować garaż i pozbierać resztki zniszczonych żarówek, bezpieczników, przewodów, wtyczek, cyny lutowniczej, poskładać zapasowe części do silnika, znalazł też pudełko z nasionami, które sam tam kiedyś schował, nie pamiętał już kiedy.

Pralkę natomiast zniszczyli tak, że nie dało się jej naprawić i trzeba było postarać się o nową. Nie było to trudne. Najwięcej kłopotów sprawiło mu uporanie się z benzyną, którą powylewali z blaszanych pojemników w garażu.

„Przeszli samych siebie, rozlewając benzynę” - myślał poirytowany, kiedy wycierał ją z podłogi.

Wewnątrz domu pozaklejał pęknięte tynki i dla odmiany przykleił w pokoju nową fototapetę, by nadać mu inny wygląd.

Prawie mógł powiedzieć, że praca nad porządkowaniem domu sprawiła mu przyjemność. Od momentu, w którym się za nią zabrał, była dla niego ucieczką od rzeczywistości, mógł w ten sposób wyładować złość, w którą często wpadał. Poza tym była urozmaiceniem monotonii codziennych obowiązków, wywożenia ciał, napraw zewnętrznej części domu i wieszania czosnku.

Alkoholu używał w tych dniach raczej wstrzemięźliwie, udało mu się spędzić prawie cały dzień bez wypicia drinka, a te, które przyrządzał

sobie przed snem, stały się nawet przyjemnością, już nie były ślepą uliczką, którą chciał uciec od rzeczywistości. Poprawił mu się apetyt, przybrał na wadze dwa kilogramy i stracił przy tym trochę brzucha.

Nawet w nocy spał głębokim snem człowieka zmęczonego, nic mu się nie śniło.

Przez dzień lub dwa bawił się myślą o przeprowadzce do jakiegoś luksusowego apartamentu hotelowego. Zastanawiał się jednak, ile pracy musiałby włożyć w to, żeby nadał się do zamieszkania

- i zmienił zdanie.

Nie, nie, właściwie tu, w domu miał wszystko, co trzeba.

Siedział teraz w dużym pokoju i słuchając *Symfonii Jowiszowej* Mozarta, zastanawiał się, od czego ma zacząć swoje dociekania.

Owszem, znanych mu było kilka szczegółów, ale były tylko nieznacznymi punktami orientacyjnymi na wielkiej powierzchni, jaką stanowiła niezrozumiała dla niego przyczyna. Odpowiedzi należało szukać gdzie indziej. Najprawdopodobniej w jakimś fakcie, którego był

świadom, ale niedostatecznie doceniał. Kluczem była jakaś wiedza, której nie potrafił skojarzyć z całym obrazem swojej rzeczywistości.

Ale jaka?

Siedział nieruchomo w fotelu, w prawej dłoni trzymając szklanekę, zroszoną skraplającą się parą, z oczyma utkwionymi w obrazie, który przedstawiała fototapeta.

Był to widok kanadyjskich gęstych lasów: tajemnicze cienie zielonych chaszcz, drzewa wyniosłe, stojące w bezruchu, brzemienne ciszą natury, której nie naruszył człowiek. Wpatrywał się tak w gęstwinę zieleni i zastanawiał się.

„Być może, gdybym powrócił pamięcią do tamtych czasów. Być może odpowiedź była gdzieś w przeszłości, tkwiła w jakiejś zacienionej szczelinie pamięci.”

„Idź więc w przeszłość, wróć do tamtych dni” - podpowiadały mu własne myśli.

I z rozdartym sercem powędrował w przeszłość.

Tamtej nocy znów szalała burza piaskowa. Wiejący z wielką szybkością wiatr omiół wirującym kurzem i gruboziarnistym pyłem cały dom, wpychając się we wszystkie szczeliny, przesiewając pył przez pory w tynku tak, że meble pokryte były cieniutką warstwą piaskowego nalotu.

Kurz unosił się także nad ich łóżkiem, osiadał jak szlachetny puder w ich włosach, na powiekach, dostawał się za paznokcie, wnikał w pory w skórze ich ciał.

Przez pół nocy leżał bezsennie, wsłuchując się w oddech Virginii.

Nie słyszał jednak nic poza szumem i wyciem burzy. Przez chwilę zawieszony między jawą i snem wyobraził sobie, że ich dom znalazł się między jakimiś gigantycznymi żarnami, które szorowały ściany i dach swoją szorstką powierzchnią, wprawiając cały dom w drżenie.

Nigdy nie mógł przyzwycząić się do burzy. Zawsze, gdy słyszał

syczący dźwięk wirującego wiatru i tarcie pyłu o ściany, cierpła mu skóra.

Burze piaskowe nigdy nie zdarzały się na tyle regularnie, aby mógł się do nich przyzwyczaić. Zawsze po nieprzespanej nocy, kiedy przewracał się w łóżku, czuł się wykończony. Wychodząc rano, odczuwał zmęczenie ciała i umysłu.

Teraz martwił się o Virginie.

Około czwartej nad ranem ocknął się z płytkiego snu, us-

wiadamiając sobie, że burza już się skończyła. Zbudziła go cisza, która nastąpiła niespodziewanie i wydała się jego uszom jakimś nagłym szumem, który wtargnął w jego sen.

Podniósł się poirytowany, żeby poprawić poskręcaną na sobie piżamę i zauważył, że Virginia nie śpi. Leżała na plecach, wpatrując się w sufit.

- Co się dzieje? - wymamrotał zaspanym głosem.

Nic nie odpowiedziała.

- Kochanie?

Jej oczy powędrowały w jego kierunku.

- Nic - odpowiedziała. - Kładź się spać.

- Jak się czujesz?

- Tak samo.

- Hmm.

Leżał tak przez chwilę, patrząc na nią.

- No cóż - powiedział, odwracając się na drugi bok i zamknął oczy.

Budzik zadzwonił o szóstej trzydzieści. Zwykle Virginia naciskała wyłącznik, ale skoro teraz dalej dzwonił, wyciągnął rękę ponad jej nieruchomym ciałem i sam go wyłączył. Leżała ciągle na plecach i wpatrywała się w sufit.

- Co ci jest? - zapytał zmartwiony.

- Nie wiem - odpowiedziała - jakoś nie mogę spać.

- Dlaczego?

Wydała jakiś dźwięk, który wyrażał niezdecydowanie.

- Dalej czujesz się słaba? - zapytał.

Próbowała się podnieść, ale nie dała rady.

- Leż, kochanie - powiedział - nie podnoś się - położył rękę na jej czole. - Nie masz gorączki - powiedział jej.

- Nie czuję się chora - odpowiedziała - tylko zmęczona.

- Jesteś blada.

- Wiem, wyglądam jak duch.

- Nie wstawaj.

Już się podniosła.

- Nie będę się rozpieszczać - powiedziała. - Daj spokój, ubierz się, nic mi nie będzie.

- Kochanie, jeśli nie czujesz się dobrze, nie powinnaś wstawać.

Uśmiechnęła się, głaszcząc go po ramieniu.

- Nic mi nie będzie - powiedziała - szykuj się.

Goląc się, usłyszał za drzwiami łazienki szuranie jej pantofli.

Otworzył drzwi i patrzył, jak bardzo wolnym, nieco chwiejnym krokiem szła przez duży pokój otulona w szlafrok. Wracając do łazienki kiwał

głową. „Powinna była zostać w łóżku.”

Cała umywalka przysypana była warstwą pyłu. Przeklęty, szarawy nalot był na wszystkim. Był w końcu zmuszony, by nad łóżkiem Kathy rozłożyć coś w rodzaju namiotu, aby ochronić jej twarz przed pyłem. Z

jednej strony połowę długości materiału przybił do ściany obok łóżka tak, że swobodnie na nie opadał, drugi brzeg materiału podtrzymywały dwie listwy zamocowane z boku łóżka.

Nie mógł się dobrze ogolić, bo w mydle było pełno piasku, ale nie miał czasu, by drugi raz nałożyć pianę. Opłukał twarz i wyjąwszy z szafki w przedpokoju czysty ręcznik, wytarł się.

Szedł do sypialni, aby się ubrać, lecz przedtem zajrzał do pokoju Kathy.

Spała, jej mała główka o blond włosach leżała nieruchomo na poduszce, a różowe policzki wskazywały na głęboki sen. Przejechał

palcem po rozpiętym nad łóżkiem materiale, na palcu była szara smuga kurzu. Oburzony kiwał głową, wychodząc z pokoju.

- Chciałbym, żeby się już skończyły te cholerne kurzawy -

powiedział, wchodząc dziesięć minut później do kuchni - jestem pewien...

Zamilkł. Zwykle stała przy kuchence, odwracając na drugą stronę jajka, tosty albo naleśniki, przygotowywała kawę. Teraz siedziała przy stole. Na kuchence bulgotała kawa, ale poza tym nic nie było nastawione.

- Kochanie, jeśli nie czujesz się dobrze, idź się położyć- powiedział

jej - sam przygotuję sobie śniadanie.

- Już dobrze - odpowiedziała. - Właśnie odpoczywałam.

Przepraszam cię, już wstaję i usmażę ci jajka.

- Zostań tam - odparł - sam przecież potrafię to zrobić.

Podszedł do lodówki i otworzył drzwi.

- Chciałabym wiedzieć, co się tu dzieje - powiedziała - połowa ludzi na naszej ulicy czuje się tak samo i ty też mówisz, że u ciebie pół

elektrowni nie przychodzi do pracy.

- Być może to jakiś wirus - powiedział.

- Sama nie wiem - pokiwała głową.

- Te burze piaskowe, komary, wszyscy chorują, nagle życie staje się nieznośne - powiedział, nalewając z butelki sok pomarańczowy. - Sam diabeł macza w tym palce.

Wyciągnął ze szklanki czarny pyłek, który znalazł w swoim soku pomarańczowym.

- Jak się to, do diabła, dostaje do lodówki, tego nie mogę zrozumieć

- powiedział.

- Dla mnie nie lej, Bob - powiedziała.

- Nie chcesz soku pomarańczowego?

- Nie.

- Dobrze ci robi.

- Nie, dziękuję ci, kochanie - powiedziała, starając się uśmiechać.

Odstawił butelkę z sokiem i trzymając swoją szklankę, usiadł obok niej.

- Nie czujesz żadnego bólu? - spytał. - Nie boli cię głowa ani nic?

Powoli potrząsnęła głową.

- Sama chciałabym wiedzieć, co mi jest - odpowiedziała.

- Zadzwoń dziś do doktora Busha.

- Dobrze - odparła, starając się podnieść. Położył na jej dłoni swoją dłoń.

- Nie, nie wstawaj, zostań tu - powiedział.

- Ale przecież nie ma żadnego powodu, żeby tak źle się czuć - w jej głosie wyczuwało się pretensje. Mówiła tak zawsze, odkąd ją znał. Zawsze, gdy chorowała, denerwowało ją to. Choroba wprawiała ją w rozdrażnienie. Tak jakby była to dla niej osobista zniewaga.

- Chodź, pomogę ci pójść do łóżka. - powiedział, podnosząc się z miejsca.

- Nie, pozwól, niech trochę tu z tobą posiedzę - położę się, jak Kathy pójdzie do szkoły.

- Dobrze, ale może ci coś podać?

- Nie.

- Może chcesz kawy? Potrząsnęła głową.

- Naprawdę się rozchorujesz, jeśli nie będziesz jeść - powiedział.

- Po prostu nie jestem głodna.

Dopił sok i wstał, żeby usmażyć jajka. Rozbił je o brzeg rondla i wylał zawartość skorupki na roztopiony boczek. Wyjął z szuflady chleb i podszedł z nim do stołu.

- Daj go, ja zrobię grzanki - powiedziała Virginia - a ty dopilnuj... o Boże!

- Co się stało?

Oslabioną dłonią odpędzała coś sprzed siebie.

- Komar - powiedziała z grymasem na twarzy.

Podniósł się i po chwili zgniótł go w dłoniach.

- Komary - powiedziała - muchy i pchły.

- Wchodzimy w erę owadów - dodał.

- To niedobrze - odparła - bo przenoszą choroby. Powinniśmy też nad łóżkiem Kathy rozpiąć siatkę.
- Wiem - powiedział, wracając do kuchenki i przechylając rondel tak, że rozgrzany tłuszcz rozlał się po ściętym białku. - Właśnie miałem zamiar to zrobić.
- Spray też chyba na nie nie działa - powiedziała Virginia.
- Nie działa?
- Nie.
- Mój Boże, a miał być najlepszy, jaki mieli w sklepie.

Wyłożył sadzone jajka na talerz.

- Na pewno nie chcesz kawy? - spytał ją.
- Nie, dziękuję.

Kiedy usiadł, podała mu posmarowaną masłem grzanekę.

- Niech to diabli, mam nadzieję, że nie wyhodujemy tu jakichś super robali - powiedział. - Pamiętasz ten gatunek pasikonika giganta, który znaleźli w Colorado?
- Tak.
- A może te owady przechodzą jakieś... jak to się nazywa? Mutacje.
- Co to znaczy?

- Znaczy, że... one się zmieniają. Nagle. W swoim rozwoju przeskakują kilkanaście ewolucyjnych stadiów. Być może rozwijają się też w jakimś normalnym kierunku, w którym ich rozwój nigdy nie potoczyłby się, gdyby nie...

Nastąpiło milczenie.

- Gdyby nie bombardowanie? - powiedziała.
- Prawdopodobnie - odparł.
- Przypuszczalnie ich winą są też szalejące tu kurzawy.

Prawdopodobnie powodują wiele rzeczy.

Westchnęła ciężko i pokiwała głową.

- I jeszcze powiedzą ci, że wygraliśmy wojnę - mruknęła.

- Nikt jej nie wygrał.

- Komary wygrały.

Uśmiechnął się nieznacznie.

- Tak, chyba rzeczywiście one - powiedział.

Siedzieli tak przez chwilę nie mówiąc nic, a jedynym dźwiękiem słyszalnym w kuchni był brzęk widelca o talerz i kubka stawianego na spodek.

- Zaglądałeś do Kathy w nocy? - spytała.

- Zajrzałem tam przed chwilą. Wszystko w porządku.

Popatrzyła na niego zamyślona.

- Zastanawiałam się, Bob - powiedziała - może powinniśmy wysłać ją na wschód, do twojej matki, aż ja poczuję się lepiej. Może to jest zaraźliwe.

- Tak, możemy, ale jeśli rzeczywiście jest zaraźliwe, tam nie będzie bardziej bezpieczna niż jest tu - rzekł z powątpiewaniem.

- Tak myślisz? - była zmartwiona.

- Nie wiem, kochanie - wzruszył ramionami - może tu jest równie bezpieczna. Jeśli w dzielnicy sytuacja się pogorszy, nie puścimy jej do szkoły.

Zaczęła coś mówić, ale przerwała.

- Dobrze - powiedziała.

Spojrzał na zegarek.

- Muszę się zbierać - powiedział.

Kiwnęła głową, a on kończył jeść. Kiedy dopijał kawę, spytała go, czy poprzedniego dnia kupił gazetę.

- Jest w dużym pokoju - powiedział.

- Piszą coś nowego?

- Nie, ciągle to samo. Panuje w całym kraju, trochę tu, trochę tam.

Jak dotąd nie zdołali znaleźć żadnych drobnoustrojów.

Przygryzła dolną wargę.

- Więc nikt nie wie, co to jest?
- Wątpię w to, gdyby wiedzieli, na pewno już napisaliby coś.
- Ale muszą mieć przynajmniej jakieś pojęcie.
- Każdy jakieś ma, tylko że te pojęcia nie są nic warte.
- Ale co mówią?
- Właściwie wszystko, począwszy od wojny zarasków.
- Myślisz, że to jest to?
- Walka zarasków?
- Tak - powiedziała.
- Wojna się skończyła - odparł.
- Bob - zaczęła nagle - może nie powinieneś iść do pracy?

Uśmiechnął się bezradnie.

- A co mam zrobić? - spytał. - Przecież musimy jeść.
- Tak, wiem, ale...

Dosięgnął jej ręki ponad stołem i poczuł, jaką zimną ma dłoń.

- Wszystko będzie dobrze, kochanie - powiedział.
- Mam posłać Kathy do szkoły?
- Myślę, że tak - powiedział. - Chyba że władze wydadzą zakaz i zamkną szkoły. W przeciwnym razie nie sądzę, że powinniśmy trzymać ją w domu. Przecież nie jest chora.
- Ale pozostałe dzieci w szkole.

Jakiś cichutki dźwięk dobył się z jej gardła. Potem powiedziała.

- Dobrze, skoro tak myślisz.
- Czy mam coś jeszcze zrobić, zanim pójdę? - spytał.

Zaprzeczyła kiwnięciem głowy.

- Masz dzisiaj zostać w domu - powiedział jej - połóż się do łóżka.

- Dobrze, położę się - odparła - jak tylko wyprawię Kathy.

Dotknął czule jej dłoni. Na zewnątrz odezwał się klakson.

Dokończył kawę i poszedł do łazienki, żeby wypłukać usta. Potem, wyjąwszy z szafy w przedpokoju kurtkę, narzucił ją na siebie.

- Do widzenia, kochanie - powiedział, całując ją w policzek - już nie martw się.

- Do widzenia - powiedziała - bądź ostrożny.

Idąc przez trawnik, czuł w ustach ziarna pyłu, które unosiły się w powietrzu, czuł, jak suchy kurz, który wciągał przez nos, drażni jego śluzówki.

- Serwus - powiedział wsiadając do samochodu i zamykając za sobą drzwi.

- Dzień dobry - odpowiedział Ben Cortman.

Rozdział 7

Wyciąg z *Allium sativum*, rząd: liliowate, zawiera czosnek, por, cebulę, szalotkę i szczypiorek. O bladym kolorze i przenikliwym zapachu, zawiera siarczany allilu. Skład: woda - 64%, białko - 6,8%, tłuszcz - 0,1%, węglowodany - 26,3%, łyko - 0,8%, popiół - 1,4%.

To jest to. Podrzucił w prawej dłoni skórzasty pazurek różowego koloru. Minęło już siedem miesięcy, odkąd łączył je w związki o przenikliwym zapachu i wieszał na zewnątrz domu, nie mając najmniejszego pojęcia, dlaczego odstrasza wampiry. Najwyższy czas, by się tego dowiedzieć.

Położył ząbek czosnku na brzegu zlewu. Por, cebula, szalotka i szczypiorek. Czy to zadziała tak jak czosnek? Jeśli będą skuteczne, poczuje się wystrychnięty na dudka. Szukać czosnku w promieniu kilku mil, skoro wokół pełno cebuli.

Rozgniótł czosnek na miazgę i powąchał pozostały na ostrzu tasaka gryzący płyn.

„No dobrze, co teraz?” Jego wspomnienia z przeszłości nie były mu w żadnym stopniu pomocne. Ciągłe przypuszczenia, że owady są nosicielami jakiegoś wirusa, ale to nie była przyczyna. Był tego pewien.

Wspomnienia przyniosły natomiast co innego. Ból. Każde słowo z przeszłości, które sobie przypominał, było jak obracające się w jego ciele ostrze. Z każdym wspomnieniem o niej otwierały się stare rany. Musiał je w końcu przerwać; oczy miał zamknięte, pięści zaciśnięte, próbował

akceptować swoją terażniejszość za wszelką cenę i nie dopuszczać do siebie tęsknoty za przeszłością, która zaczynała trawić jego ciało. Jednak jedynie alkohol zdołał stępić ostrze wspomnień i odsunąć obezwładniający smutek, jaki z nimi przychodził.

Postanowił się skoncentrować.

„No dobrze, niech to licho” - powiedział do siebie - ”musisz coś zrobić!”

Popatrzył jeszcze raz na tekst, „woda - czy to mogło być to?” - pytał

siebie samego. „Nie, przecież to bez sensu, wszystko zawiera wodę. Może białko? Nie. Tłuszcz? Nie. Węglowodany? Nie. Łyko? Nie. Popiół? Nie.

Więc co?”

Wrócił do tekstu.

„Czosnek ma swój charakterystyczny smak i zapach dzięki wysokiej zawartości olejku, który stanowi 0,2% wagi. Olejek ten składa się w głównej mierze z siarczanu allilu i izotiocjanatu allilu.” Może odpowiedź tkwi tutaj!

Znów sięgnął do książki. „Siarczyn allilu można uzyskać podgrzewając olej musztardowy z siarczynem potasowym do temperatury stu stopni.”

Opadł jeszcze głębiej w stojący w dużym pokoju fotel i rozgorączkowany westchnął głęboko.

„A gdzie ja u licha znajdę olej musztardowy i siarczyn potasu?”

Skąd wezmę sprzęt, żeby to przygotować?”

„No, pięknie!” - robił sobie wyrzuty - „pierwszy krok i już leżę.” Zniechęcony wstał z fotela i poszedł w kierunku baru. Jednak w trakcie nalewania sobie whisky z trzaskiem zatkał butelkę. Na Boga, nie chciał posuwać się naprzód jak ślepiec, nie miał zamiaru staczać się bezmyślnie po pochyłej ścieżce bezsensownej egzystencji, aż się to wszystko skończy jego starością lub wcześniej jakimś wypadkiem. Albo znajdzie odpowiedź, albo skończy z tym całym bałaganem i ze sobą.

Spojrzał na zegarek. Dwadzieścia po dziesiątej rano. Jest jeszcze czas. Poszedł energicznie do przedpokoju i zaczął przeglądać książki telefoniczne. Było jedno miejsce w Inglewood.

Cztery godziny później podniósł się znad laboratoryjnego stołu.

Czuł, jak w karku złapał go kurcz. W ręce trzymał strzykawkę z siarczynem allilu. Po raz pierwszy od czasu swojego przymusowego odosobnienia miał poczucie, że coś osiągnął.

Nieco podekscytowany pobiegł do samochodu i odjechał, mijając teren, który oczyścił i zaznaczył drążkami pomazanymi kredą. Wiedział

jednak, i było to bardzo prawdopodobne, że mogli tam wejść i znów schować się gdzieś. Nie miał teraz czasu na przeszukiwanie.

Postawiwszy samochód przed jednym z mijanych domów wszedł do środka i udał się do sypialni. Leżała tam kobieta, na jej ustach widać było jeszcze plamy krwi.

Przewróciwszy ją na brzuch podwinął spódnicę i wstrzyknął

siarczyn allilu w jej miękkie, mięsiste pośladki. Potem odwrócił ją na plecy i odszedł krok w tył. Stał tam przez pół godziny i obserwował.

Nie stało się nic.

„To nie ma sensu” - klócił się z myślami. „Wieszałem czosnek na zewnątrz domu i to odstraszało wampiry, a teraz wstrzykuję jej najważniejszy składnik czosnku i nic się nie dzieje.”

„Niech to diabli, nic się nie stało!”

Rzucił strzykawkę i trzęsąc się ze złości, wrócił sfrustrowany do domu. Zanim się ściemniło, poustawiał na trawniku przed domem drewniane wsporniki, na których pozawieszał pęczki cebuli. Nocą pogrążył się w apatii i tylko świadomość, że ma jeszcze dużo do zrobienia, powstrzymywała go od alkoholu.

Rano wyszedł przed dom i popatrzył na kołki, które ustawił na trawniku.

Krzyż. Trzymał w ręce złoty krzyż, który błyszczał w słońcu. To także odstraszało wampiry. Ale dlaczego? Czy była na to pytanie jakaś logiczna odpowiedź, którą mógłby przyjąć nic pośliznąwszy się jednocześnie na niepewnym gruncie mistyki?

Na to, żeby się o tym przekonać, był tylko jeden sposób.

Wyciągnął z łóżka kobietę, starając się nie zwracać uwagi na pytanie, które zadawał mu wewnętrzny głos. „Dlaczego swoje doświadczenia zawsze przeprowadzasz na kobietach?” Nawet nie zadał

sobie trudu, by sobie wytłumaczyć, że to nie miało żadnego znaczenia. Po prostu była jednym z nich, osobnikiem pierwszym z brzegu. To wszystko.

„A co z tym mężczyzną w dużym pokoju? Na miły Bóg! Przecież nie zamierzam jej zgwałcić!” - odparował w myślach.

„Obiecujesz, Neville? Odpukać w niemalowane drewno?” Zignorował ten głos. Zaczął podejrzewać, że w jego umyśle znalazł

schronienie ktoś obcy. Kiedyś był skłonny nazywać go głosem sumienia.

Teraz nazywał to rozdrażnieniem. W końcu moralność upadła razem ze społeczeństwem. Teraz sam dla siebie określał, czym jest etyka.

„Niezłą sobie wymyśliłeś wymówkę, Neville? Och, zamknij się.” Ale nie pozwolił sobie na przebywanie blisko niej w trakcie popołudnia. Przywiązał ją mocno do krzesła i resztę czasu spędził w garażu, krzątając się przy samochodzie. Miała na sobie rozerwaną czarną sukienkę, która odsłaniała zbyt dużo, gdy kobieta oddychała. „Nie pamiętam, jeśli nie widzę.” Oczywiście kłamstwo, dobrze wiedział, ale nie dopuszczał do siebie tej myśli.

W końcu, ulitowawszy się nad nim, nadeszła noc. Zamknął

garażowe drzwi, wróciwszy do domu zamknął na zamek drzwi frontowe, zasunął ciężką zasuwę. Potem przygotował sobie drinka i usadowił się na tapczanie przed krzesłem, na którym siedziała kobieta.

Do sufitu zamocował krzyż, tak że wisiał tuż przed jej twarzą.

O szóstej trzydzieści nagle otworzyła oczy, tak jak śpiący, który wie, że po przebudzeniu ma zrobić coś konkretnego, który ze snu do jawy przechodzi pojedynczym, precyzyjnym ruchem, od razu wiedząc, co się wokół dzieje.

Wtedy zobaczyła krzyż, nagłym ruchem odwróciła od niego oczy i ciężko wciągając powietrze, wiała się przywiązana do krzesła.

- Dlaczego się tego boisz? - spytał zaskoczony dźwiękiem swojego głosu po tak długim czasie.

Gdy nagle zobaczył jej oczy skierowane na siebie, przeszyły go ciarki. Jarzyło się w nich jakieś światło, poza tym sposób, w jaki jej język przesuwiał się po czerwonych wargach! Zupełnie tak, jakby w jej ustach żył swoim własnym życiem. Jej ciało skręcało się tak, jakby za wszelką cenę chciało znaleźć się bliżej niego. Jej gardło napełniło się jakimś warczeniem, które przypominało dźwięk wydawany przez psa broniącego swej kości.

- Krzyż - rzucił nerwowo. - Dlaczego się go boisz?

Wyginając się naprężyła więzy, którymi przywiązana była do krzesła, rękami drapiąc jego boki. Nie usłyszał od niej żadnych słów, tylko chrapliwy, ciężki oddech. Jej ciało wilo się na krześle, a oczy drażyły go palącym wzrokiem.

- Krzyż! - rzucił ze złością.

Stojąc, wypuścił z rąk szklanekę, whisky rozprysnęła się po dywanie.

Napiętymi palcami pochwycił sznurek, na którym zawieszony był krzyż tak, że znalazł się tuż przed jej oczyma. Gwałtownie odrzuciła głowę warknąwszy z przerażenia i skuliła się w krześle.

- SPÓJRZ NA TO! - wrzasnął na nią.

Jęknęła z przerażenia. Jej oczy wędrowały dziko po całym pokoju, duże, białe oczy i źrenice podobne do kawałków sadzy.

Chwycił za ramię, ale natychmiast odsunął rękę. Ze świeżo zadanych zębami ran kapała krew.

Mięśnie jego brzucha gwałtownie się skurczyły. Znow wyciągnął

rękę, tym razem uderzając ją w twarz tak, że jej głowa poleciała gwałtownie na bok.

Dziesięć minut później wyrzucił na zewnątrz jej ciało, zatraskując drzwi wejściowe tuż przed ich twarzami. Potem stał tam oparty o drzwi i oddychał ciężko. Przez uszczelnione ściany doleciały do jego uszu dźwięki przywodzące na myśl szakali walczących o zdobycz.

Poszedł do łazienki i wylał trochę alkoholu na rany, które zadała mu zębami. Bolesną przyjemność sprawił mu palący ogień, który zapłonął w zranionym miejscu.

Rozdział 8

Schyliwszy się Neville prawą dłonią nabrał trochę ziemi. Pod naciskiem jego palców jej ciemne grudy kruszyły się w pył.

„Ilu ich spało w ziemi, jeśli wierzyć tej historii?” - zastanawiał się.

Pokiwał głową - „Tylko nieliczni wybrańcy.”

„I jak tu wierzyć legendzie?”

Zamknął oczy, pozwalając ziemi, którą miał w dłoni, przesypać się przez palce. Czy w ogóle jest jakaś odpowiedź? Gdyby tylko pamiętał, czy ci, którzy zakopywali się w ziemi, powracali potem do życia. Mógł tylko przypuszczać, że tak było.

Nie pamiętał. Jeszcze jedno pytanie, na które nie było odpowiedzi.

Można je dołożyć do tego, które przyszło mu do głowy poprzedniej nocy: Jak zachowa się mahometański wampir, napotykając na krzyż?

Zaskoczył go i przestraszył szczekliwy odgłos własnego śmiechu, który rozległ się w porannej ciszy.

„Dobry Boże” - pomyślał - „nie śmiałem się już tak dawno, już zapomniałem, jak się to robi. Zabrzmiało to jak szczekanie chorego psa.

No cóż, a kimże ja właściwie jestem. Przecież to prawda” - stwierdził. -

„Jestem starym, schorowanym psem.”

Około czwartej nad ranem tej nocy znów była burza piaskowa.

Wywołała w nim wspomnienia. Virginia, Kathy i tamte potworne dni.

Złapał się na tym. O, nie, to było niebezpieczne. Wspomnienia powodowały, że sięgał po butelkę. Zwyczajnie trzeba pogodzić się ze swoją terażniejszością.

Znów zauważył, że zastanawia się, po co jeszcze żyje, dlaczego postanowił utrzymać się przy życiu.

„Właściwie” - myślał - „nie ma ku temu żadnego powodu. Zbyt jestem bezwolny, żeby z tym skończyć.”

„No, dobrze” - zatarł ręce, udając, że podjął jakąś decyzję - „co teraz?” - rozejrzał się wokół siebie, jakby w bezruchu ulicy Cimarron można było coś zobaczyć.

„Tak” - zaczął impulsywnie - „sprawdźmy ten pomysł z cieknącą wodą.”

Zakopał pod ziemią część węża doprowadzającego wodę, którego koniec wchodził do drewnianej rynny. Woda przepływała przez nią i wylewała się przez otwór z drugiej strony. Wąż odprowadzał ją do ziemi.

Po skończeniu wrócił do domu, wykapał się pod prysznicem, ogolił i zdjął bandaż, którym owinięta była jego dłoń. Rana zagoiła się bardzo dobrze. Ale to nie było przedmiotem jego zmartwienia. Doświadczenie dostarczyło mu wystarczającej ilości dowodów, że odporny jest na infekcję z ich strony.

O szóstej dwadzieścia poszedł do dużego pokoju i spojrzął przez judasza. Przeciągnął się nieco, jęknął przy tym, odczuwając ból w mięśniach. Nic się jeszcze nie działo, więc wrócił, by przygotować sobie drinka.

Kiedy wrócił i wyrztał znowu, Ben Cortman wchodził właśnie na trawnik.

- Wychodź, Neville! - wymamrotał pod nosem Robert Neville i natychmiast, jak echo, Cortman głośnym krzykiem powtórzył te same słowa.

Stojąc tam nieruchomo, Neville wpatrywał się w Cortmana. Ben nie zmienił się wiele. Miał nadal czarne włosy, tak samo białą twarz, był

raczej korpulentny. Miał jednak rzadką brodę wokół podbródka, na policzkach i na szyi i gęste wąsy. To była właściwie jedyna różnica. Za starych, minionych dni Ben był zawsze nieskazitelnie ogolony, pachniało od niego wodą kolońską każdego dnia rano, kiedy przyjeżdżał po Neville'a w drodze do elektrowni.

Było to dziwne uczucie stać tak i patrzeć na Bena Cortmana.

Cortmana, który był mu teraz zupełnie obcy. Kiedyś przecież dojeżdżał z nim do pracy, rozmawiali o samochodach, o siatkówce, o polityce, później o epidemii, o tym, jak miewa się Virginia i Kathy, co słyhać u Fredy Cortman, o...

Neville potrząsnął głową. Nie ma sensu tego rozpamiętywać.

Przeszłość odeszła tak jak Cortman. Znowu potrząsnął głową.

„Świat oszalał” - pomyślał - „umarli spacerują sobie wokół i ja nie wiem, co mam o tym myśleć. To, że ciała zmarłych powracają, stało się błażostką. Proszę, jak szybko człowiek akceptuje to, co niewiarygodne, byle tylko przyglądał się temu przez jakiś czas!”

Neville stał tam popijając whisky i zastanawiał się, kogo przypomina mu Ben. Już od jakiegoś czasu miał wrażenie, że Cortman jest do kogoś podobny, ale za nic nie potrafił skojarzyć do kogo.

Wzruszył ramionami. Jakie to miało znaczenie?

Postawił szklanke na parapecie i poszedł do kuchni. Odkręcił wodę, po czym wrócił do Judasza. Na zewnątrz prócz Cortmana zobaczył

kolejnego mężczyznę i kobietę, którzy pojawili się na trawniku. Żadne z tej trójki nic nie mówiło. Nigdy ze sobą nie rozmawiali. Kręcili się w pobliżu domu niestrudzenie, krążąc wokół siebie jak stadko wilków, nigdy nie spoglądając na siebie, ich głodne oczy wpatrzone były jedynie w dom, gdzie był ich łup.

Cortman zobaczył wodę płynącą w rynience i podszedł, aby się jej przyjrzeć. Po chwili podniósł białą twarz, na której Neville zobaczył

grymas szerokiego uśmiechu.

Neville zamarł.

Cortman przeskakiwał przez rynnę, potem z powrotem. Neville poczuł, jak ścisnęło mu gardło. A więc drań wiedział!

Na sztywnych nogach poszedł do sypialni i drżącymi rękami wyjął z szuflady w biurku jeden ze swoich pistoletów.

Cortman akurat kończył obskakiwanie rynny, gdy kula przedziurawiła mu lewe ramię. Odrzuciło go w tył, potykając się runął z jękiem na chodnik, wierzgając nogami. Neville strzelił znowu, tym razem kula odbiła się od chodnika i ze świstem przeszła tuż obok wijącego się ciała Cortmana.

Warknąwszy Cortman podniósł się i trzecia kula trafiła go prosto w pierś. Neville stał tak i patrzył. Czuł gryzący zapach dymu, który wydobywał się z broni. W tym momencie jakaś kobieta zasłoniła mu Cortmana i gwałtownymi ruchami zaczęła podnosić sukienkę.

Neville odskoczył od wizjera, zasłaniając go klapką. Nie mógł sobie pozwolić, by patrzeć na takie rzeczy. Już w pierwszej sekundzie poczuł ów drapieżny płomień ogarniający go od lędźwi.

Potem wyjrzał znowu i zobaczył Bena Cortmana chodzącego wokół, jak nawoływał go do wyjścia na zewnątrz. I wtedy, widząc go w świetle księżyca, nagle uświadomił sobie, kogo mu Cortman przypominał. Na samą myśl wybuchnął tłumionym śmiechem. Jego pierś zaczęła drgać.

Odwrócił się, kiedy drgania ogarnęły jego ramiona.

„Mój Boże, *Oliver Hardy*! Jeden z tych dwojga, których oglądał na filmie wyświetlonym przez projektor. Cortman jak nic przypominał tego pulchniutkiego komika. Może nie był tak pulchny, ale teraz też miał wąsy.

Oliver Hardy przewracający się pod uderzeniami kul. Oliver Hardy zawsze powracający po jeszcze, nieważne, co się działo. Pod ostrzałem z broni, przebijany nożami, przejeżdżany przez samochody, rozgniatany przez walące się kominy, zmiotany przez wodowane statki, wrzucany do rur. Zawsze

powracający z kilkoma siniakami i cierpliwy. Oto kim był Ben Cortman - szkaradny, drapieżny Oliver Hardy, sponiewierany, ale równie wytrzymały.

„Mój Boże, to dopiero zabawne!”

Nie przestawał się śmiać. Był to śmiech, który przynosił mu ulgę. Po policzkach ciekły mu łzy. Jego dłoń tak zaczęła się trząść, że rozlał cały alkohol na ubranie. Wprawilo go to w tym większą wesołość. Potem upuścił szklankę, która potoczyła się po dywanie, wydając głuche odgłosy.

Jego ciałem wstrząsały niekontrolowane już ataki rozbawienia, cały pokój napełnił się spazmatycznym, nerwowym śmiechem.

Potem płakał.

Ciosy żerdzią zadawał w brzuch, ramię, szyję, czasem w rękę albo w nogę, pojedynczym uderzeniem młotka. Efekt był zawsze ten sam: wybuchała purpurowa krew, która rozlewała się gładkim strumieniem po białym cieple.

Spodziewał się, że tu była odpowiedź, pozbawiał ich krwi, dzięki której żyli, zabijał ich krwotok.

Lecz któregoś dnia, w niewielkim biało - zielonym domu znalazł

kobietę. Jak zawsze posłużył się żerdzią, ale rozkład ciała, który potem nastąpił, był tak szybki, że Neville odsunawszy się natychmiast zwrócił

wszystko, co jadł tego dnia na śniadanie.

Kiedy przyszedł do siebie na tyle, by popatrzeć znów na łóżko, zobaczył na nim rozsypaną mieszaninę soli i pieprzu, która odpowiadała długości ciała kobiety. Po raz pierwszy widział coś podobnego.

Wstrząśnięty tym widokiem poszedł wtedy do samochodu na roztrzęsionych nogach i siedział w nim przez godzinę opróżniwszy w tym czasie butelkę alkoholu. Nawet whisky jednak nie zdołała rozproszyć w nim tego obrazu.

„To było tak *blyskawiczne*. Najpierw uderzenie młotka o żerdź, a potem ciało rozpadło się dosłownie na moich oczach.” Przypomniawszy sobie, jak pewnego dnia rozmawiał w pracy z Murzynem, który studiował medycynę sądową. Opowiadał on o tym, że w mauzoleach zwłoki przechowuje się w pomieszczeniach próżniowych, dzięki temu nigdy nie zmieniają swego wyglądu.

- Ale wystarczy, że wpuści się do wewnątrz trochę powietrza - mówił

wtedy do Neville'a - i pssss! To, co z nich zostaje przypomina kupkę soli z pieprzem. *I to tak*, w mgnieniu oka - pstryknął przy tym palcami, obrazując, jak szybko rzecz się odbywa.

W takim razie ta kobieta nie żyła już od dość długiego czasu. „Być może” - pomyślał - „była jedną z tych, którzy rozpętali epidemię. Bóg raczy wiedzieć, ile lat oszukiwała śmierć.”

Incydent ten zupełnie pozbawił go odwagi, by coś jeszcze tego dnia zrobić. Także przez kilka następnych dni nie był w stanie rozprawić się z nimi. Siedział cały czas w domu, na zewnątrz którego był coraz większy bałagan, a na trawniku leżało coraz więcej ciał. Zamknął się w środku pił, żeby zapomnieć.

Całymi dniami siedział w fotelu z alkoholem w pobliżu, myśląc o tej kobiecie. Myśli o Virginii przychodziły niezależnie od tego, jak mocno starał się je powstrzymać i jak dużo wlewał w siebie whisky. Uparcie powracał doń obraz, kiedy on sam wchodzi do krypty i otwiera wieko trumny.

Już myślał, że zaczyna się z nim dzieć coś poważnego. Nie był w stanie zapanować nad wstrząsającymi nim dreszczami, tak bardzo było mu zimno, tak czuł się chory.

„Czy ona tak właśnie wyglądała?”

Rozdział 9

Poranek. Przepojona słonecznym światłem cisza, którą przerywał tylko śpiew ptaków dochodzący z drzew. Żaden powiew nie poruszał bogato kwitnącej roślinności wokół domów, nieruchome były krzaki i żywopłoty o ciemnozielonych liściach. Nad wszystkim, co znajdowało się na ulicy Cimarron, wisiał bezgłośny obłok upału.

Tego dnia przestało bić serce Virginii Neville.

Siedział przy niej na łóżku, patrząc na jej białą twarz. Trzymał jej dłoń i bezradnie gładził ją opuszkami palców. Był całkowicie nieruchomy, jego ciało przypominało pozbawioną zdolności odczuwania masę kości i mięśni. Powieki były nieruchome, usta rysowały się na twarzy niewzruszoną linią, oddech był tak nieznaczny, że można było przypuszczać, iż w ogóle się zatrzymał.

Coś stało się z jego umysłem.

W momencie, gdy palce przestały czuć puls w dłoni, którą trzymał, wydawało mu się, że jego mózg zamienił się w skamielinę, że wysyłał

jeszcze jakieś urywane impulsy, aż głowa stała się podobna do kamienia.

Powolnym ruchem, na sparaliżowanych nogach uklęknął przy łóżku.

Gdzieś w głębi, poza rzeczywistością kłębiły się w nim myśli, nie mógł

pojąć, czemu rozpacz nie powaliła go na ziemię, jak mógł tak zwyczajnie siedzieć. Ale załamanie nie przyszło. Czas znieruchomiał Jakby zawieszony na hakach wydarzeń, nie mógł posuwać się naprzód.

Zatrzymało się wszystko. Wraz z Virginią życie i cały świat zadrżał w posadach i znieruchomiał.

Minęło pół godziny, czterdzieści minut.

Potem z wolna, jakby odkrywał jakieś obiektywnie istniejące zjawisko, zauważył, że jego ciało drży.

Nie potrafił jednak zlokalizować źródła drżenia. Był to niekończący się dreszcz jakiejś masy, pozbawiony możliwości kontroli i własnej woli. Resztką świadomości stwierdził, że tak właśnie wyglądała jego reakcja.

Z górą godzinę spędził, siedząc jak sparaliżowany ze wzrokiem utkwionym w jej twarzy.

Stan otępienia skończył się nagle. Ze stłumionym mamrotaniem, jakie dobywało się z jego gardła, poderwał się z jej łóżka i wyszedł z pokoju.

Gdy nalewał whisky, połowa rozlała się do zlewu. Tę zaś, która trafiła do szklanki, wypił jednym haustem. Ciepło przesunęło się w stronę żołądka i było to doznanie dwakroć silniejsze od polarnego chłodu odrętwienia, które sparaliżowało jego ciało. Stał przy zlewku kompletnie bez sił. Znów drżącymi rękami napełnił szklankę po brzegi i długimi, gwałtownymi łykami wypił ognisty trunek.

„To jakiś sen” przekonywał go jakiś słaby głos, tak, jakby w jego głowie ktoś głośno wypowiadał słowa.

- Virginia...

Odwracał się to w jedną, to w drugą stronę pokoju, jego oczy wypatrywały czegoś wokół tak, jakby mogły tam coś znaleźć, tak, jakby z przerażenia nie mogły odnaleźć wyjścia z tego straszego domu. Z gardła wydobywały mu się jakieś wątle wyrazy niedowierzania. Złożywszy razem dłonie przyciskał je do siebie. Drżały. Oniemiałe palce zwijały się bezładnie.

Wreszcie ręce zaczęły mu drżeć tak, że nie potrafił rozróżnić ich kształtu. Dławiąc się zaczerpnął powietrza i nagłym ruchem oderwał

dłonie od siebie i przycisnął je do ud.

- Virginia.

Zrobił krok naprzód i zaczął głośno krzyczeć, widząc, że cały pokój wiruje. W prawym kolanie odczuł eksplozję bólu, który gorącymi szarpnięciami rozprzestrzenił się po udzie. Zawył z bólu, podnosząc się i kuśtykając do dużego pokoju. Stał tam niczym pomnik podczas trzęsienia ziemi, którego marmurowe oczy utkwione były w drzwiach sypialni.

Wyobraźnia podsuwała mu jeszcze raz tę scenę.

Potężny, trzaskający ogień, huczące, żółte płomienie wyrzucające w niebo chmury czarnego, tłustego dymu. W jego ramionach delikatne ciało Kathy. Mężczyzna, który podchodzi do niego i chwyta ją jak tłumok ze szmatami. Potem trzymając jego dziecko, niknie w ciemnej mgle. Pamięta siebie stojącego tam, ogarniętego przerażeniem, które jak ciosy po-tężnego młota przygniatało go do ziemi.

Wtedy rzucił się nagle do przodu, jakby w szale krzycząc.

- Kathy!

Wtedy złapały go czyjeś ręce. Powstrzymali go ludzie w brezentowych pelerynach i maskach. Kiedy odciągali go stamtąd, jego buty zostawiały w ziemi dwa poszarpane ślady. Jego umysł eksplodował, wyrzucał z siebie jakieś przerażające krzyki.

Potem pamięta nagły, obezwładniający ból w szczęce, światło dzienne, które przejrzało przez mroczne chmury dymu. Dalej rozgrzewające igiełki alkoholu przepływającego przez jego gardło, kaszel.

Ciężko chwycił powietrze i wreszcie napięty, milczący siedział w samochodzie Bena Cortmana i gdy stamtąd odjeżdżali, wpatrywał się w gigantyczny słup dymu, który unosił się nad ziemią jak czerniejące widmo całej ziemskiej rozpacz.

Pamiętając, zamknął oczy i zacisnął zęby mocno, aż do bólu.

- Nie.

Nie odda im Virginii. Nawet gdyby mieli zabić za to jego samego.

Powolnym ruchem, na sztywnych nogach poszedł do drzwi wejściowych i wyszedł na zewnątrz, na werandę. Potem zszedł na żółknący trawnik i poszedł w dół ulicy, w kierunku domu Bena Cortmana.

Na widok jasnego światła słonecznego jego źrenice zwężyły się do małych punkcików, czarnych jak węgliki, a odrętwiałe ręce wisały bez celu u tu-

łowia.

W uszach wciąż dźwięczało mu powiedzenie Bena: „Jestem suchy jak wiór”. Jego absurdalność sprawiała, że miał ochotę coś zniszczyć.

Przypominał sobie, jak Ben to wymyślił sądząc, że będzie śmiesznie.

Stał sztywny pod drzwiami. Czuł, jak w głowie pulsowała krew. „Co mnie obchodzi prawo, co z tego, że odmowę wykonania zarządzeń karzą śmiercią, i tak jej nie oddam!”

Jego pięść załomotała w drzwi.

- *Ben!*

Wewnątrz domu panowała cisza. Na frontowych oknach wisały białe franki. Widział w środku czerwoną kanapę, stojącą lampę, której abażur obszyty był frędzlami, którymi niegdyś bawiła się mała Freda w niedzielne popołudnia. Zmrużył oczy. „Co to był za dzień tygodnia?” Nie pamiętał. Zupełnie stracił rachubę dni.

Wzruszył ramionami, gdy złość wzburzyła mu krew w żyłach.

- *Ben!*

Znowu mocno zaciśniętą pięścią uderzył w drzwi. Mięśnie jego zaciśniętej szczęki zaczęły drgać.

„Niech go diabli, gdzie *on* jest?”

Swoim kruchym palcem nacisnął gwałtownie na dzwonek, a w głowie znów usłyszał słowa pijackiej piosenki: „jestem suchy jak wiór, jestem suchy jak wiór, jestem suchy...”

Ze złością złapał w płuca powietrze i z całej siły pchnął drzwi, które z impetem otworzyły się, uderzając o ścianę. Nie były zamknięte.

Wszedł do dużego pokoju, pogrążonego w ciszy.

- Ben - powiedział głośno - potrzebuję twojego samochodu.

Byli oboje w sypialni, leżeli w ciszy i bezruchu pogrążeni w dziennej śpiączce, każde na swojej części łóżka. Ben ubrany był w piżamę, Freda w jedwabną nocną koszulę. Leżeli w pościeli. Po wznoszeniu i opadaniu klatki piersiowej można było poznać, że oddychają z trudem.

Stał nad nimi przez chwilę i przyglądał się. Na bladej szyi Fredy zauważył jakieś rany, wokół nich trochę zaschniętej krwi. Przeniósł oczy na Bena. Na jego gardle nie było żadnych śladów. W duchu słyszał głos Cortmana mówiący: „Gdybym tylko mógł się obudzić”.

Potrząsnął głową. „Nie, z tego już nie można się obudzić.” Znalazł kluczyki na biurku. Wziął je. Odwróciwszy się, pozostawił za sobą ich pogrążony w ciszy dom. Był to ostatni raz, kiedy widział ich żywych.

Włączył silnik samochodu, który krztusząc się, nabrał w końcu obrotów. Pozostawił go tak przez chwilę, a sam siedział nieruchomo, patrząc przez zakurzoną przednią szybę. Wokół głowy słyszał brzęczenie jakiejś spasionej muchy, która krążyła w dusznym i gorącym wnętrzu samochodu. Widział jej nieciekawą zieloną połysk i czuł całym sobą pulsowanie silnika.

Po chwili wyłączył ssanie i ruszył w górę ulicy. Podjechał na ścieżkę, która prowadziła do jego garażu i wyłączył silnik.

Dom był chłodny i milczący. Podeszwy jego butów wydawały stłumiony odgłos, gdy szedł po dywan, potem stuknęły o deski w przedpokoju. Znieruchomiał w drzwiach pokoju, patrząc na nią. Ciągle leżała na plecach, jej ręce spoczywały wzdłuż tułowia, palce nieznacznie wygięte do wewnątrz dłoni. Wydawało się, że śpi.

Odwrócił się i poszedł do dużego pokoju. Co miał teraz zrobić?

Właściwie jakikolwiek wybór wydawał się być chybiony. Jakie znaczenie miało, *co* zrobi? Cokolwiek to będzie, życie pozostanie równie bezcelowe.

Stał przy oknie, patrząc umarłym wzrokiem na pogrążoną w palącym słońcu i ciszy ulicę.

„Po co więc wzięłem samochód?” - zastanawiał się. Jego gardło poruszyło się, kiedy przełykał ślinę.

„Przecież nie mogę jej spalić” -

pomyślał. „Nie, *nie zrobię tego*. Ale co innego mam zrobić? Zakłady pogrzebowe były zamknięte. Jeśli pozostali jacyś grabarze, których nie dotknęła choroba, nie mogli wykonywać swego zawodu, bo było to zabronione przez prawo.” Każdy bez wyjątku musiał być spalony w przeznaczonym do tego miejscu natychmiast po śmierci. Był to jedyny sposób zapobiegania rozprzestrzenianiu się wirusa, który powodował

epidemię. Jedynie płomienie były w stanie zniszczyć zarazki.

Wiedział o tym. Wiedział, że tak nakazywało prawo. Ale ilu ludzi tego prawa przestrzegało? To także nie było całkowicie jasne. Ilu mężów zabierało żony, z którymi dzieliło swoje życie, swoją miłość i wrzucało ich ciała do ognia? Ilu rodziców oddawało płomieniom swoje uwielbiane dzieci? Ile wreszcie dzieci wrzucało ciała swoich rodziców w głęboki na trzydzieści metrów i długi na sto dół kremacyjny?

„Nie, jeśli jeszcze pozostało coś na tym świecie, jest to postanowienie, że nigdy nie oddam jej płomieniom.” Minęła godzina, zanim w końcu podjął decyzję.

Potem poszedł, aby wziąć igłę i nitkę.

Szył, aż widoczna była tylko twarz. Potem ze ściśniętym żołądkiem zaszył drżącymi palcami prześcieradło tak, że zasłoniło jej usta. Jej nos.

Jej oczy.

Kiedy skończył, poszedł do kuchni i wypił kolejną szklankę whisky.

Bez efektu.

W końcu na chwiejnych nogach wrócił do sypialni. Przez dłuższą chwilę stał tam i ciężko oddychał. Potem pochylił się i z trudem włożył

ręce pod leżącą na łóżku, bezwładną postać.

- Chodź, kochanie - wyszeptał.

Te słowa sprawiły, że wszystko wokół rozchwiało się. Czuł dreszcze, czuł, jak łzy płyną powoli po jego policzkach, kiedy niosąc ją przechodził

przez duży pokój i wychodził na zewnątrz.

Położył jej ciało na tylnym siedzeniu i wsiadł do samochodu.

Głęboko zaczerpnął powietrza i sięgnął w kierunku stacyjki. Cofnął.

Potem wysiadł i poszedł do garażu po łopatę.

Wracając zatrzymał się, widząc, że przez ulicę, powoli idzie w jego kierunku jakiś człowiek. Włożył do tyłu łopatę i wszedł do środka.

- Proszę zaczekać!

Wołał ochryplym głosem. Próbował biec, ale nie starczało mu sił.

Robert Neville siedział przez chwilę w ciszy, aż tamten zbliżył się, szurając nogami.

- Czy mógłby pan... czy mogę zabrać też moją matkę? - powiedział przez zaciśnięte gardło.

- Ja... ja... ja...

Mózg Neville'a odmówił posłuszeństwa. Zdawało mu się, że znowu zacznie płakać, ale wziął się w garść, napinając mięśnie szyi.

- Ja nie jadę... *tam* - powiedział. Mężczyzna popatrzył na niego pustym wzrokiem.

- Ale Pańska...

- Nie jadę do ognia, już powiedziałem! - wyrzucił z siebie i gwałtownym ruchem uruchomił silnik.

- Ale Pańska żona - powiedział człowiek. - Ma Pan tu swoją...

Robert Neville pospiesznie włączył wsteczny bieg.

- Proszę - błagał go.

- Nie jadę tam! - krzyknął Neville, nie patrząc na niego.

- Ale takie jest prawo! - usłyszał za sobą krzyk mężczyzny, którego nagle ogarnęła złość.

Błyskawicznym ruchem wycofał samochód na ulicę, a potem pomknął ku alei Compton. Nabierając szybkości, widział, jak tamten człowiek stał przy krawężniku i wpatrywał się w znikający samochód.

- Głupcze! - zazgrzytał głos w jego głowie - myślisz, że wrzucę moją żonę do ognia?

Ulice były opustoszałe. Skręcił w lewo, w aleję Compton i pojechał

na wschód. Jadąc patrzył na ogromny parking po prawej stronie. Nie mógł tak po prostu pojechać na pierwszy lepszy cmentarz. Wszystkie były zamknięte i strzeżone. Ludzie, którzy usiłowali pochować swoich najbliższych, zostali zastrzeleni.

Skręcił w prawo, w następną przecnicę, dojechał do kolejnej i znów skręcił w prawo, w cichą ulicę, która kończyła się zielonym placem.

Dojechawszy do połowy uliczki wyłączył silnik. Resztę drogi samochód przejechał rozpędem tak, by nikt nie słyszał.

Nikt też nie widział, jak wynosił ciało z samochodu i szedł z nim w głąb zarośniętego wysokimi chwastami placu. Nikt nie dostrzegł, jak położył ciało na odsłoniętym kawałku ziemi i przyklęknął, stając się niewidocznym dla nikogo.

Kopał powoli, wbijając łopatę w miękką ziemię, a jasne światło słoneczne zlewało na niego gorącym płynnym powietrzem do jakiegoś naczynia. Kiedy kopał, pot lał się kilkoma strużkami po jego policzkach i po czole, a falująca przed jego oczyma ziemia zdawała się gdzieś odpływać. Kolejne kupki ziemi, które wyrzucał łopatą, napępniały jego nozdrza gorącym, ostrym zapachem.

W końcu dół był gotowy. Odłożył łopatę i upadł na kolana, a nowe krople potu wystąpiły mu na czole. Teraz miało nastąpić to, czego obawiał

się najbardziej.

Wiedział jednak, że nie może czekać. Jeśli zostanie zauważony, mogliby przyjść i zabrać go. To nic, że by go zastrzelili. Ale spaliliby jej ciało. Zacisnął wargi. „Nie.”

Uważnie, z największą delikatnością, na jaką tylko mógł się zdobyć, opuścił jej ciało do płytkiego grobu, upewniwszy się, że głowa nie uderzy o dno. Potem wyprostował się i popatrzył z góry na jej ciało zaszyte w prześcieradło.

„Ostatni raz” - pomyślał. - „Już więcej nie będzie rozmów, nie będzie miłości. Jedenaście wspaniałych lat kończy się tu, w wykopanym dole.” Zaczął cały drżeć. „Nie” - rozkazującym tonem mówił sam do siebie. - „Nie czas teraz na takie rzeczy.” Na próżno. Świat rozplątał mu się i rozblysnął we łzach, kiedy słabymi palcami ugniatał rozgrzaną ziemię i uklepywał ją wokół nieruchomego ciała.

Nie rozebrawszy się leżał w łóżku i wpatrywał się w czarny sufit. Był na wpół pijany i ciemność przetykana ognikami Wirowała mu przed oczyma.

Nieporadnym ruchem wyciągnął prawą rękę w kierunku Stołu.

Przewrócił przy tym butelkę, próbował ją złapać, zaciskając palce, ale było już za późno. Potem odprężył się i leżał lak w ciszy nocy, słuchając, jak alkohol wylewa się z butelki i cieknie na podłogę.

Jego nieuczesane włosy zaszeleściły na poduszce, kiedy odwrócił

głowę, żeby spojrzeć na zegar. Była druga nad ranem. Minęły dwa dni, odkąd ją pogrzebał. Dwoje oczu patrzyło na zegar, dwoje uszu wsłuchiwało się w tykanie elektrycznego zegara, zacisnięte były dwie wargi, wreszcie dwie ręce spoczywały na łóżku.

Próbował pozbyć się tych myśli, ale wszystko wokół niego zdawało się ni stąd ni zowąd wpadać w

jakąś kolejną podwójność, on sam poczuł

się ofiarą systemu dwójkowego. Dwie osoby umarłe, dwa łóżka w pokoju, dwa okna, dwa biurka, dwa dywany, dwa serca, które...

Nagle napełniając płuca nocnym powietrzem wziął głęboki oddech, wstrzymał go, a potem gwałtownie z siebie wyrzucił. Dwa dni, dwie ręce, dwoje oczu, dwie nogi, dwie stopy...

Usiadł na łóżku spuszczać nogi na podłogę. Opadły wprost w kałużę rozlanej whisky tak, że poczuł, jak alkohol wsiąka w jego skarpetki.

Chłodny powiew wiatru zastukał okiennicami.

Robert Neville wpatrywał się w ciemność.

„Co mi pozostało? Ale co mi właściwie zostało?” - pytał samego siebie.

Zmęczony podniósł się i potykając się, poszedł do łazienki, zostawiając za sobą mokre ślady. Spryskał twarz wodą i po omacku szukał

ręcznika.

„Co mi pozostało? Co mi...”

Nagle stanął jak wryty w chłodnej ciemności.

Ktoś przekręcał gałkę w drzwiach frontowych.

Poczuł przechodzący po plecach dreszcz i jak włosy na głowie stanęły mu dęba.

„To na pewno Ben” - podsunął mu rozum - „przyszedł po klucze od samochodu.”

Ręcznik wypadł mu z rąk i dało się słyszeć, jak spada na podłogowe płytki. Cały zadrżał.

Czyjaś pięść uderzyła w drzwi bezsilnie, jakby mimo woli, a serce zaczęło w nim walić jak młot.

Drzwi zatrzeszczały, gdy znów uderzyła w nie słaba pięść. Z każdym dochodzącym dźwiękiem wstrząsał nim dreszcz.

„Co się dzieje?” - pomyślał - „Drzwi są otwarte.” Od okna powiał mu w twarz zimny powiew wiatru. Ciemności ciągnęły go w kierunku drzwi.

- Kto... - wyszeptał, nie mogąc się ruszyć.

Jego ręka cofnęła się od klamki, kiedy poczuł, że pod dotykiem jego palców klamka poruszyła się sama. Jednym krokiem cofnął się do ściany, oddychając ciężko, szeroko otwartymi oczyma wpatrywał się przed siebie.

Nie stało się nic. Stał tam spięty, starając się opanować. Potem zaparło mu dech. Ktoś na werandzie mamrotał jakieś słowa, których nie mógł zrozumieć. Zebrawszy siły, nagłym ruchem skoczył do przodu i otworzył drzwi, wpuszczając do wnętrza smugę księżycowej poświaty.

Nawet nie był w stanie krzyknąć. Stał jak wryty i cały odrętwiały wpatrywał się w Virginie.

- Rob...ert - powiedziała.

Rozdział 10

Czytelnia naukowa biblioteki znajdowała się na drugim piętrze. Robert Neville wchodził po schodach Biblioteki Publicznej w Los Angeles.

Stawiał stopy na marmurowych stopniach, powodując głuchy, płytki odgłos. Był siódmy kwiecień 1976 roku.

Po czterech dniach picia, przypadkowych badań i ogarniającego go rozgoryczenia w końcu doszedł do wniosku, że traci czas. Stało się jasne, że pojedyncze eksperymenty nie wnosiły w jego wiedzę niczego. Jeśli istniała jakaś racjonalna odpowiedź na jego najważniejsze pytanie (a musiał wierzyć, że istnieje należało jej szukać jedynie przez systematycznie przeprowadzane badania.

Tymczasem, chcąc pogłębić wiedzę, założył, że chodziło tu o krew.

Taka teza stanowiła dla niego przynajmniej jakiś punkt wyjścia. Kolejnym krokiem była zatem lektura na temat krwi.

Głuchy odgłos jego kroków wybrzmiewał w zupełnej ciszy gmachu biblioteki, kiedy szedł wzdłuż holu na drugim piętrze. Na zewnątrz słychać było czasem śpiew ptaków, i nawet jeśli tak nie było, wydawało się, że coś jednak słychać. To dziwne, ale na zewnątrz, nigdy nie było tak martwej ciszy, jaka wydawała się wypełniać wnętrza budynków.

Szczególnie odczuwalne stało się to w tym potężnym gmachu z szarego kamienia, w którym pomieściła się spisana na kartach książek mądrość umarłego świata. W tym zamknięciu między ścianami było coś czysto psychologicznego. Ale świadomość tego niczego nie ułatwiła. Nie było już przecież psychiatrów szepczących o bezpodstawnych nerwicach, o słuchowych halucynacjach. Ostatni człowiek na ziemi został

bezwrotnie oddany we władanie własnych iluzji.

Wszedł do pomieszczenia, w którym mieściła się czytelnia naukowa.

Był to bardzo wysoki pokój, z olbrzymimi oknami. Naprzeciwko wejścia znajdowało się biurko, przy którym przyjmowano zwroty książek, ale było to w czasach, kiedy przychodzili tu ludzie, którzy je wypożyczali.

Stał tam przez chwilę, rozglądając się po pokoju pogrążonym w ciszy i kiwał powoli głową.

„Te wszystkie książki” - myślał - „spuścizna intelektu całej planety, osiągnięcia próżnych umysłów, wystygłe resztki ich działalności, mieszanka zasad i faktów, które i tak nie zdołały uchronić ludzkości przed zagładą.

Jego buty uderzały o ciemne płytki podłogowe, kiedy szedł do miejsca po jego lewej stronie, w którym zaczynały się półki. Ślizgał się wzrokiem po kartach z napisami, rozdzielającymi poszczególne działy na półkach. „Astronomia” - przeczytał - „książki o niebie.” Minął je. Nie interesowało go niebo. Pragnienie poznawania gwiazd umarło wraz z ludźmi. „Fizyka, Chemia, Inżynieria.” Minął wszystkie półki i wszedł do głównej czytelni sekcji naukowej biblioteki.

Zatrzymał się i spojrzął na znajdujący się wysoko ponad nim sufit.

Umieszczono tam dwa rzędy dawno nie świecących lamp. Powierzchnia sufitu podzielona była na kasetony - wielkie wklęsłe kwadraty, na których widniało coś, co przypominało indiańską mozaikę. Poranny blask prześwietlał zakurzone szyby, w promieniach słońca widać było unoszący się pył.

Popatrzył wzdłuż rzędu długich drewnianych stołów i stojących za nimi krzeseł. Ktoś poustawiał je w takim porządku.

„Pewnie w dniu, w którym zamykali bibliotekę” - pomyślał - „jedna z zatrudnionych w niej panien musiała przejść się między stołami i podosuwac każde krzesło do stołu. Uważnie, precyzyjnymi ruchami, jakby na każdym pozostawiała swoją pieczęć.”

Myślał jeszcze o tej kobiecie, którą powołał do życia w swojej wyobraźni.

„Umrzeć” - pomyślał - „nigdy nie poznawszy płomiennej radości i otuchy czyjegoś uścisku. Zapaść w tę ohydną śpiączkę, utopić radość w śmierci i może jeszcze powrócić i tułać się w okropnej, jałowej egzystencji. A wszystko to, nawet nie wiedząc, co znaczy kochać kogoś i być kochanym.”

Była to tragedia bardziej przerażająca od samego faktu stania się wampirem.

„No, dobrze, dość tego” - powiedział do siebie - „teraz nie czas na cikliwe rozmyślenia.”

Mijał rzędy książek, aż dotarł do półek z literaturą medyczną. Tego właśnie szukał. Przejrzał tytuły. Były tam pozycje dotyczące higieny, anatomii, fizjologii (ogólnej i specjalistycznej), z metod leczenia. Poniżej z bakteriologii.

Wyciągnął pięć książek z fizjologii i kilka prac na temat krwi.

Położył je na jednym z pokrytych kurzem stołów. Może trzeba wziąć jeszcze coś z bakteriologii? Stał jeszcze przez chwilę niezdecydowany, patrząc na oklejone materiałem grzbiety książek.

Wreszcie wzruszył ramionami. „Cóż, jakie to ma znaczenie?” -

pomyślał. Wyciągnął kilka nowych książek i położył je na stosie. Było na nim teraz dziewięć tomów. Na początek wystarczy, miał zamiar jeszcze tu wrócić.

Wychodząc z czytelnicy spojrzał na zegar nad drzwiami. Czwarta dwadzieścia siedem. Zastanawiał się, którego dnia skończyła się ich praca. Schodząc po schodach obładowany książkami, myślał o tym, w jakim też momencie mógł zatrzymać się zegar.

„Czy było to popołudnie, czy rano? Czy padał wtedy deszcz, czy było słonecznie? Czy ktoś był tu wtedy, gdy zegar stanął?” Poirytowany poruszył ramionami. „Na miłość Boską, jakie to ma znaczenie?” - pytał sam siebie. Napawały go już wstrętem jego nostalgiczne powroty do przeszłości. Wiedział, że była to słabość, na którą nie można było sobie pozwolić, skoro chciał przetrwać. A mimo to ciągle łapał się na tym, że dryfuje w rozległe rozmyślenia o tym, co minęło. Nie potrafił nad tym zapanować i bardzo był na siebie zły z tego powodu.

Także od wewnątrz nie potrafił otworzyć wielkich drzwi frontowych. Były zbyt dobrze zamknięte. Trzeba było znowu wychodzić przez wybite okno, najpierw wyrzucając na chodnik jedna po drugiej książki, potem samemu przechodząc przez otwór. Pozbierał je i wszedł do samochodu.

Ruszając, zauważył, że zaparkował przy krawężniku pomalowanym na czerwono, to znaczy pod prąd na jednokierunkowej ulicy. Rozejrzał się w obie strony.

„Policjant!” - uświadomił sobie, że rozgląda się za policjantem -

„Och, policjant!” Śmiał się z tego jeszcze z górą kilometr, zastanawiając się, co właściwie było w tym śmiesznego.

Odłożył książkę. Znowu czytał o systemie limfatycznym. Nie mógł

sobie przypomnieć, czy czytał już o tym wcześniej, podczas swojego - jak to określał - „gorączkowego okresu”. O czymkolwiek zresztą wtedy czytał, nie wywarło to na nim wrażenia, ponieważ nie miał do czego odnieść wszystkich tych informacji.

Teraz może powiedzieć, że coś w tym jest.

Cienkie ścianki naczyń krwionośnych przepuszczają plazmę krwi, która dostaje się do przestrzeni między tkankami razem z czerwonymi i bezbarwnymi komórkami. Substancje te powracają potem do krwioobiegu przez naczynia limfatyczne, niesione w rzadkim płynie nazywanym limfą.

Powracając zaś limfa sączy się przez węzły chłonne, które wstrzymują swobodny przepływ limfy, filtrując ją, to znaczy zatrzymując stałe cząstki produktów pozostających po przemianie materii.

I teraz.

Są dwa czynniki aktywujące układ limfatyczny. Po pierwsze oddychanie, które powoduje, że przepona uciska jamę brzuszną, przepychając tym samym krew i limfę do góry wbrew sile ciężkości. Po drugie, wszelkie ruchy ciała, podczas których kurczące się mięśnie szkieletowe uciskają naczynia limfatyczne, co z kolei powoduje przepływ limfy. Skomplikowany system zastawek zapobiega cofaniu się przepływającego płynu.

Ale w przypadku wampirów nie mamy do czynienia z odpychaniem.

Przynajmniej nie u tych osobników, które przeszły przez śmierć. Oznacza to, z grubsza rzecz biorąc, że odcięta jest *połowa* ich limfy. Dalej, oznacza to, że w organizmie pozostają znaczne ilości odpadów.

Robert Neville miał tu na myśli cuchnący fetor, jaki wydzielają wampiry.

Czytał dalej.

„Bakterie dostają się do krwioobiegu tam..”

„... Białe ciała odgrywają istotną rolę w systemie obronnym organizmu przed atakiem bakterii.”

Silne światło słoneczne powoduje gwałtowną śmierć wielu zarazków, a także...”

Wiele chorób bakteryjnych człowieka szerzy się mechanicznie za pośrednictwem much i komarów...”

„...w warunkach inwazji bakteryjnej natychmiast uruchamiana jest produkcja fagocytów i dodatkowe komórki uwalniane są do krwioobiegu.” Wypuścił z rąk książkę, która upadła na kolana, potem ześliznęła się na podłogę i z głuchym odgłosem spadła na dywan.

Było mu coraz trudniej walczyć, ponieważ cokolwiek czytał, zawsze napotykał na związek między bakteriami i chorobą krwi. Mimo to nie powstrzymywał w sobie pogardy dla tych, którzy w przeszłości nawet na łożu śmierci ogłaszali triumf teorii o zarazkach, naśmiewając się jednocześnie z wampirów.

Wstał, żeby przygotować drinka. Jednak stojąc przed barkiem, nie tknął butelki. Powoli, rytmicznie uderzał pięścią w blat, a smutne oczy wpatrzone były w ścianę.

Zarazki.

Skrzywił się.

„No cóż, na miłość Boską, przecież słowo cię nie ugryzie” - zachnął

się zmęczony.

Wziął głęboki oddech. „No, dobrze” - powiedział do siebie stanowczym głosem - „a dlaczego właściwie nie miałyby to być zarazki?” Odwrócił się do barku, jakby mógł w nim zostawić to pytanie. Ale pytania nie miały swego miejsca, towarzyszyły mu wszędzie.

Usiadł w kuchni, wpatrując się w filiżankę z parującą kawą.

„Zarazki. Bakterie. Wirusy. Wampiry. Dlaczego tak się temu sprzeciwiam?” - pomyślał. Czy jego upór jest tylko sposobem na odreagowanie albo też, gdyby chodziło o zarazki, zadanie przerastałoby jego możliwości?

Nie wiedział. Zaczął więc z innej strony, zmierzając w stronę kompromisu. Po cóż odrzucać w

całości którąkolwiek z teorii? Przecież niekoniecznie jedna wykluczała drugą.

„A więc akceptacja i korelacja” - pomyślał.

Bakterie mogą być odpowiedzią na problem wampirów.

Myśli napływały potężną falą. On sam przypominał małego holenderskiego chłopca, który wetknął palec do dziury w tamie i zatrzymuje morze racjonalnych wniosków. Stał tam skurczony i zadowolony ze swej żelaznej teorii. Teraz zaczął się prostować, wyciągnął

palec z dziury w tamie. Cała nawałnica odpowiedzi zaczęła wciskać się do środka.

Epidemia rozprzestrzeniła się tak szybko. Czy byłoby to możliwe, gdyby jej nosicielami były jedynie wampiry? Czy ich nocne włóczęgi były w stanie tak rozkręcić jej tempo?

Wręcz poczuł uderzenie gwałtownie nasuwającej się odpowiedzi.

Tylko wtedy bowiem można wyjaśnić niesłychaną szybkość rozprzestrzeniania się epidemii, jej ofiary, których liczba narastała w postępie geometrycznym, jeżeli przyjmujemy teorię bakterii.

Odsunął od siebie filiżankę z kawą, bo w głowie aż tętniło mu od tuzina różnych pomysłów. Muchy i komary miały naturalnie swój udział.

Rozprzestrzeniały chorobę, dzięki nim zarazki mogły mknąć przez świat.

Tak, bakterie były odpowiedzią na wiele pytań, to, że za dnia pozostawali w ukryciu, bo zarazek powodował śpiączkę, aby uniknąć promieniowania słonecznego.

Nowy pomysł. A co, jeśli bakterie stanowią o sile wampirów?

Czuł, jak dreszcz przebiega mu po plecach. Czy to możliwe, żeby ten sam zarazek, który uśmiercał żyjących, dawał także siłę umarłym?

„Muszę się dowiedzieć!” Podskoczył z miejsca i niemal wybiegł na zewnątrz domu. I wtedy w ostatnim momencie odskoczył od drzwi, chichocząc nerwowo. „Na Boga” - pomyślał - „chyba oszalałem, przecież jest noc!”

Uśmiechając się pod nosem, spacerował niestrudzenie po pokoju.

„Czy to wyjaśnia też inne rzeczy? A żerdzie?” Jego umysł niemal zazgrzytał, chcąc znaleźć miejsce dla tych faktów w ramach nowego spojrzenia.

„No, prędzej!” - krzyczały do niego własne, niecierpliwie myśli. Ale do głowy przychodziło mu jedno - utrata krwi. To zresztą i tak nie wyjaśniało przypadku tej kobiety. Poza tym to nie było serce...

Pominał to w obawie, że jego nowa teoria legnie w gruzach, zanim zdoła ją sformułować.

A krzyż. Nie, bakterie nie były tu żadnym wyjaśnieniem. Ziemia, nie, to nie wnosi nic nowego. Ciekna woda, lustro, czosnek...

Czuł, że nie potrafi opanować drżenia. Miał ochotę głośno krzyknąć, żeby zatrzymać galopujące myśli. Musiał znaleźć coś, *cokolwiek!*

„Niech to diabli!” - złościł się w myślach - „nie dam za wygraną tak łatwo!”

Zmusił się do tego, żeby usiąść. Siedział w napięciu, nękały go dreszcze, odsunął od siebie wszystkie myśli, aż wreszcie przyszedł spokój.

„Dobry Boże” - pomyślał - „co się ze mną dzieje? Wpadam na jakiś pomysł i jeśli w jednej chwili nie znajduję wszystkich odpowiedzi, wpadam w panikę. Widocznie wariuję.”

Sięgnął po drinka, teraz był mu potrzebny. Wyciągnął rękę i trzymał

ją przed sobą, aż przestała drżeć.

„Już dobrze, chłopcze, już uspokój się” - próbował zażartować z siebie - „Święty Mikołaj przyjdzie w te strony i przyniesie wszystkie śliczne odpowiedzi. Już nie będziesz nieszczęsnym Robinsonem Crusoe uwięzionym na wyspie nocy, którą otaczają oceany śmierci.” Słyszając swoje myśli, parsknął śmiechem, a to przyniosło mu odprężenie. „Kolorowy, smaczny kasek” - pomyślał - „ostatnim człowiekiem na Ziemi jest Edgar Gość.”

„Już dobrze” - powiedział do siebie rozkazującym głosem - „teraz pójdziesz do łóżka. Nie można łapać dziesięciu srok za ogon. Już tak dłużej nie możesz. Niezły z ciebie dziwak.”

Pierwszym krokiem było teraz zdobycie mikroskopu. „Tak, o to trzeba postarać się na początku” - usilnie powtarzał sobie, rozbierając się, aby pójść do łóżka. Ignorował przy tym ściśnięty żołądek - nieomylny znak tkwiącego w nim niezdecydowania. Niepohamowane pragnienie tego, by już natychmiast zanurzyć się w dochodzenie, poszukiwanie odpowiedzi bez żadnych wstępnych ustaleń, przygotowań, sprawiało mu nieomal ból.

Czuł się niemal chory, leżąc tak w ciemności i starając się zaplanować swój następny krok. Miał przy tym przekonanie, że to tak właśnie musi być. „To ma być pierwszy krok, pierwszy krok, niech to diabli, to będzie pierwszy krok.”

Uśmiechnął się w ciemności, poczuł się dobrze, myśląc, jak konkretne zadanie stało przed nim. Pozwolił sobie jednak na myśl tylko o jednym problemie przed snem. Ukąszenia owadów i rozprzestrzenianie się epidemii z osoby na osobę - czy to wystarczy, żeby wyjaśnić ogromną szybkość, z jaką szerzyła się epidemia?

Z tym pytaniem poszedł spać, a o trzeciej nad ranem obudził się i stwierdził, że jego dom omiata kolejna burza piaskowa. I nagle, w mgnieniu oka wpadł na to, jak powiązać ze sobą fakty.

Rozdział 11

Pierwsze urządzenie było do niczego.

Podstawa była niestabilna i nawet najmniejsze drgania powodowały zakłócenia. Poruszające się części urządzenia były zbyt luźne i wszystkie się trzęsły. Lustro wysuwało się ze swojego miejsca, ponieważ osie, na których się trzymało, zamocował nie dość ciasno. Co więcej, jego instrument nie miał podstawy, która mogłaby utrzymać polaryzator i kondensator. Miał też tylko jedną oprawę na obiektyw i trzeba było zmieniać obiektywy za każdym razem, kiedy potrzebne było inne powiększenie. Same obiektywy też były do niczego.

Oczywiście nie miał pojęcia o mikroskopach. Zabrał pierwszy lepszy, na jaki się natknął. Po trzech dniach rzucił nim o ścianę, posyłając mu stłumione przekleństwo i przypieczętował jego zniszczenie uderzeniami obcasa.

Potem, gdy zdołał się uspokoić, pojechał do biblioteki po książkę o mikroskopach.

Z kolejnego wypadu nie wracał do domu tak długo, zanim nie znalazł porządnego instrumentu: oprawa z trzema obiektywami, miejsce na kondensator i polaryzator, dobry mechanizm, przysłona, dobre obiektywy. „To jeszcze jeden przykład” - mówił sobie - „mojej głupoty.

Tak wygląda zabieranie się za coś z moją niecierpliwością. Tak, tak taak.”

- sam sobie odpowiedział zdegustowany.

Zmusił się do poświęcenia sporej ilości czasu na zaznajomienie się z mikroskopem. Manipulował przy lusterku tak długo, aż był w stanie w parę sekund nastawić promień światła na preparat. Poznał obiektywy, których ogniskową można było zmienić od 75 mm do 2 mm. W tym ostatnim przypadku nauczył się umieszczać na szkiełku kroplę oleju cedrowego i opuszczać obiektyw tak, że niemal dotykał szkiełka. Zanim opanował tę umiejętność, zniszczył trzynaście szkiełek.

Już po trzech dniach ćwiczeń umiejętnie poruszał pokrętłami przesuwającymi obiektywy, przysłoną i kondensorem tak, że mógł

nastawić dokładnie tyle światła, ile trzeba było dla preparatu, i otrzymał

wreszcie jasny i ostry obraz gotowych preparatów, które zdobył.

Nigdy nie przypuszczał, że pchła może wyglądać tak ohydnie.

Potem przyszła kolej na przygotowanie preparatów, co okazało się znacznie trudniejsze, o czym się wkrótce przekonał. Niezależnie od tego, jak bardzo się starał, prawie niemożliwa wydawała się ochrona preparatów przed pyłkami, które się doń dostawały. Kiedy patrzył na nie przez mikroskop, wyglądały jak głązy.

Dodatkowym utrudnieniem były powtarzające się mniej więcej co cztery dni burze piaskowe. W końcu zmuszony był do zbudowania osłony nad stołem.

Radząc sobie z pyłkami, nauczył się także porządku. Zorientował

się, że kiedy ciągle szukał czegoś, co właśnie się zapodziało, dawał

kurzowi czas, a ten osiadał na szkiełkach. Trochę narzekał, po części go to bawiło, ale wkrótce każdy przedmiot miał już swoje miejsce. Szkiełka, naczynia, pipety, szczypce, igły, płytki Petriego, odczynniki, wszystko było w należyтым porządku.

Zdziwił się stwierdzając, że utrzymywanie porządku sprawia mu pewną przyjemność.

„Tak, chyba mam w sobie krew starego Fritza, mimo wszystko” -

myślał rozbawiony.

Potem przygotowywał preparat krwi jednej z kobiet.

Kilka dni zajęło mu właściwe umieszczenie kilku kropel krwi na płytce. Już myślał, że nigdy sobie z tym nie poradzi.

Ale nadszedł wreszcie ten poranek. Zapowiadał się zupełnie prozaicznie, jakby nie miał większego znaczenia. Robert Neville wkładał

pod mikroskop już trzydziesty siódmy z kolei preparat z krwią, nastawił

światło, poprawił tub i lusterko, opuścił obiektyw, poprawił przysłonę i kondensator. Z każdą mijającą sekundą serce zdawało się bić mocniej, wyczuwał jakoś, że nadchodzi właśnie ten moment.

I nadszedł. Neville wstrzymał oddech.

Nie był to wirus. Nie było widać wirusa. Jednak był tam, nieznacznie poruszający się jakiś zarazek.

Nadaję ci imię „*vampiris*” - przyszło mu do głowy, kiedy pochylał

się nad okulem.

Z jednego z artykułów dotyczących bakteriologii dowiedział się, że drobnoustrój o cylindrycznym kształcie, który zobaczył, to laseczka protoplazmy, bakteria, która porusza się we krwi za pomocą niewielkich rzęsek wystających z błony komórkowej. Rzęski te przypominające włoski falowały szybkimi ruchami w cieczy, dzięki czemu bakteria mogła się poruszać.

Przez dłuższy czas stał tak, patrząc w mikroskop, niezdolny do myślenia, do dalszych wniosków. Jedyne, co przychodziło mu do głowy, to stwierdzenie, że oto ta bakteria była przyczyną narodzin wampirów.

Przesady napawające trwogą wiele pokoleń przez całe wieki zostały obalone w momencie, kiedy patrzył przez mikroskop na tę bakterię.

A zatem naukowcy mieli rację, bakterie *miały* tu swój udział. Jemu, rozbitkowi, który przetrwał, imieniem Robert Neville, lat trzydzieści sześć, udało się doprowadzić badania do końca i ogłosić

wynik - mordercą był zarazek pozostający w ciele wampira.

I nagle dopadła go rozpacz ciężka jak głaz. To, że uzyskał odpowiedź

teraz, kiedy było już za późno, było samo w sobie druzgocącym ciosem.

Próbował uporać się z depresją, ale na próżno. Nie miał pojęcia, od czego zacząć, był całkowicie bezradny. Jakże mógł mieć nadzieję na wyleczenie tych, którzy jeszcze żyli, skoro nie wiedział nic o bakteriach?

„W takim razie *będę* wiedział!” - ogarnęła go złość. I zmusił się do nauki.

Kiedy warunki zewnętrzne były niesprzyjające dla życia, niektóre rodzaje bakterii przekształcały się w twory zwane przetrwalnikami.

Oznaczało to, że ściskały całą zawartość komórkową w ciało owalnego kształtu otoczone grubą ścianą. Po zakończeniu przemiany twór ten oddzielał się od szczepu laseczek i stawał się niezależny, odznaczał się przy tym wysoką odpornością na czynniki fizyczne i chemiczne.

Następnie, kiedy warunki zewnętrzne stawały się bardziej korzystne, przetrwalnik rozmnażał się, produkując osobniki posiadające już wszystkie cechy początkowej postaci laseczki.

Robert Neville stał przy zlewie z dłońmi mocno zaciśniętymi na jego brzegu.

„Coś tu musi być, na pewno tutaj” - mówił do siebie - ”Ale co?”

„Przypuśćmy” - pomyślał - „że usuniemy z wampira krew. W takim przypadku środowisko dla bakterii *vampiris* stanie się niesprzyjające.

Aby zatem przetrwać, zarazek przekształca się w formę przetrwalnikową, a w konsekwencji wampir zapada w śpiączkę. Wreszcie, gdy warunki zewnętrzne poprawią się, wampir znów może chodzić, jego ciało odzyskuje siłę.”

„Ale skąd w takim razie zarazek wie, że ponownie pojawia się krew?” - uderzył ze złością pięścią w zlew. Potem powróci do swojej lektury. Wiedział, że coś jeszcze musi być. Miał takie przeczucie.

Kiedy brakuje wystarczającej ilości pożywienia dla bakterii, proces metaboliczny odbiega od normy i bakteria zaczyna produkować bakteriofagi (nieożywione białka, które zdolne są do rozmnażania).

Następnie owe bakteriofagi niszczą bakterię.

Jeśli więc nie było krwi, proces metaboliczny nie przebiegał u laseczek normalnie, zaczęły pochłaniać wodę, pęcznieć, w końcu pękały i niszczyły wszystkie komórki.

Może znów przetrwalniki, musi jakoś pasować.

„No, dobrze, a przypuśćmy, że wampiry nie zapadają w śpiączkę.

Przypuśćmy, że ich ciało ulegało rozkładowi bez krwi. Zarazki mogły istnieć w formie przetrwalnikowej i...

No tak, burze piaskowe!

Przecież uwolnione przetrwalniki mogły być przenoszone wszędzie przez wiatr. Potem prawdopodobnie zatrzymywały się w niewielkich zadrapaniach na skórze powodowanych z kolei przez ostre ziarna piasku.

Kiedy zaś znalazły się w skórze, przetrwalniki budziły się do życia i rozmnażały przez podział. W miarę upływu czasu niszczeniu ulegały przylegające tkanki, a kanały zapchane były laseczkami. Uszkodzone komórki tkanek, a także i samych bakterii pozostawiały trujące, rozłożone części, które dostawały się do zdrowych tkanek wokoło. W końcu trucizna dostawała się do zdrowych tkanek wokoło. W końcu trucizna dostawała się do krwiobiegu.

Na tym proces się kończył.

I wampir o przekrwionych oczach nie musiał pochylać się nad łóżkiem bohaterki. Wszystko bez nietoperzy uderzających o szyby w oknach zamczyska, bez jakichkolwiek zjawisk nadprzyrodzonych.

Wampir był rzeczywistością. Jednak jego prawdziwa historia nigdy nie została opowiedziana. Wiedząc o tym, Neville sięgnął pamięcią do historycznych relacjach o epidemiach. Myślał o upadku Aten. Bardzo przypominała epidemię roku 1975. Nim zdołano zrobić cokolwiek, miasto upadło. Historycy pisali także o morowym powietrzu. Robert Neville był

przekonany, że i tę zarazę spowodowały wampiry.

Chociaż nie, nie wampiry. Jak dotąd wydawało się, że wypatrujące łupu, chytre zjawy nocne, z którymi miał do czynienia, stanowiły jedynie narzędzie bakterii, podobnie jak ci Bogu ducha winni żyjący ludzie, zarażeni chorobą. Wszystkiemu winne były zarazki. Nikczemne bakterie ukrywały się za zasłoną legendy i przesądu, nękając ludzi, którzy kulili się ze strachu przed wymyślonymi przez siebie obawami.

No, a Czarna Śmierć? Tragiczny pomór, który przeszedł przez Europę, zbierając śmiertelne żniwo dwóch trzecich mieszkańców kontynentu?

Czyżby wampiry?

Tego samego wieczora o dziesiątej potwornie rozboleła go głowa, a jego oczy przypominały gorące galaretowate pęcherzyki. Był potwornie głodny. Wyjął z zamrażarki kawałek boczkę i nastawił kuchenkę. Sam poszedł zażyć szybkiej kąpieli pod prysznicem.

Odskoczył nieco, kiedy większy kamień uderzył w ścianę domu.

Jego twarz wykrzywiła się trochę w wymuszonym uśmiechu. Przez cały dzień był tak zajęty, że zapomniał o tej całej zgrai buszującej wokół jego domu.

Kiedy się wycierał, uświadomił sobie, że właściwie nie wiedział, ilu z nich, przychodzących do niego co noc było żywych, a iloma kierowała jedynie bakteria.

„Dziwne, że tego nie wiem” - pomyślał. Musieli być jedni i drudzy, bo kiedy do nich strzelał, jedni powracali, natomiast inni już nie wstawali. Przypuszczał, że nie dało się uśmiercić tych, którzy już byli martwi i oni w jakiś tajemniczy sposób wytrzymywali strzały.

Ta myśl pociągnęła za sobą kolejne pytania. Dlaczego mianowicie przychodzili tutaj także żywi? Dlaczego tylko niektórzy, a nie wszyscy z okolicy?

Do smażonego boczku wypił szklankę wina i dziwił się, że wszystko było takie smaczne. Zwykle bowiem to, co jadł, smakowało jak trawa.

„Musiałem jakoś dzisiaj nabrać apetytu” - myślał.

Poza tym nie wypił ani jednego drinka. Nawet jeszcze lepiej - nie chciał pić. Pokiwał głową. Było dla niego bolesną oczywistością, że w alkoholu znajdował pociechę.

Zjadł wszystko, obgryzł nawet kości. Resztę wina zabrał ze sobą do dużego pokoju, włączył gramofon i usiadł w fotelu, westchnąwszy jak na zmęczonego człowieka przystało.

Siedział w pokoju, słuchając suity Ravela Dafnis i Chloe, pierwszej i drugiej części. Światło było wyłączone za wyjątkiem niewielkiej lampki na meblach. Udało mu się zupełnie zapomnieć o istnieniu wampirów.

Po chwili jednak nie mógł oprzeć się, by jeszcze raz spojrzeć w mikroskop.

„Ty draniu” - pomyślał niemal czule, patrząc na pałeczkę protoplazmy poruszającą się nerwowo przy skraju szkiełka - ”ty paskudny, mały draniu.”

Rozdział 12

Nazajutrz wszystko układało się niedobrze.

Światło słoneczne zabiło zarazki na szkiełku, ale to niczego nie wyjaśniło.

Także siarczyn allilu dodany do krwi zarażonej bakterią nie dał żadnych rezultatów. Siarczyn został wchłonięty, a zarazek żył dalej.

Robert Neville spacerował nerwowo po pokoju.

Czosnek ich odstraszał, a krew była podstawowym warunkiem ich egzystencji. Ale kiedy zmiesza się najistotniejszy składnik czosnku z krwią, nie dzieje się nic. Złość zamknęła jego dłonie w pięści.

„Ale zaraz, ta krew pochodziła przecież od żyjących.” W godzinę później miał już kolejną próbkę. Dodał do niej siarczynu i popatrzył przez mikroskop. Nie stało się nic.

Lunch stanął mu w gardle.

„A co wobec tego z żerdzią?” - Jedyne, co przychodziło mu do głowy to utrata krwi, ale jednocześnie wiedział, że nie o to chodzi. Żeby nie ta przeklęta kobieta...

Przez połowę popołudnia usiłował zająć myśli czymś konkretnym.

W końcu, burknawszy coś pod nosem, przewrócił mikroskop i poszedł do dużego pokoju. Z głuchym odgłosem usiadł w fotelu, niecierpliwie uderzając palcami o rękę.

„Wspaniale, Neville” - pomyślał - „Jesteś niesamowity, wybijasz się w swojej klasie.” Siedział tak, gryząc palce. „Spójrzmy prawdzie w oczy” -

pomyślał załośnie - „Już dawno straciłem głowę. Nie potrafię przez dwa następujące po sobie dni rozważyć problemu, wszystko od razu rozchodzi się w szwach. Jestem do niczego, bez żadnej wartości, kompletny nieudacznik.”

„No tak” - odpowiedział samemu sobie - „tak to właśnie wygląda. A teraz trzeba wracać do rzeczy.” Tak też zrobił.

„Pewne rzeczy są już ustalone” - zaczął sobie tłumaczyć - „wiemy, że *istnieje* bakteria, która może się przenosić, zabija ją światło słoneczne, również skuteczny jest czosnek. Niektóre wampiry śpią w ziemi, można je zniszczyć ciosem żerdzi. Nie zmieniają się w nietoperze ani w wilki, choć niektóre zwierzęta zarażone zarazką stają się wampirami.” Dobrze.

Sporządził listę. Były na niej dwie kolumny, pierwszą opatrzył

napisem „zarazki”, a nad drugą postanowił znak zapytania.

Rozpoczął.

Krzyż. Nie, to nie może mieć nic wspólnego z zarazkami. Jeśli już, odgrywa jakąś rolę w sensie psychologicznym.

Ziemia. Czy może w niej być coś, co ma jakiś wpływ na bakterię?

Nie, bo jak dostawałby się do krwi? Poza tym tylko niektórzy z nich spali, zakopując się w ziemi.

Przełknął ślinę. Była to już druga pozycja pod znakiem zapytania.

A ciekąca woda. Może wchłaniali ją jakoś przez pory i... Nie, to głupie. Przecież wychodzili normalnie na deszcz, nie robiliby tego, gdyby woda im szkodziła. Kolejna rzecz w prawej kolumnie. Ręka zadrżała mu lekko, kiedy ją wpisywał.

Światło słoneczne. Na próżno oczekiwał satysfakcji, wpisując coś do właściwej kolumny.

Żerdzie. „Nie” - przełknął ślinę. - „Uważaj na siebie” - pomyślał.

Lustro. „Na miłość Boską, co lustro może mieć wspólnego z bakteriami?” To, co w pośpiechu wpisywał po prawej stronie było coraz mniej czytelne. Ręka drżała mu coraz bardziej.

Czosnek. Siedział nad kartką, zgrzytając zębami. Czuł, że ostatni znany mu element musi wpisać pod „bakteriami”, że jest to dla niego niemal punkt honoru. Męczył się nad tą ostatnią rzeczą. „Czosnek.

Czosnek. Jakoś musi działać na bakterie. Ale jak?” Już zaczął pisać pod znakiem zapytania, ale zanim zdołał to zrobić, wezbrała w nim złość, która uderzyła jak lawa w zastygły krater wulkanu.

„*Niech to diabli!*”

Zmiał w dłoni kartkę papieru i odrzucił ją na bok. Podniósł się z miejsca cały spięty i rozglądał się wokół siebie. Miał ochotę coś rozbić, cokolwiek! „A więc myślałeś, że okres szaleństwa masz już za sobą! -

wrzeszczał na siebie, nachylając się nad biurkiem na chwiejnych nogach.

Potem zebrał się w sobie i odchylił. „No nie, nie zaczynaj znów” -

zaczął błagalnym tonem. Odgarnął dłońmi gładkie blond włosy. Nerwowo przełknął ślinę, z trudem powstrzymując się przed zniszczeniem czegoś.

Rozzłościł go także dźwięk lejącej się do szklanki whisky. Przechylił

butelkę do góry nogami tak, że alkohol wylewał się gwałtownymi falami i rozpryskiwał się na brzegach szklanki, a potem na mahoniowy blat biurka.

Połknął jednym haustem całą zawartość szklanki odchylając w tył

głowę, a whisky spływała mu z kącików ust.

„Jestem zwierzęciem” - zaczął triumfalnie - „*Tępy, głupi* zwierzęciem, dlatego będę pić!

Opróżnił szklankę, po czym rzucił ją tak, że przeleciała przez pokój, odbiła się od regału z książkami i potoczyła po dywanie.

„Aaa, a więc nie chcesz się rozbić, co?” - zazgrzytało mu w głowie, potem poderwał się i skacząc na leżącą na dywanie szklankę, zmiażdżył ją na drobne kawałki swymi ciężkimi butami.

Potem odwrócił się i chwiejnym krokiem poszedł do barku.

Napełnił kolejną szklankę i wlał jej zawartość do gardła.

„Chciałbym mieć tam doprowadzoną rurkę” - pomyślał -

„podłączyłbym wtedy tę cholerną rurkę i lał w siebie whisky, aż wylałaby się uszami! *Aż bym w niej utonął!*”

Rzucił szklanką. „Wolno, zbyt wolno to wszystko, do cholery!” Pił

już prosto z przechylonej w górę butelki. Połykając alkohol w furii, nienawidził siebie samego, palącymi łykami whisky wymierzał sobie karę, która dotykała płomieniem jego gardło.

„Uduszę się!” - wybuchnął. „Zapiję się na śmierć! *Utopię się* w alkoholu! Jak Clarence w swojej małmazji! Umrę, umrę, *umrę!*” Cisnął pustą już butelkę przez pokój, rozbiła się o ścianę, na której była fototapeta. Whisky polala się strugą wzdłuż widniejącego na niej pnia drzewa, potem spłynęła na podłogę. Szybkim ruchem przeszedł w poprzek pokoju i podniósł kawałek rozbitej butelki. Nagłym cięciem rozdarł tapetę, a jej poszarpany, zwisający ze ściany kawałek podzielił

cały widok. „O! - pomyślał - „To dla ciebie!”

Wyrzucił kawałek szkła, który trzymał w ręce, i spojrzał w dół, kiedy poczuł w palcach tępy ból. Spojrzał w dół. Zobaczył otwartą ranę.

„Dobrze!” - wykrzyknął zjadliwie, przyciskając brzegi rany, aż krew dużymi kroplami pociekła na dywan. - „Tak, wykrwaw się na śmierć, ty głupi, nic nie warty draniu!”

W godzinę później całkowicie pijany leżał rozwalony na podłodze z głupekowatym uśmiechem na twarzy.

Świat stał się piekłem. Żadnych zarazków, żadnej nauki.

Świat osunął się w nadprzyrodzoność, to jest nadprzyrodzony świat.

Harper's Bizarre i Zjawa sobotniej nocy, Ghoul Housekeeping. „Młody Dr Jekyll”, „Inna żona Draculi” i „Śmierć może być piękna”. „Daj się uśmiercić do końca” i Smith Brothers ze swoimi „Landrynkami do trumny”.

Pozostał w tym stanie przez dwa dni, a zamierzał być pijany do końca swoich dni lub też do chwili wyczerpania się światowych zapasów whisky, zależnie od tego, co zdarzy się najpierw.

Tak właśnie mogło być, gdyby nie wydarzył się cud.

Miało to miejsce trzeciego dnia rano, kiedy potykając się wyszedł na zewnątrz, aby sprawdzić, czy świat na zewnątrz jeszcze istnieje.

Po jego trawniku biegał sobie pies. W chwili, gdy usłyszał odgłos otwieranych drzwi, nagle przestał obwąchiwać trawę i przerażony gwałtownym ruchem podniósł łeb i jak oparzony odskoczył w bok na wychudzonych nogach.

Przez moment Robert Neville był tak zaszokowany, że nie potrafił

wykonać żadnego ruchu. Stał jak skamieniały, wpatrując się w psa, który pospiesznie kuśtykał na drugą stronę ulicy z podwiniętym ogonem przypominającym sznur.

„On był żywy! W dzień!” Rzucając się przed siebie z głuchym okrzykiem, niemal upadł twarzą na trawnik. Nogi miał sztywne jak u robota, ręce wymachiwały, usiłując utrzymać równowagę. Potem zmobilizował się i zaczął biec za psem.

„Hej!” - krzyczał, a jego chrapliwy głos rozdarł ciszę, która panowała na ulicy Cimarron. - „Wracaj tutaj!”

Jego buty stuknęły o chodnik, potem zeskoczył z krawężnika, czując w głowie grzmocący ból. W piersi serce waliło jak oszalałe.

„Chodź tu dziecino, nic ci nie zrobię!” - wykrzyknął.

„Hej! Chodź tu, mały!” - zawołał znowu.

Po przeciwnej stronie ulicy zwierzę kuśtykało wzdłuż chodnika z podkurczoną prawą, tylną nogą, a jego ciemne pazurki stuknęły o płyty chodnika.

„Chodź tu mały, nic ci nie zrobię!” - krzyknął.

Biegając, odczuwał w boku kłujący ból, w głowie boleśnie pulsowała krew. Pies na chwilę przestał biec i odwrócił się. Potem pognął przed siebie, pomiędzy dwa domy i Neville przez moment ujrzał go z boku. Był

to białe - brązowy kundel, lewe ucho wisiało w strzępach. Jego wymizerowane ciało chwiało się całe, kiedy biegł.

„Nie uciekaj!”

Nie zauważył drżącego pisku hysterii w swoim głosie, kiedy wykrzykiwał te słowa. W końcu głos mu zupełnie zamarł w ściśniętym gardle, gdy pies zniknął między domami. Jęknął, obawiając się, że straci go z oczu i utykając, pognął jeszcze szybciej, zupełnie nie zważając na dolegliwości kaca, postawiwszy wszystko na jedną kartę.

Ale kiedy dobiegł na tyły domu, psa tam już nie było. Podbiegł do sekwoi, które stanowiły ogrodzenie i spojrzał na drugą stronę. Nic. Potem nagłym ruchem odwrócił się, by się zorientować, czy pies nie uciekł tą samą drogą, którą mógł się tam dostać.

Nie było go.

Chodził po okolicy przez godzinę, na chwiejnych nogach, na próżno szukając i nawołując co jakiś czas: „Chodź tu, mały, chodź!” Wreszcie powlókł się do domu z wyrazem całkowitego zniechęcenia na twarzy. Natknął się na żyjącą istotę, która mogła być towarzyszem po tym wszystkim, co przeżył, a potem stracić ją z oczu. Nawet jeśli był to tylko pies. *Tylko* pies? Ale dla Roberta Neville'a ten pies był najwyższą istotą w ewolucyjnej hierarchii na całej planecie.

Neville nie był w stanie niczego jeść ani pić. Szok, który przeżył, spowodował, że czuł się chory i rozedrgany tak, że w końcu musiał się położyć. Nie mógł spać. Leżał tak w dreszczach i gorączce, przerzucając głowę na jedną, to na drugą stronę płaskiej poduszki.

„Chodź tu, mały” - mamrotał pod nosem bezwiednie - ”Chodź tu, nic złego ci nie zrobię.”

Po południu wybrał się na poszukiwania. W promieniu dwóch przecznic od siebie przeszukał każde sąsiedztwo, każdą ulicę, każde podwórko. Niczego jednak nie znalazł.

Wróciwszy do domu około piątej wystawił na zewnątrz miskę z mlekiem i kawałek hamburgera. Wokół położył wiązkę czosnku w nadziei, że będzie to ochrona przed wampirami. Ale potem przyszło mu do głowy, że przecież pies musi też być zarażony i czosnek będzie dla niego stanowił

przeszkodę. Nie mógł tego zrozumieć. Jeśli rzeczywiście był zarażony, jak mógł sobie biegać w świetle dziennym? Albo bakterii, które go zaatakowały, było tak mało, że nie można jeszcze mówić o zarażeniu. Ale z kolei jeśli to prawda, jak przetrwał nocne ataki z ich strony?

„O mój Boże” - pomyślał później - „a jeśli przyjdzie po jedzenie po zmroku, dopadną go.” Co będzie, jeśli następnego ranka na trawniku znajdzie ciało psa i będzie miał świadomość, że sam jest odpowiedzialny za jego śmierć. „Nie zniósłbym tego” - pomyślał z żalem - „rozerwałoby mnie w środku, przysięgam.”

Dręczyły go myśli, które kręciły się wokół zagadki jego przetrwania.

Było teraz kilka możliwości badań, ale jego życie nadal pozostawało bezsensownym utrapieniem, pozbawionym jakiegokolwiek pociechy.

Wszystko, co teraz w życiu miał lub co mógł mieć (nie licząc naturalnie drugiej istoty ludzkiej), było beznadziejne i nie przynosiło mu żadnej nadziei na poprawę jego losu, nawet na jakąkolwiek zmianę. Wszystko ułożyło się tak, że nie mógł od życia oczekiwać niczego więcej ponad to, co już miał. Ile jeszcze lat mu pozostało? Trzydzieści, może czterdzieści, jeśli wcześniej nie zapije się na śmierć.

Na myśl o trzydziestu latach życia, które były przed nim, przeszły go ciarki.

Jednak nie odebrał sobie życia. To prawda, że nie darzył swego ciała należyтым szacunkiem. Nie odżywiał się właściwie, nie pił w sposób właściwy, nie spał właściwie, niczego nie robił tak, jak należy. Przecież jego zdrowie nie będzie trwać w nieskończoność. I tak już oszustwem były procenty, które w siebie wlewał.

Ale tego, że nie troszczył się o swoje ciało, nie można było nazwać samobójstwem. Nigdy tego nie próbował, nie wiedząc właściwie, dlaczego.

Wydawało się, że również na to pytanie nie ma odpowiedzi. Nie był

do niczego przywiązany, nic go nie zmuszało do życia. Ale żył w osiem miesięcy po śmierci ostatniej ofiary epidemii, dziewięć miesięcy od czasu, kiedy ostatni raz rozmawiał z drugim człowiekiem, dziesięć miesięcy od śmierci Virginii. Żył. Nie było przed nim żadnej przyszłości, a teraz-

niejszość była beznadziejna. Mimo to z trudem posuwał się naprzód.

Instynkt? A może po prostu głupota? Zbyt pozbawiony wyobraźni, aby ze sobą skończyć? Czemu nie zrobił tego zaraz na początku, kiedy był

na samym dnie? Co skłoniło go do zabezpieczenia domu, zainstalowania zamrażarki, prądnicy, kuchenki elektrycznej, zbiornika z wodą, do zbudowania szklarni, warsztatu, do spalania domów w bezpośrednim są-

siedztwie, do zgromadzenia płyt i całej góry zapasów żywności, nawet -

sama myśl o tym była absurdalna - przyklejenia na ścianę fantazyjnej fototapety?

Czy zatem za określeniem „siła życia” kryło się coś rzeczywistego, jakaś faktyczna moc, która rządzi umysłem? Czy natura w jakiś sposób podtrzymywała w nim iskrę życia, chroniąc ją przed nim samym?

Zamknął oczy. Po co myśleć, po co odwoływać się zaraz do rozumu?

Brak odpowiedzi. To, że przetrwał, było przypadkiem, wynikiem jakiejś ociążałości. Był zbyt otepały, żeby ze sobą skończyć i o to tu tylko chodziło.

Potem przykleił do ściany oderwany kawałek tapety. Ślady nie wyglądały nawet tak źle, pod warunkiem, że nie patrzyło się z bliska.

Usiłował jeszcze powrócić do problemu bakterii, ale uświadomił

sobie, że nie potrafi skoncentrować się na niczym i myślami bez przerwy powraca do psa. Bardzo zdziwił się, kiedy usłyszał, jak wypowiada nieporadnie modlitwę o to, by nic mu się nie stało. W tym momencie odczuł palącą potrzebę wiary w Boga, który troszczyłby się o swoje stworzenia. Ale gdy się modlił, przeszła go świadomość, że w każdej chwili sam może zacząć przedrzeźniać swoją modlitwę.

Jakoś jednak udało mu się zignorować swoje obrazoburcze „ja” i powrócił do swojej modlitwy. Chciał odnaleźć psa, potrzebował go.

Rozdział 13

Kiedy rano wyszedł na zewnątrz domu, mleka i hamburgera już nie było.

Natychmiast popatrzył na trawnik. Były tam dwa zwinięte ciała kobiet, ale nie było widać psa. Odetchnął z ulgą.

„Dzięki Bogu za to” - pomyślał. Potem uśmiechnął się do siebie. -

„Gdybym był religijny, uznałbym, że moja modlitwa miała rację bytu i była skuteczna.”

Zaraz potem zwymyślał siebie za to, że nie czuwał wtedy, gdy zwierzę przyszło po jedzenie. Musiało to być już o świcie, kiedy na ulicach było bezpiecznie. Przetrwawszy tak długo pies musiał sobie wypracować jakiś system. Ale trzeba było czuwać, kiedy przyszedł.

Pocieszał się myślą, że jeśli chodziło tylko o jedzenie, już pozyskał

sobie psa. Przez chwilę zmartwił się, że to oni mogli wziąć jedzenie, a nie pies. Szybko obejrzał to miejsce i pozbył się obaw. Hamburger nie został

podniesiony nad zabezpieczającym go czosnkiem, ale przeciągnięty przezeń po posadzce werandy. Poza tym wokół miski były jeszcze wilgotne ślady rozpryskanego mleka, które pozostawić mógł jedynie chłepczący pies.

Zanim sam zasiadł do śniadania, wystawił jeszcze jednego hamburgera i mleko, ustawiając je w cieniu tak, aby nie zagrzały się na słońcu. Po chwili namysłu postawił obok także miskę z zimną wodą.

Później odwiózł ciała do ognia i w drodze powrotnej wstąpił do sklepu i wziął ze dwa tuziny puszek z psim jedzeniem, najlepszym, jakie mógł znaleźć, a także psie herbatniki, psie słodycze, puder przeciwko pchłom i drucianą szczotkę.

„Mój Boże, pomyślałby kto, że będę miał dziecko” - pomyślał, wracając z trudem do samochodu z pełnymi rękami rzeczy.

Na jego twarzy pojawił się niepewny uśmiech.

„Właściwie dlaczego mam udawać?” - pomyślał - ”przez rok nie byłem tak podekscytowany jak teraz.” Zapal, który ogarnął go, kiedy zaczął poszukiwać bakterii, nie da się porównać z tym, co czuł teraz, znalazłszy psa.

Pędził do domu z szybkością stu trzydziestu kilometrów na godzinę i nie mógł powstrzymać jęku rozczarowania, kiedy zobaczył, że jedzenie było nietknięte.

„A czegoż ty się u diabła spodziewałeś?” - zadał sobie sarkastyczne pytanie - „przecież pies nie może jeść co godzina.” Położywszy na kuchennym stole psią żywność i przybory popatrzył

na zegarek. Dziesiąta piętnaście. Pies powinien tu wrócić, kiedy znowu zgłodnieje. „Cierpliwości” - powiedział sobie - „postaraj się przynajmniej o tę *jedną* zaletę.”

Odsunął pudełka i puszki. Potem poszedł sprawdzić dom z zewnątrz i szklarnię. Trzeba było przybić poluzowaną deskę i wymienić rozbitą szybę w dachu szklarni.

Zbierając główki czosnku, kolejny raz dziwił się, dlaczego dotychczas nie podpalili jego domu. Wydawało się to tak oczywistą taktyką. Czy to możliwe, żeby obawiali się zapalek? Albo wynikało to z ich głupoty? W końcu ich umysły nie były tak sprawne jak przed chorobą.

Przejście z życia do ożywionej śmierci musiało wiązać się z pewnym wyniszczeniem tkanek.

„Ależ nie, ta teoria nie ma sensu, bo przecież wokół domu grasowali także żywi, których umysły działały prawidłowo.”

Zrezygnował z tych rozważań. Nie miał nastroju do rozwiązywania problemów. Resztę czasu przed południem spędził na wiązaniu czosnku.

Przez chwilę zastanawiał się, jak właściwie działały główki czosnku.

Według legendy były to zawsze kwiaty czosnku. Wzruszył ramionami.

„Cóż z tego? Najważniejsze, że skutecznie ich odstrasza, przypuszczam, że kwiaty też byłyby skuteczne.”

Po zjedzeniu lunchu usiadł przed judaszem i patrzył na stojące na zewnątrz miskę i talerz. Wszędzie panowała cisza, jedynie z sypialni, kuchni i łazienki dolatywał ledwo słyszalny szum klimatyzatorów.

Pies przyszedł o czwartej. Neville niemal zapadł już w drzemkę, zerkając przez judasza, aż jego oczy mrugnęły i zatrzymały się na zwierzęciu, które powoli kuśtykało przez ulicę, patrząc na jego dom uważnymi okolonymi białymi obwódkami oczyma. Zastanawiał się, co mogło się psu stać w łapę. Myślał, jak można by mu pomóc i w ten sposób wkraść się w łaski zwierzęcia. „Cień Androklesa” - pomyślał Neville w smutnym półmroku swojego domu.

Zmusił się do tego, by w spokoju siedzieć i patrzeć. Wprost niewiarygodne było uczucie ciepła i normalności, które go ogarnęło, gdy patrzył, jak pies pije mleko i zjada hamburgera, kłapiąc szczęką. Kiedy tak na to patrzył, zaczął się delikatnie uśmiechać. Nie był świadomy tego uśmiechu. Taki miły pies.

Zaczął nerwowo przełykać ślinę, widząc, że pies skończywszy jedzenie zbiegł z werandy. Zeskoczywszy ze stołka Neville rzucił się do drzwi wejściowych.

Po chwili zatrzymał się.

„Nie, tak nie można” - zdecydował niechętnie - „jeśli teraz wyjdiesz, wystraszysz go tylko. Pozwól mu teraz odejść, daj spokój.” Wrócił więc do judasza i patrzył, jak pies, kulejąc, przechodził przez ulicę i zniknął między dwoma domami. Neville czuł skurcz w gardle, kiedy patrzył, jak pies odchodzi. „Wszystko w porządku” - pocieszał się -

„wróci tu znowu.”

Odwróciwszy się od judasza poszedł przygotować sobie lekkiego drinka. Siedząc w fotelu i popijając powoli, myślał o tym, gdzie pies spędzi noc. Na początku zmartwił się, że nie będzie z nim w domu.

Później jednak zrozumiał, że musiał po mistrzowsku opanować sztukę ukrywania się przed nimi, skoro przetrwał tak długo.

„Najprawdopodobniej” - myślał - „był to jeden z tych niezwykłych przypadków, których nie da się tłumaczyć żadnym prawem prawdopodobieństwa. Jakoś szczęśliwym trafem, zbiegiem okoliczności, trochę dzięki własnym umiejętnościom ten pies przetrwał epidemię i zdołał ująć jej przerażającym ofiarom.

Ten fakt skłonił go do myślenia. Jeśli pies, którego inteligencja jest ograniczona, mógł przetrwać to wszystko i pozostać przy życiu, czy osoba myśląca logicznie nie miała większych szans na przetrwanie?

Odrzucił od siebie te myśli. Budziły w nim nadzieję, a to było niebezpieczne. Był to banał, który nauczył się akceptować.

Następnego dnia rano pies znowu przyszedł. Tym razem Robert Neville otworzył drzwi frontowe i wyszedł na zewnątrz. Pies natychmiast odskoczył od jedzenia i uciekł przebiegając szaleńczo łapami. Neville drgnął nerwowo, tłumiąc w sobie odruch pogoni za psem. Z

naturalnością, na jaką tylko było go w tym momencie stać, udając, że robi to od niechcienia, usiadł na schodach.

Pies przebiegł na drugą stronę ulicy, wbiegł między domy i zniknął.

Po piętnastu minutach Neville wrócił do domu.

Zjadł lekkie śniadanie i wystawił dla niego więcej jedzenia.

Pies powrócił o czwartej, Neville znów wyszedł na zewnątrz, tym razem upewniwszy się najpierw, że tamten zjadł już wszystko.

Pies znowu uciekł. Tym razem jednak zorientowawszy się, że nikt go nie goni, zatrzymał się na drugiej stronie ulicy i patrzył przez chwilę za siebie.

- W porządku, chłopcze! - zawołał Neville i na dźwięk jego głosu pies uciekł.

Cały spięty, Neville usiadł na skraju werandy, zgrzytając niecierpliwie zębami. „Niech to diabli, cóż się z nim dzieje?” - pomyślał -

pomyślał - „przeklęty *kundel*. ”

Potem zmusił się, aby pomyśleć, przez co on musiał przejść. Nie kończące się noce, kiedy skurczony musiał przesiadywać w jakichś kryjówkach, Bóg wie gdzie, a jego wychudzona pierś podnosiła się i opadała z drżeniem ze strachu przed wampirami, których pełno było w otaczających go ciemnościach. Poszukiwania pożywienia i wody, walka o życie w świecie, w którym nie miał swego pana. Istota, którą człowiek nauczył od siebie zależeć.

„Biedne psisko” - pomyślał - „będę dla ciebie dobry, kiedy ze mną zamieszkasz.”

„Być może” - przysłała mu do głowy następna myśl - ”pies miał

większe szanse na przetrwanie niż człowiek. Jest mniejszy, więc mógł

ukryć się w miejscach niedostępnych dla wampirów. Być może wyczuwał

coś dziwnego w postaciach, które kręciły się wokół niego, pewnie nie zawiódł go *węch*. ”

Wcale go to nie uszczęśliwiało. Zawsze bowiem, wbrew rozsądkowi jakoś trzymał się nadziei, że któregoś dnia znajdzie kogoś takiego jak on sam - mężczyznę, kobietę, dziecko, nie miało to

większego znaczenia. Płeć szybko straciła swe znaczenie bez nieustannych bodźców masowej hipnozy. Odczuwał samotność.

Niekiedy pozwalał sobie na marzenia, że któregoś dnia kogoś znajdzie. Częściej jednak próbował przystosować się do tego, w co jeszcze wierzył, że właściwie był jedynym człowiekiem, który pozostał na Ziemi.

Przynajmniej w tej części świata, która była w jego zasięgu.

Rozmyślając o tym zapomniał, że zbliżał się zmrok. Poderwawszy się zauważył Bena Cortmana, który biegł do niego przez ulicę.

- Neville!

Szybkimi krokami wbiegł do domu, drżącymi rękoma zamykając i ryglując za sobą drzwi.

Jeszcze przez pewien czas wychodził na werandę, zaraz jak pies skończył jeść. Za każdym razem pies rzucał się do ucieczki, ale w miarę upływu czasu nie uciekał tak szybko, potem zatrzymywał się w pół drogi, oglądał się na niego i czekał. Neville nigdy go nie ścigał, zawsze siadał i patrzył. Była to gra między nimi.

Któregoś dnia Neville usiadł na werandzie, zanim pies przyszedł i siedział nadal, gdy zobaczył, jak zbliża się przez ulicę.

Przez około kwadrans pies kręcił się koło krawężnika, spoglądając podejrzliwie i nie chcąc zbliżyć się do jedzenia. Neville odsuwał się od jedzenia możliwie najdalej, aby go zachęcić. Bezwiednie założył nogę na nogę, a widząc nieoczekiwany ruch, pies odskoczył. Później Neville uważał, by go nie przestraszyć, a pies uparcie kręcił się po ulicy, spoglądając raz na Neville'a, potem na jedzenie, potem znów na Neville'a.

- No, chodź, mały - powiedział do niego. - Zjedz sobie, dobre psisko.

Minęło kolejnych dziesięć minut. Pies był teraz na trawniku, zataczając wokół niego coraz to mniejsze łuki.

Zatrzymał się. Później bardzo powoli, stawiając łapy jedna za drugą, nie spuszczać przy tym oczu z Neville'a, zaczął wychodzić na górę, gdzie stały miski i hamburger.

- Dobre psisko - powiedział Neville cicho.

Tym razem na dźwięk jego głosu pies nie odskoczył, nawet się nie cofnął. Tak czy inaczej Neville uważał, by nieopatrnie nie przestraszyć zwierzęcia jakimś gwałtownym ruchem.

Pies podszedł jeszcze bliżej. Podkradając się do talerza, jego ciało napięte jak struna wyczekiwało najmniejszego ruchu ze strony człowieka, który siedział obok.

- Tak, bardzo dobrze - powiedział Neville do psa.

Aż nagle pies rzucił się do przodu i pochwycił mięso. Zadowolony śmiech Neville'a towarzyszył jego raptownej ucieczce przez ulicę.

- Ty mały tchórze - powiedział pieszczotliwie.

Potem siedział i patrzył, jak jego pies zajada. Przycupnął na pożółkłym trawniku po przeciwnej stronie ulicy i z wilczym apetytem zabrał się za mięso, cały czas patrząc na Neville'a. „Odtąd będziesz już dostawał psie potrawy. Nie mogę sobie pozwolić na karmienie cię świeżym mięsem” - pomyślał.

Kiedy pies skończył jeść, wyprostował się i z powrotem przeszedł

przez ulicę jakby bardziej pewny siebie. Neville siedział ciągle w tym samym miejscu, czując nerwowe bicie serca. Pies mu zaufał, a to przyprawiało go o dreszcze. Siedział tak z oczyma utkwionymi w psa.

- Tak, dobrze psiaku - usłyszał swój własny głos - teraz napij się wody, dobry pies.

Jego twarz rozjaśniła się w uśmiechu zadowolenia, gdy zobaczył, jak podnosi się na psiej głowie zdrowe ucho.

„Oho, słucha mnie! - pomyślał podekscytowany. - „S *tucha*, co do niego mówię, mały łobuz!”

- No, chodź mały - mówił ożywiony - weź sobie teraz mleko i wodę.

Nic ci nie zrobię, piesku!

Pies podszedł do miski z wodą i pił łapczywie, podnosząc co jakiś czas łeb gwałtownym ruchem, aby spojrzeć na Neville'a, potem schylając się znowu.

- Nic nie robię - powiedział psu.

Nie mógł się nadziwić, jak dziwnie brzmiał jego głos. Musiał

brzmieć dziwnie, skoro przez prawie rok nie słyszał się mówiącego. Rok życia w milczeniu to długi czas.

„Kiedy ze mną zamieszkas?” - pomyślał - „przyzwyczaję twoje uszy do ludzkiej mowy.”

Pies wypił całą wodę.

- Chodź tu, psiaku - mówił do niego zapraszającym tonem, klepiąc się po nodze - no, *chodź*.

Pies popatrzył na niego z zaciekawieniem, a jego zdrowe ucho drgnęło znowu.

„Te oczy” - pomyślał Neville. - „Jest w nich cały świat uczuć!”

Nieufność, strach, nadzieja, samotność. Wszystko w tych dużych, brązowych oczach. Biedny, mały psiak.”

- Chodź tu, nie skrzywdzę cię - powiedział delikatnie.

Potem wstał, a pies uciekł. Neville stał tak i patrzył jak tamten biegł.

Kiwał powoli głową.

Mijały kolejne dni. Codziennie Neville siedział na werandzie, gdy pies jadł. Po pewnym czasie podchodził do misek już bez wahania, można by rzec odważnie, z jakimś psim przekonaniem, że pozyskał sobie człowieka.

Neville cały czas do niego mówił.

- „Dobry piesek. Jedz sobie. Smakuje ci, prawda? No, pewnie, że smakuje. Jestem twoim przyjacielem, ode mnie to dostałeś. Jedz sobie, dobrze, psiaku. *Dobry piesek*” - tak bez końca przymilał się, chwalił go, a jego łagodne słowa kołysy wystraszonego psa, który zajęty był jedzeniem.

Każdego dnia siadał bliżej zwierzęcia, aż był już tak blisko, że wyciągając się nieco, mógł dotknąć psa. Jednak tego nie zrobił. Nie będzie wykorzystywał okazji, nie mogę go przestraszyć.

Trudno było jednak pozostać w bezruchu. Niemal czuł, jak jego dłonie kurczą się nerwowo z nieodpartym pragnieniem poklepania zwierzęcia po głowie. Była w nim tak przemożna tęsknota za miłością, za tym, by mógł znowu coś pokochać, a oto miał przed sobą psiaka, który był

tak uroczym brzydalem.

Nie przestawał do niego mówić, aż ten przyzwyczał się do głosu Neville'a. Już nawet słysząc znajomy głos, nie podnosił głowy, kiedy zajęty był jedzeniem. Przychodził i odchodził już bez drżenia, jadł to, co dostał od Neville'a i na odchodnym, z przeciwnej strony ulicy wyszcze kiwał swoje lakoniczne podziękowanie. „Już niedługo będę mógł

go pogłaskać” - Neville mówił do siebie. Dni zamieniały się w tygodnie, wypełniając go ciepłym uczuciem przywiązania do zwierzęcia, każda godzina przybliżała ich do siebie.

I wtedy, pewnego dnia pies nie przyszedł.

Neville dostał niemal białej gorączki, już tak przyzwyczał się do odwiedzin zwierzęcia, że stały się najważniejszym punktem jego programu dnia, wszystko, co robił, podporządkowane było i kręciło się wokół posiłków psa, zapominał o swoich badaniach, wszystko od siebie odsunął, było w nim tylko pragnienie, by pies był z nim w domu.

Nerwowe popołudnie minęło mu na przeszukiwaniu okolicy, kiedy głośno nawoływał psa. Na nic jednak zdały się długie poszukiwania, wrócił do domu na obiad, który smakował jak trawa. Pies nie przyszedł

też tego dnia na kolację, ani na śniadanie następnego dnia. Neville wznowił poszukiwania, już ze słabnącą nadzieją. „Dopadli go” słyszał w głowie słowa - „parszywe dranie go dopadły.” Ale nie mógł w to uwierzyć.

Nie pozwoliliby sobie w to uwierzyć.

Po południu trzeciego dnia był właśnie w garażu, kiedy usłyszał na zewnątrz metaliczny dźwięk poruszanej miski. Z nagłym westchnieniem wybiegł na zewnątrz.

- *Wróciłeś!* - krzyknął.

Pies odskoczył gwałtownie od miski, woda kapiała mu z pyska. Serce skoczyło w piersi Neville'a. Pies oczy szklily się, zwierzę oddychało szybko z wywieszonym językiem.

- Nie - powiedział łamiącym się głosem - och, *nie*.

Pies nadal cofał się przez trawnik na chudych nogach przypominających patyki. Neville pospiesznie usiadł na schodach werandy, drżąc cały.

„Nie, och, nie” - myślał z udręką - „Mój Boże, *nie*”.

Siedział i patrzył, jak zwierzęciem targały nieregularne skurcze, kiedy chleptał wodę. „Nie, nie, to niemożliwe.”

„To nieprawda” - wymamrotał bezwiednie pod nosem.

Potem instynktownie wyciągnął rękę. Pies cofnął się nieznacznie, wyszczerzył zęby i warknął z głębi gardła.

- Wszystko w porządku, chłopcze - Neville powiedział cichym głosem - nie skrzywdzę cię. - Nawet nie wiedział, o czym mówi.

Nie potrafił psa zatrzymać, kiedy ten odchodził. Próbował iść za nim, ale ten zniknął, nim można było się zorientować, gdzie była jego kryjówka. Doszedł do wniosku, że musi się chować gdzieś pod domem, ale to niewiele pomogło.

W nocy nie mógł spać. Niestrudzenie spacerował po pokoju, pił

kawę filiżanka za filiżanką i przeklinał czas, który leniwie posuwał się do przodu. Musi wreszcie złapać psa, musi. Trzeba przecież go opatrzyć.

Ale jak? Przełknął ślinę. Musi być jakiś sposób. Mimo jego nikłej wiedzy na ten temat, *musi* być sposób.

Następnego dnia rano usiadł obok miski przygotowanej dla psa i zobaczywszy go, powoli kuśtykającego przez ulicę, poczuł, jak drżą mu wargi. Ślepią zwierzęcia były bardziej przyćmione i obojętne niż pamiętał

je poprzedniego dnia. Neville miał ochotę rzucić się i pochwycić psa, wziąć go do domu, zatroszczyć się o niego. Jednocześnie wiedział, że jeśli to zrobi, a nie uda się go przy tym złapać, może wszystko zepsuć. Pies może do niego już nigdy nie wrócić.

Cały czas, gdy pies jadł, ręce Neville'a wrywały się, aby dotknąć psiego łba. Lecz za każdym razem pies warczał i kurczył się. W końcu spróbował siłą.

- Dość tego - powiedział stanowczym tonem ze złością, ale to tylko psa wystraszyło tak, że tym bardziej odsunął się od Neville'a. Musiał

potem do niego mówić przez piętnaście minut zachrypniętym drżącym głosem, zanim pies wrócił do miski z wodą.

Tym razem udało mu się pójść za psem, który poruszał się wolno i dostrzec dom, pod którym się ukrył. Była tam niewielka metalowa pokrywa, którą mógł zastawić wejście kryjówki, ale nie zrobił tego. Nie chciał go wystraszyć. A poza tym trzeba było wydostawać psa przez podłogę w domu, a to zabrałoby zbyt wiele czasu. Musiał to zrobić szybko.

Kiedy pies nie przyszedł tego samego popołudnia, Neville, wzięwszy miskę z mlekiem, postawił ją przed jego schronieniem, pod domem.

Następnego dnia rano miska była pusta. Już chciał do niej nalać więcej mleka, kiedy zorientował się, że w takim razie pies może w ogóle nie opuścić swojej kryjówki. Postawił więc miskę na powrót przed swoim domem i modlił się, żeby tamten miał wystarczająco dużo siły, aby do niej przyjść. Bardzo się martwił, za bardzo nawet, by skrytykować swoją niedorzeczną modlitwę.

Po południu pies nie przyszedł znowu. Neville udał się do jego kryjówki i spojrzał do środka. Spacerował jeszcze tam i z powrotem i miał

już włożyć miskę z mlekiem do środka.

„Nie, przecież pies *nigdy* stamtąd nie wyjdzie.” Wróciwszy do domu spędził bezsenną noc. Rano psa nie było.

Neville znowu poszedł do kryjówki i nasłuchiwał przy wejściu, nie dosłyszał jednak żadnego odgłosu. Pies mógł być zbyt głęboko w norze albo...

Wrócił do siebie i usiadł na werandzie. Nie jadł śniadania ani lunchu. Po prostu siedział.

Tego samego dnia, po południu pies pojawił się, kuśtykając zza domów. Szedł wolno na kościstych łapach. Neville zmusił się, by siedzieć nieruchomo, aż tamten doszedł do jedzenia. Potem szybkim ruchem schylił się i wziął go na ręce.

Natychmiast pies chciał go ugryźć, ale Neville prawą ręką uchwycił

jego szczęki tak, że nie mógł ich otworzyć. Wychudzone, prawie zupełnie pozbawione sierści ciało psa wyginało się słabo w jego uścisku, a żałosne piski przerażenia dobywały się z gardła zwierzęcia.

- W porządku, w porządku, chłopcze - powtarzał kilkakrotnie.

Szybko wziął psa do swojego pokoju i położył na posłaniu z koców, które specjalnie dla niego przygotował. Kiedy tylko zabrał rękę z jego pyska, pies go ugryzł tak, że nagłym ruchem odsunął rękę. Pies wyskoczył

na podłogę, gwałtownie skrobiąc pazurami o linoleum, rzucił się w kierunku drzwi. Neville nagłym skokiem odciął mu drogę. Pies pośliznął

się na gładkiej powierzchni, potem jakby po szynach kolejki wjechał pod łóżko.

Neville przyklęknąwszy spojrzał pod łóżko. W półmroku, jaki tam panował, ujrzał dwa żarzące się węgliki oczu i usłyszał nierówny oddech.

- Chodź tu, mały - prosił go nieszczęśliwym głosem. - Chodź tu, nie skrzywdzę cię, jesteś *chory*, chcę ci pomóc.

Pies ani drgnął. Jęknąwszy Neville wstał w końcu i wyszedł z domu, zamykając za sobą drzwi. Zabrał z podwórka miski, wypełnił jedną mlekiem, drugą wodą, a potem postawił je w sypialni, blisko psa.

Stał tam przez chwilę przy swoim łóżku, słuchając ciężkiego oddechu zwierzęcia, z twarzą, na której widać było grymas bólu.

- Hmm - westchnął żałośnie - dlaczego ty mi nie ufasz?

Jadł właśnie kolację, kiedy usłyszał potworne, płaczliwe wycie.

Serce zaczęło w nim walić, odskoczył od stołu i pobiegł przez duży pokój. Szybkim ruchem otworzył drzwi i zapalił światło.

W rogu sypialni, przy warsztacie pies usiłował wykopać w podłodze dziurę. Całym jego ciałem wstrząsało pełne przerażenia skomlenie, a pazury przednich łap skrobały szaleńczo po linoleum, za każdym razem na próżno ślizgając się po jego śliskiej powierzchni.

- Wszystko w porządku, chłopcze! - Neville powiedział szybko.

Pies skoczywszy odwrócił się i wycofał się w róg z najeżonym grzbietem i szeroko wyszczerzonymi żółtawymi zębami. Na wpeł oszalałe piski dobywały się z jego gardła.

Nagle przyszło mu do głowy, na czym mógł polegać problem. Była noc i pies z przerażeniem starał się za wszelką cenę zakopać w jamie.

Stał tak, patrząc bezradnie, a jego umysł odmawiał mu po-słuszeństwa. Pies, cofając się, schował się pod warsztat.

Leżał tam płasko przy ścianie, jakby chciał w nią przeniknąć, trzęsąc się cały. Gardłowe warknięcia

dobywały się z jego pyska.

W końcu wpadł na pomysł. Neville podszedł pospiesznie do swojego łóżka i wziął z niego koc, który leżał na wierzchu. Potem wrócił do psa, schylił się i popatrzył pod ławę.

- W porządku, chłopcze - powiedział - w porządku.

Pies skurczył się jeszcze bardziej, kiedy Neville okrył go przyniesionym kocem. Potem Neville wstał i poszedł do drzwi, gdzie stał

przez chwilę i patrzył za siebie.

„Gdybym tylko mógł coś zrobić” - myślał bezradnie. „Ale nawet nie mogę się do niego zbliżyć.”

„Cóż, jeśli pies mnie nie akceptuje, będę musiał użyć chloroformu.

Wtedy przynajmniej można będzie się nim zająć, opatrzyć jego łapę i jakoś go wyleczyć.”

Wrócił do kuchni, ale nie mógł jeść. W końcu wyrzucił do śmieci to, co miał na talerzu, a kawę wlał z powrotem do dzbanka. W dużym pokoju przygotował sobie drinka i wypił go jednym haustem. Alkohol był

niesmaczny, mdły. Odstawił szklankę i poszedł do sypialni z ponurą twarzą. Pies zakopał się całkowicie w fałdach koca i ciągle drżąc, nie przestawał wyc.

„Nie mogę teraz nic zrobić, to bez sensu, jest zbyt przestraszony.” Podszedł do łóżka i usiadł. Odgarnął w tył włosy, potem zakrył

dłońmi twarz. „Wyleczyć go, wyleczyć.” Jego dłoń zacisnęła się w pięść i nieznacznie uderzyła w materac. Potem nagłym ruchem włączył światło.

Położył się w ubraniu. Leżąc, zrzucił z nóg sandały i słuchał, jak z głuchym odgłosem spadały na podłogę.

Zapanowała cisza. Leżał, wpatrując się w sufit. „Czemu ja nie wstaję? Czemu nie próbuję coś zrobić?” Odwrócił się na bok. „Prześpię się trochę” - przyszło mu do głowy. Mimo to wiedział, że nie będzie spać.

Leżał w ciemności, słuchając skomlenia psa. „Zdechnie, zdechnie, pies zdechnie” - myśli kołatały się w głowie - „nie ma na świecie rzeczy, którą mogę dla niego zrobić.”

W końcu, nie mogąc wytrzymać skomlenia, włączył lampkę przy łóżku. Kiedy w skarpetkach szedł przez pokój, usłyszał, że pies gwałtownymi ruchami usiłuje wyrwać się z koca. Jednak wyjąc z przerażenia i rzucając się na wszystkie strony, zaplątał się w jego fałdach.

- Dobrze, już dobrze - powiedział - no, przestań.

Pies nie przestawał się rzucać, walcząc z Neville, który przyklękawszy położył dłonie na jego ciele. W tym momencie rozległo się warknięcie i stłumiony odgłos kłapnięcia psich zębów, które przez koc chciały złapać jego rękę. Nie kończyły się przy tym piskliwe pojękiwania psa, a jego wycieńczonym ciałem wstrząsały dreszcze. Neville trzymał

mocno dłonie na ciele zwierzęcia, mówił do niego cały czas delikatnie, cichym głosem.

- Już dobrze, mały, dobrze. Nikt cię już nie skrzywdzi. Nie przejmuj się. Odpręż się już. No, już, mały. Uspokój się. Spokojnie. No, już dobrze.

Nikt cię nie skrzywdzi. Będę się o ciebie troszczył.

Mówił tak do niego przez godzinę, a jego głos coraz bardziej przypominał hipnotyczne mruczenie, które rozlegało się w ciszy pokoju.

Powoli, z czasem i jakby z wahaniem psie drzenie ustępowało. Na ustach Neville pojawił się uśmiech, kiedy tak do niego mówił i mówił.

- Już dobrze, spokojnie. Zaopiekujemy się tobą.

Wkrótce pies leżał uspokojony, a jedynym jego ruchem był ciężki oddech. Neville zaczął klepać psa po głowie, głaskał go po całym ciele, a prawą ręką klepał kojącymi ruchami.

- *Dobry piesek* - powiedział cicho - dobry pies - zaopiekuję się teraz tobą. Nikt cię już nie skrzywdzi, rozumiesz, mały, prawda? Oczywiście, że rozumiesz. Oczywiście. Jesteś moim psiakiem, prawda?

Ostrożnie usiadł na podłodze, na chłodnym linoleum, ciągle poklepując psa.

- Dobry pies, *dobry* piesek.

Jego głos był pełen spokoju, brzmiał cicho, przepelniony rezygnacją.

Po około godzinie podniósł psa, który znów zaczął się rzucać i skomleć, ale gdy Neville zaczął do niego mówić, uspokoił się.

Siedział tak na łóżku, trzymając owiniętego w koc psa na swoich kolanach. Trwało to całe godziny, klepał go, głaskał, mówił do niego.

Zwierzę leżało nieruchomo na jego kolanach, oddychał coraz ciszej.

Okolo jedenastej tego samego wieczora Neville powoli odkrył brzeg koca, odsłaniając psią głowę. Pies z początku usiłował się schować i odsuwał od jego dłoni, trochę gryząc. Ale znów mówił do psa cichym głosem i już po chwili jego dłoń swobodnie spoczywała na ciepłej psiej szyi, poruszał delikatnie palcami, skrobał i pieścił go.

Spoglądając na psa uśmiechnął się ze wzruszeniem.

- Już wkrótce wydobrzejesz - szeptał - naprawdę, już niedługo.

Pies popatrzył w górę na swego pana przyćmionym, chorym wzrokiem, z jego rozchylonego pyska wysunął się szorstki, wilgotny język, który zaczął lizać dłoń Neville'a.

Coś w nim pękło. Siedział w ciszy, a po jego policzkach spływały łzy.

Po tygodniu pies nie żył.

Rozdział 14

Nie urządził potem pijaństwa. Wręcz przeciwnie. Zorientował się, że faktycznie pił mniej. Coś się zmieniło. Próbując zanalizować fakty, doszedł do wniosku, że ostatnio alkohol zaprowadził go już na samo dno frustracji i rozpacz. Teraz jedynym wyjściem był ruch w górę, jeśli naturalnie nie chciał pogrzebać się żywcem.

Po kilku tygodniach budowania wielkiej nadziei związanej z odnalezionym psem powoli zaczynał rozumieć, że w jego sytuacji silna nadzieja na cokolwiek nie jest i nigdy nie była żadnym rozwiązaniem.

Ucieczka w niekontrolowane marzenia nie mogła być wybawieniem z monotonnego świata horroru. Zdołał nawet przyzwycząić się do przerażającej rzeczywistości wokół siebie, ale największą przeszkodą była monotonia. Uświadomił to sobie teraz, dopiero po pewnym czasie. Ta wiedza była dla niego źródłem pewnego uspokojenia, dawała mu poczucie znajomości wszystkich kart na stole, przemyślenia sytuacji i świadomego wyboru sposobu gry.

Grzebanie zwierzęcia nie było taką udręką, jak się tego spodziewał.

W pewnym sensie stało się to dla niego pogrzebem wszystkich złudnych nadziei, fałszywych źródeł uniesień. Od tamtego dnia uczył się akceptacji takiej rzeczywistości, w której przyszło mu żyć, bez żadnych bohaterских czynów, które mogły by go stamtąd wydostać, bez daremnego bicia głową w mur.

Dlatego, z uczuciem pewnej rezygnacji, powrócił do pracy.

Zdarzyło się to rok wcześniej, kilka dni po tym, jak kolejny raz odprowadził Virginie na miejsce jej tym razem już ostatecznego spoczynku.

Pewnego późnego popołudnia z uczuciem wyczerpania i całkowitego opuszczenia szedł ulicą, jego ręce bezsilnie wisały u tułowia, powłóczył nogami w rytmie, który dyktowała mu rozpacz. Na twarzy miał

wypisaną dręczącą beznadziejną udrękę.

Całymi godzinami włóczył się po ulicach, nie wiedząc ani nie dbając o to, gdzie szedł. Wiedział jedno - nie może wrócić do pustki, jaka panowała w domu, nie może patrzeć na rzeczy, których razem dotykali, trzymali, które znali.

Nie mógł patrzeć na puste łóżko Kathy, na jej rzeczy, które bezużytecznie wisiły w zaciszu szafy, nie mógł znieść widoku łóżka, w którym spali z Virginią, widoku jej ubrań, jej biżuterii, stojących na biurku perfum. W ogóle nie mógł zbliżyć się do domu.

Kręcił się więc wokół, spacerował, nie wiedząc, gdzie jest, gdy obok niego zaczęli przechodzić jacyś ludzie; ujął go za rękę jakiś mężczyzna, którego oddech o woni czosnku owionął jego twarz.

- Chodź, bracie, chodź - powiedział do Neville'a chrapliwym głosem, zgrzytającym jak obracające się żarna. Zobaczył, jak jego poruszające się gardło przypomina wilgotną, indyczą skórę, dostrzegł na jego policzkach czerwone plamy, w oczach gorączkę, jego wymięty, czarny, przybrudzony już garnitur.

- Chodź i bądź zbawiony, bracie, *zbawiony!*

Robert Neville patrzył na niego szeroko otwartymi oczyma, nie rozumiejąc niczego. Tamten ciągnął go, jego kościste palce trzymały Neville'a. za rękę.

- Nigdy nie jest za późno, bracie - powiedział - zbawienie staje się udziałem tego, któ...

Jego ostatnie słowa zagłuszył narastający szum, dochodzący z ogromnego namiotu, do którego się zbliżali. Miał wrażenie, że to morze zamknięte pod namiotem burzy się, szukając ujścia. Robert Neville starał

się uwolnić rękę.

- Nie mam na to ochoty.

Mężczyzna nie usłyszał. Ciągnął dalej Neville'a i obaj zbliżyli się do szumiącego wodospadu płaczu i tupania. Jego przewodnik nie chciał go puścić. Robert Neville miał odczucie, jakby wciągała ich fala odpływu.

- Ale ja nie...

W tym momencie namiot wchłonął go i porwał falą krzyków, tupania, klaskania. Instynktownie cofnął się, słysząc bicie swego serca.

Otaczało go teraz morze ludzi, było ich setki, przesuwali się wokół jak wszechogarniająca fala. Klaszcząc, wykrzykiwali przy tym słowa, których Robert Neville nie mógł zrozumieć.

Potem hałas przycichł, wśród trzasku i pisku dało się słyszeć głos, który wybrzmiewał przez głośniki i jak miecz Sądu Ostatecznego przebijał

panującą wewnątrz namiotu poświatę.

- Czyż chcecie obawiać się Świętego Krzyża Pańskiego? Czy patrząc w lustro, chcecie nie widzieć swojego oblicza, które dał wam Wszechmogący Bóg? Czyż chcecie wpełzać z grobów jak potwory z głębi piekielnych?

Głos ten pulsował jak szorstki nakaz, który do czegoś przynaglał.

- Czy chcecie zamieniać się w czarne, nieczyste zwierzę? Czy chcecie splamić niebo wieczorne skrzydłem nietoperza z piekła rodem? Pytam was, czy chcecie zmieniać się w istoty skazane na potępienie wieczne?

- Nie - wybuchnęli ogarnięci przerażeniem ludzie. - Nie, *zbaw nas!*

Robert Neville cofnął się, wpadając na wymachujących rękami fanatycznych wiernych o białych szczękach, którzy krzykiem dopraszali się pomocy od pochylonych nad nimi niebios.

- Mówię wam! Mówię, słuchajcie Słowa Bożego! Oto zło rozprzestrzeni się z ludu na lud, a karzący miecz Pański przejdzie w owym dniu przez ziemię, od jednego jej krańca po drugi! Czyż to jest kłamstwo, czyż jest to *kłamstwo*?

- Nie, nie!

- *Powiadam* wam, że jeśli nie staniemy jak małe dzieci, nieskalani i czyści przed oczyma naszego Pana, jeśli nie powstaniemy i nie będziemy głosić chwały Wszechmogącego Boga i Jego jedyne Syna Jezusa Chrystusa, naszego Zbawiciela, jeśli nie upadniemy na kolana i nie będziemy błagać o przebaczenie naszych strasznych przewinień, jesteśmy zgubieni! Powtarzam to jeszcze raz, więc *słuchajcie* mnie! Będziemy potępieni, potępieni, potępieni!

- Amen.

- *Zbaw nas.*

Ludzie ogarnięci śmiertelnym przerażeniem zaczęli jęczeć, łapać się za głowę i wykrzykiwać jakieś przerażone „alleluja”.

Tłum rozpychał się wokół Neville'a, który potykał się zgubiony w kieracie oczekiwań, nadziei, w krzyżowym ogniu oszalałego kultu.

- Bóg ukarał nas za nasze straszne winy! Bóg spuścił na nas straszną moc Swojego wszechmocnego gniewu! Bóg karze nas kolejnym potopem!

Potop, zalewa nas fala piekielnych istot, która pochłania cały świat!

Otworzył groby, odpieczętował krypty, zbudził umarłych z czeluści ich grobów, skierował ich przeciw nam! Śmierć i piekło uwolniło umarłych, którzy byli w ich mocy. To jest słowo Boga! O, Boże, ukarałeś nas, o Boże, ujrzałeś obrzydliwość naszych grzechów. O, Boże, chłoszczesz nas mocą swojego gniewu!

Klaskali w dłonie, a odgłos ten przypominał nieregularny ogień z broni palnej. Ich ciała falowały jak lodygi na wietrze, rozbrzmiewały jęki już niemal umarłych i krzyki tych, którzy walczyli o życie. Robert Neville precyzyjnie przeszedł przez ten szalejący tłum z bladą twarzą i wyciągniętymi przed siebie rękoma, jak ślepiec, który szuka schronienia.

Słaby i drżący wy dostał się stamtąd chwiejnym krokiem. Z wnętrza namiotu dochodziły krzyki. Mimo wszystko zapadała noc.

Siedząc teraz w dużym pokoju, myślał o tamtym dniu. Na kolanach miał jakiś tekst psychologiczny, w dłoni ścisnął słabego drinka.

Pewien cytat dał początek całemu strumieniowi myśli, zaprowadził

go w przeszłość do tamtego wieczora przed kilkoma miesiącami, kiedy zaciągnięty został na ten obłąkańczy meeting ruchu odrodzonych.

„Stan ten, zwany zaślepieniem histerycznym, może być częściowy lub całkowity. Może w nim uczestniczyć jedna, kilka albo też wszystkie osoby.”

Przeczytał to w książce, którą miał przed sobą. Skłoniło go to do dalszych rozmyślań.

Starał się zmienić podejście. Przedtem uparcie wiązał wszystkie zjawiska łączące się z wampirami z zarazkiem. Jeśli czegoś nie dało się zamknąć w tych ramach, był skłonny szukać przyczyny w przesądzie.

Wprawdzie dopuszczał możliwość przyczyn natury psychologicznej, ale tak naprawdę nigdy w taką możliwość nie wierzył. Teraz odrzuciwszy w końcu dogmatyczne założenia, uwierzył.

Wiedział o tym, że nie było powodów, dla których pewne zjawiska mogły być spowodowane czynnikami psychologicznymi. Teraz zaś, kiedy tę możliwość przyjął do wiadomości, zarysowało się przed nim oczywiste rozwiązanie, którego jedynie ślepiec mógł nie zauważyć. „No cóż, zawsze byłem typem człowieka zaślepionego” - pomyślał rozbawiony.

„Trzeba wziąć pod uwagę szok, w jakim znajduje się ofiara epidemii” - przyszło mu do głowy.

Pod koniec epidemii brukowe dziennikarstwo rozprzestrzeniło szerzący się jak nowotwór strach przed wampirami po wszystkich zakątkach kraju. Sam przypomina sobie niezdrowe podniecenie, jakie powodowały pseudonaukowe artykuły nakręcające niesłychaną spiralę strachu, która obliczona była na sprzedaż większych nakładów gazet.

Było coś groteskowego w tych gorączkowych usiłowaniach sprzedaży jak największej ilości gazet w czasie, kiedy świat umierał.

Oczywiście nie robiły tego wszystkie redakcje. Ale te, które cały czas nie naruszyły zasad uczciwości i prawości, umarły taką samą śmiercią.

Jednak w tych ostatnich dniach brukowa prasa pozwalała sobie na bardzo wiele. Poza tym pojawiła się fala ruchów religijnych. W typowej desperacji tych, którzy szukają łatwych odpowiedzi i łatwych rozwiązań, ludzie zwrócili się ku prymitywnym formom kultu. W niczym im to nie pomagało. Nie tylko zakończyli życie równie szybko jak wszyscy inni, a ponadto umierali z przerażeniem w sercach, w śmiertelnym strachu, mrozącym krew w żyłach.

Wtedy Robert Neville pomyślał, że te okropne lęki mają swoje uzasadnienie. Odzyskiwać świadomość pod ciężką, ciepłą ziemią, wiedząc, że śmierć nie przynosi odpoczynku. Wygrzebywać się z ziemi, gdyż ciało gnane jest jakąś przerażającą potrzebą. Tego rodzaju wstrząs mógł odebrać resztki rozumu. Taki szok może wiele wyjaśnić.

Przede wszystkim krzyż.

Wstrząsem musiała być sytuacja, w której zmuszeni zostali do zaakceptowania strachu przed odtrąceniem przez najważniejszy symbol kultu religijnego. Tym bardziej narastał strach przed krzyżem. Broniąc się przed tym uczuciem, wampir mógł poczuć do siebie głęboką nienawiść, która sprawiała, że nie widział swego odrażającego obrazu. Wszystko to uczyniło ich samotnymi, zagubionymi niewolnikami nocy, obawiającymi się zbliżyć do kogokolwiek, prowadzącymi swą egzystencję w całkowitym odosobnieniu, często szukając pociechy i spokoju w ziemi swych rodzinnych okolic, walcząc o to, by doświadczyć poczucia wspólnoty z czymś, cokolwiek by to było.

A woda? To uznał za przesadę, wywodzący się z zawartego w historii Tama O'Shantera podania o tym, że czarownice nie mogły przejść przez strumień płynącej wody. Wampiry, czarownice, wszystkie te budzące lęk istoty były w pewien sposób spokrewnione. Legenda i przesada mogły się przenikać. I w istocie tak było.

A żyjące wampiry? W świetle ostatnich przemyśleń i to wydawało się proste.

W tym wszystkim uczestniczyli także szaleńcy, obłąkani. Cóż lepszego im pozostało, jak nie dołączyć do zgrai wampirów? Był

przekonany, że wszyscy, którzy przychodzili do jego domu w nocy, byli obłąkani. Uważali się za autentyczne wampiry, podczas gdy w rzeczywistości byli tylko nieszczęśliwymi szaleńcami. To wyjaśniałoby fakt, dlaczego nigdy nie wpadli na oczywisty pomysł podpalenia jego domu.

Nie byli zdolni do aż tak logicznego myślenia.

Pamięta, jak pewnej nocy jeden z nich wspiął się na szczyt latarni, która stała przed domem - i kiedy Robert Neville patrzył na niego przez wizjer, tamten skoczył, machając rękami jak szalony. Neville nie potrafił

wtedy takiego zachowania wyjaśnić, teraz jednak odpowiedź wydawała się oczywista. Zdawało mu się, że jest nietoperzem.

Neville siedział, spoglądając na wpół wypitego drinka, lekko się uśmiechając.

„No, właśnie, powoli, na pewno dowiemy się o nich wszystkiego” -

pomyślał. - „Dowiemy się, że nie są niezwyciężeni. O, wręcz przeciwnie, bardzo łatwo ich zniszczyć, gdyż potrzebują ściśle określonych warunków fizycznych dla podtrzymania swej nędznej egzystencji.” Postawił drinka na stole.

„Nie potrzebuję go” - pomyślał. Alkohol nie jest mi już więcej potrzebny do tego, żeby uciec albo

zapomnieć. Nie musi od niczego uciekać. Nie teraz.”

Pierwszy raz od śmierci psa uśmiechnął się i poczuł satysfakcję.

Owszem, musiał się jeszcze nauczyć wielu rzeczy, ale już nie tak wielu, jak kiedyś. W jakiś dziwny sposób życie stało się znośne.

„Oto przywdziewam szatę pustelnika” - pomyślał.

Z gramofonu dobiegała cicha, spokojna muzyka.

Na zewnątrz czekali oni.

CZEŚĆ TRZECIA CZERWIEC 1978

Rozdział 15

Był na zewnątrz, szukając Cortmana. Polowanie na Cortmana było dla niego pewnego rodzaju hobby, które stało się źródłem odprężenia, jednym z niewielu urozmaiceń, jakie mu pozostały. Od dnia, gdy porzucił

myśl o opuszczeniu okolicy, kiedy nie było żadnej pilnej pracy do zrobienia, zajął się poszukiwaniem. Zaglądał pod samochody, szukał w krzakach, pod domami, w kominach, szafach, pod łózkami, w lodówkach, wszędzie, gdzie mogło być wciśnięte średniej tuszy ciało mężczyzny.

Ben Cortman mógł schować się w każdym z tych miejsc.

Nieustannie zmieniał swoje kryjówki. Neville był przekonany, że Cortman wie o tym, że ma być pojmany. Przeczuwał też, że znajduje w tej ucieczce jakąś przyjemność i gdyby wyrażenie to nie zabrzmiało paradoksalnie, mógłby powiedzieć, że Cortman jest pełen sił witalnych. Czasem nawet zdawało mu się, że Cortman jest teraz szczęśliwszy niż kiedykolwiek przedtem.

Neville szedł wolnym krokiem wzdłuż alei Compton do jeszcze jednego domu, który chciał przeszukać. Mijało kolejne przedpołudnie, w którym nie wydarzyło się nic. Nie znalazł Cortmana, choć wiedział, że musi być gdzieś w okolicy. Był o tym przekonany, ponieważ po zapadnięciu zmroku Cortman był pierwszym, który zjawiał się przy jego domu. Pozostali byli prawie zawsze obcy. Zmieniali się bardzo szybko, bo rano znajdował ich w najbliższej okolicy i niszczył. Cortman jednak zawsze pozostawał nietknięty.

Idąc Neville znowu zastanawiał się, co robi, kiedy znajdzie Cortmana. Oczywiście sposób postępowania był zawsze ten sam -

natychmiastowe pozbycie się go. Ale było to rozwiązanie rutynowe, a w wypadku Cortmana nie byłoby aż takie proste. I nawet nie chodziło o to, że Cortman nosił w sobie jakąś część przeszłości. Przeszłość umarła i Neville już się z tym faktem pogodził.

Nie, to nie było nic z tych rzeczy. Neville doszedł do wniosku, że prawdopodobnie chodziło o to, że

sam nie chciał się pozbawiać rozrywki.

Wszyscy inni byli tacy bezbarwni, wręcz podobni do robotów. Ben przynajmniej miał jakąś fantazję. Nie wiadomo, z jakiego powodu jego umysł nie ucierpiał tak, jak stało się to w przypadku innych. Neville uważał, że Cortman stworzony był wprost po to, by być umarłym.

„To znaczy, właściwie nieumarłym” - pomyślał, a na jego twarzy pojawił się grymas.

Już nawet nie przychodziło mu do głowy, że Cortman istniał po to, by go zabić. Była to obawa, na którą można było machnąć ręką.

Jęknął przeciągle, przysiadając na werandzie kolejnego domu.

Potem ospałym ruchem sięgnął do kieszeni i wyjął z niej fajkę. Leniwie wepchnął kciukiem do lulkii rozmięzioną kępkę wiórów tytoniowych.

Już za chwilę kłęby dymu zaczęły się unosić powoli wokół jego głowy w rozgrzanym, nieruchomym powietrzu.

Neville był teraz znacznie potężniejszym i bardziej odprężonym.

Niezmiernie spokojny, pustelniczy tryb życia sprzyjał przybieraniu na wadze. Ważył teraz z górą sto kilo, miał pełną twarz i szerokie muskularne ciało, które okrywało luźne drelichowe ubranie. Już od dawna przestał się golić. Bardzo rzadko przycinał gęsty, jasny zarost, więc miał już teraz prawie siedmiocentymetrową brodę. Nosił długie, nieco przerzedzone włosy. Jego niebieskie oczy przepełniał spokój.

Oparł się o ceglany stopień, wolno wypuszczając kłęby dymu. W

oddali, po drugiej stronie placu było ciągle jeszcze zagłębienie, w którym pogrzebał Virginie. Stamtąd właśnie wstała. Świadomość ta jednak nie wywołała w jego oczach żadnego szklatego smutku. Powroty do przeszłości nie powodowały już cierpienia, stał się odporny na wspomnienia. Czas utracił już dla niego swoją wielowymiarowość.

Istniała tylko terażniejszość, która opierała się na codziennym wysiłku, aby przetrwać. Terażniejszość pozbawiona radości i rozpacz.

„W zasadzie jestem rośliną, która wegetuje” - myślał często. To mu właściwie odpowiadało.

Robert Neville, siedząc, wpatrywał się przez jakiś czas w biały punkt na placu, zanim uświadomił sobie, że ten punkt się porusza. Mrugnął

powiekami, a skóra na twarzy stała się napięta. Z jego gardła dobył się ledwo słyszalny dźwięk, który wyrażał powątpiewanie. Potem podniósł

lewą dłoń, aby przysłonić oczy przed ostrym światłem słonecznym.

Przygryzł nerwowo ustnik fajki.

Kobieta.

Nawet nie próbował złapać fajki, kiedy mu wypadła z otwierających się ze zdziwienia ust. Wstrzymując oddech, stał na werandzie jeszcze przez jakąś chwilę i gapił się przed siebie.

Przymknął oczy, potem znów je otworzył. Była tam nadal. Patrząc na nią, czuł coraz szybsze uderzenia serca.

Nie widziała go. Ze spuszczoną głową szła w oddali przez długi plac.

Widział, jak wiatr rozwiewa jej rudawe włosy, jej ręce były luźno opuszczone. Przełknął ślinę. Po upływie trzech lat był to dla niego tak niezwykły widok, że nie potrafił przyjąć do wiadomości tego, co widział.

Stał nieruchomo w cieniu domu i mrugając oczyma, wpatrywał się przed siebie.

Kobieta. Żywa. *W świetle dnia.*

Stał z na wpół otwartymi ustami i przyglądał się tej kobiecie. Kiedy podeszła bliżej, zobaczył ją lepiej. Była młoda - mogła mieć ze dwadzieścia kilka lat. Ubrana była w wymiętą, brudną sukienkę, która kiedyś była biała. Miała opaloną twarz i rude włosy. Wydało mu się, że w popołudniowej ciszy słyszał, jak gną się źdźbła trawy pod jej stopami.

„Zwariowałem” - przyszło mu do głowy. Byłoby to mniej szokujące niż dopuszczenie do siebie myśli, że ona istniała naprawdę. Mimo wszystko, w jakiś bliżej nieokreślony sposób przygotowywał się na to, że jest tylko zjawą. Było to bardzo możliwe. Człowiek, który umierał z pragnienia, widział nie istniejące jeziora. Czemuż więc on, spragniony czyjegoś towarzystwa, miał nie ujrzeć idącej w słońcu kobiety?

Ocknął się nagle. Nie, to nie było to. Chyba że jego zjawa wydawała także dźwięki, słyszał bowiem wyraźnie, jak stąpa po trawie. Teraz wiedział, że była faktem. Falowanie włosów, jej poruszające się ramiona.

Nadal wpatrzona była w ziemię. Kim była? Dokąd szła? Gdzie podziewała się dotąd?

Nie potrafił powiedzieć, jakie uczucie narastało w nim. Stało się to zbyt szybko, by mógł je analizować, przynaglał go jakiś instynkt, który przebił się przez mur powściągliwości wzniesiony przez upływający czas.

Jego lewa ręka podniosła się.

- Hej - krzyknął. Zeskoczył na chodnik.

- *Hej tam!*

Nagła chwila całkowitej ciszy. Jej głowa uniosła się gwałtownym ruchem, spojrzeli na siebie.

„Żywa” - pomyślał. - „Żyje!” Chciał jeszcze coś krzyknąć, ale nie mógł wydobyć żadnego dźwięku. Język stał się jakby drewniany, mózg przestał działać. „Żyje” - słowo to wybrzmiewało mu w głowie jak echo.

„Żywa, żywa, żywa...”

Nagłym ruchem obróciła się i jak szalona rzuciła się do biegu przez plac.

Neville stał tam jeszcze przez chwilę drżący, niepewny, co ma dalej robić. Potem wydawało mu się, że serce wyskoczy mu z piersi. Rzucił się w pogoń przez chodnik, skoczył na ulicę, rozległ się głuchy odgłos butów uderzających o asfalt.

- Poczekaj! - usłyszał swój krzyk.

Ona jednak nie czekała. Widział szybkie ruchy jej opalonych nóg, kiedy biegła po nierównym placu. Potem uświadomił sobie, że słowa jej nie zatrzymają. Przypomniawszy sobie, jakim szokiem był widok drugiej osoby dla niego samego. O ile większym wstrząsem musiał być dla niej jego nagły krzyk, który przerwał od dawna panującą ciszę i widok potęż-

nego, brodatego mężczyzny, który do niej machał.

Nogi zaprowadziły go na krawężnik po drugiej stronie ulicy, potem znalazł się już na zarośniętym trawą placu. Serce waliło mu w piersi. „Ona żyje!” Nie przestawał o tym myśleć. „Żyje! Kobieta, która żyje!” Nie była w stanie pokonać jego tempa. Prawie natychmiast ją dogonił. Spojrzała przez ramię z przerażeniem w oczach.

- Nie skrzywdzę cię! - krzyczał.

Nagle potknęła się i z całym impetem upadła na kolana. Znow odwróciła twarz, na której zobaczył grymas przerażenia.

- Nie zrobię ci nic złego! - krzyknął znowu.

W desperackim porywie rzuciła się naprzód, odzyskując tempo.

Panującą ciszę mąciły jedynie odgłosy ich butów, które miażdżyły wysoką trawę. Neville biegł, unosząc nogi tak, by długie źdźbła nie hamowały ruchów i tym samym odległość między nimi znacznie się zmniejszała, tym bardziej, że ocierająca się o trawę sukienka utrudniała jej bieg.

- Zatrzymaj się! - krzyknął znowu powodowany bardziej instynktem niż wiarą w skuteczność swoich słów.

Nie zatrzymała się. Biegła coraz szybciej. Neville zacisnąwszy zęby ruszył w pościg z nową siłą. Biegł za nią w linii prostej, podczas gdy ona kluczyła poprzez trawę, powiewając pękiem rozwianych, jasnorudych włosów.

Był już tak blisko, że słyszał jej ciężki oddech. Nie chciał jej przestraszyć, ale też nie mógł się teraz zatrzymać. W tej chwili cały świat przestał dla niego istnieć - pozostała tylko ona. Musiał ją złapać.

Galopował na swoich długich, mocnych nogach, uderzające o ziemię buty wydawały głuchy odgłos.

Przed nimi odsłonił się kolejny kawałek placu, biegli, oddychając ciężko. Jeszcze raz odwróciła głowę, by zobaczyć, czy ją dogania. Sam nie zdawał sobie sprawy z tego, jak odstrasząco mógł wyglądać - prawie sto dziewięćdziesiąt wzrostu, potężny, brodaty mężczyzna o zawziętym spojrzeniu.

Wyciągnąwszy rękę, złapał jej prawe ramię.

Młoda kobieta wrzasnęła bez tchu i chcąc się wyrwać, potknęła się.

Tracąc równowagę, upadła, uderzając biodrem o kamienisty grunt.

Natychmiast Neville był tam, by pomóc jej wstać. Cofnęła się po ziemi, próbując się podnieść i uciec, ale pośliznąwszy się, upadła znowu, tym razem przewróciła się na plecy. Jej spódnica uniosła się, odsłaniając kolana. Poderwała się jeszcze prawie bez tchu, wydając płaczliwy dźwięk, w jej ciemnych oczach było przerażenie.

- Wstań - powiedział łapiąc oddech i wyciągnął rękę.

Krzyknąwszy słabym głosem odepchnęła ją nagłym ruchem i z trudem usiłowała wstać. Złapał ją za rękę, a jej wolna dłoń wyciągnięta w kierunku jego twarzy ostrymi paznokciami zadrapała mu czoło i prawą skroń. Jęknąwszy, cofnął rękę, ona zaś - uwolniwszy się - zaczęła biec znowu.

Neville skoczył za nią i ujął ją za ramiona.

- Czemu się bo...

Nie skończył. Poczul na twarzy piekące uderzenie jej dłoni. Potem były odgłosy szamotania, ciężkich oddechów, ich stopy kopały i ślizgały się po ziemi gniotąc gęstą trawę.

- *Przestań* wreszcie! - krzyknął, mimo to zmagala się z nim nadal.

Odskoczyła w tył, a jego napięte palce oderwały kawałek sukienki.

Puścił ją a rozerwany materiał opadł na jej biodra. Zobaczył jej opalone 3 ramię i biały biustonosz okrywający lewą pierś.

Znowu chciała go podrapać, ale ujął jej dłoń żelaznym uściskiem.

Kopnęła go prawym kolaniem tak, że cios przez skórę boleśnie dotknął kości.

- Cholera!

Warknąwszy z wściekłości uderzył ją prawą dłońią w twarz.

Zatoczyła się w tył, po czym spojrzała na niego mętym wzrokiem. Nagle wybuchnęła bezradnym płaczem. Upadła na kolana wprost przed nim, zakrywając rękami głowę tak, jakby obawiała się dalszych ciosów.

Neville stał, dysząc i spoglądał na jej skurczoną sylwetkę. Zmrużył oczy, potem głęboko zaczerpnął powietrza.

- Wstań - powiedział - nie *zrobię* ci nic złego.

Nie podnosiła głowy. Zmieszany spoglądał na nią w dół. Nie wiedział, co powiedzieć.

- Powiedziałem, że cię nie skrzywdzę - powtórzył.

Spojrzała w górę. Wydawało się, że znów przestraszyła się jego twarzy, ponieważ natychmiast odwróciła głowę. Była cała skulona, kiedy pełna obaw patrzyła na niego.

- Czego się boisz? - spytał.

Nie zdawał sobie sprawy z tego, że jego głos pozbawiony był ciepła.

Brzmiał szorstko i sucho, mówił do niej ktoś, kto dawno utracił wszelki kontakt z człowieczeństwem.

Zrobił krok w jej kierunku, a ona znów cofnęła się z nagłym westchnieniem. Wyciągnął rękę.

- No - powiedział - wstań.

Podniosła się powoli bez jego pomocy. Natychmiast, kiedy zauważyła swoją odsłoniętą pierś, podniosła rozerwany kawałek sukienki.

Stali tak, oddychając ciężko i mierząc się wzrokiem. Teraz, gdy minął pierwszy wstrząs, Neville nie wiedział, co powiedzieć. Marzył przez lata o tej chwili. W marzeniach jednak wyglądało to inaczej.

- Jak... jak masz na imię? - spytał.

Milczała. Jej oczy wpatrzone w niego, wargi drżące.

- No? - zaczął mocnym głosem, aż drgnęła.

- R...Ruth - jej głos się załamał.

Dreszcz wstrząsnął ciałem Neville'a. Wydawało mu się, że wszystko rozplywa się w nim na dźwięk jej słów. Wszystkie pytania zniknęły. Czuł

w piersi łomotanie serca. Miał ochotę się rozpłakać.

Niemal podświadomie wyciągnął rękę. Jej ramię zdrząło pod dotknięciem jego dłoni.

- Ruth - powiedział martwym głosem.

Kiedy wpatrywał się w nią, wzruszenie ścisnęło mu gardło.

- Ruth - powiedział znowu.

Stali tak obydwój, mężczyzna i kobieta na rozległym placu skąpanym w upale.

Rozdział 16

Leżała nieruchomo na jego łóżku, spała. Było już po czwartej po południu. Przynajmniej ze dwadzieścia razy zakradał się do sypialni, żeby zobaczyć, czy już wstała. Siedział teraz w kuchni i popijając kawę, martwił

się.

„A co będzie, jeśli ona *jest* zarażona?” - kłócił się sam ze sobą.

Zaczął się tym martwić przed kilkoma godzinami, kiedy Ruth zasnęła.

Teraz już nie mógł wyzbyć się obaw. Nie pomagały żadne racjonalne argumenty: „No dobrze, chodziła w świetle słonecznym, była nawet opalona. Ale pies też chodził w ciągu dnia.”

Zniecierpliwionym ruchem palce Neville'a stukały o blat stołu.

Prostota i oczywistość całego zdarzenia ustępowały, kolory jego marzenia wyblakły, wszystko zmieniło się w jakąś niejasną zawilść, która napawała niepokojem. Nie było w ich spotkaniu cudownego uścisku, nikt nie wypowiedział żadnych magicznych słów. Nie wydobył od niej niczego, prócz tego, jak ma na imię. Stoczył walkę, by zabrać ją do domu. Jeszcze trudniej było nakłonić ją, by weszła do środka. Krzyczała, błagając go, aby jej nie zabijał. Niezależnie od tego, co jej mówił, nie przestawała krzyczeć i błagać. Filmy rodem z hollywoodzkiej fabryki snów stworzyły w jego wyobraźni obraz zgoła inny. Wchodzą w próg domu objęci, z roziskrzonymi oczyma. Rzeczywistość wyglądała tak, że musiał ciągnąć ją siłą, nakłaniać pochlebstwami, napominać, kłócić się, kiedy stawiała mu opór. Samo wejście do domu również było mniej romantyczne. Musiał ją wciągać na siłę.

Już wewnątrz domu była nie mniej przestraszona. Próbował

wszystkiego, by stworzyć atmosferę przyjaznego schronienia, ale ona, drżąc w przestraszu, przypadła do podłogi w rogu pokoju, przypominając tym samym zachowanie psa. Nie jadła ani nie piła niczego, co jej dawał.

W końcu zmuszony był zamknąć ją w sypialni. Zasnęła.

Westchnął zmęczony, dotykając palcami uszka filizanki.

„Przez te wszystkie lata marzyłem, by mieć w życiu towarzysza” -

pomyślał - „a teraz, kiedy ją spotykam, z miejsca jej nie ufam, traktuję ją grubiańsko, jestem niecierpliwy.”

Nic więcej już właściwie nie mógł zrobić. Już zbyt dawno temu pogodził się z myślą, że jest jedyną zdrową osobą, która przetrwała epidemię. „To przecież nie ma znaczenia, że ona wygląda na zdrową.” Widział wielu z nich, pogrążonych w śpiączce, którzy wyglądali na zdrowych tak, jak ona. Nie byli zdrowi i dobrze o tym wiedział. To, że chodziła w świetle dziennym nie wystarczyło, by przeważyć szalę jego nieufności. Zbyt długo wątpił. Nieugięta była jego koncepcja spo-

łeczeństwa. Niemal niemożliwością było to, aby uwierzył, że przetrwali jeszcze ludzie tacy jak on. Kiedy minął pierwszy szok, całe lata samotnej egzystencji utwierdziły go w tym dogmacie.

Westchnąwszy ciężko podniósł się i poszedł do sypialni. Leżała tam ciągle w tej samej pozycji. „A może” - pomyślał - „znowu pogrążyła się w śpiączce.”

Stał tak nad łóżkiem, patrząc na nią z góry. Ruth. Tak wiele było rzeczy, których chciał się o niej dowiedzieć. Jednocześnie obawiał się tej wiedzy. Jeśli bowiem nie różniła się niczym od innych, pozostawało mu tylko jedno, wiadome wyjście. A w tym przypadku lepiej było jak najmniej wiedzieć o ludziach, których należało zabić.

Jego opuszczone po obydwu stronach tułowia ręce zaciskały się nerwowo, a błękitne oczy wpatrywały się tępym wzrokiem w jej postać. „A jeśli ona jest jakimś wyjątkiem? Co, jeśli tylko na chwilę wyrwała się ze śpiączki i wyszła na zewnątrz?” Wydawało się to prawdopodobne. Ale jednocześnie światło dzienne było jedynym czynnikiem, którego - zgodnie z jego dotychczasową wiedzą - nie wytrzymał zarazek. Czemu zatem to nie wystarczyło, aby go przekonać, że ona jest zdrowa?

No cóż, był tylko jeden sposób, aby się o tym przekonać.

Schyliwszy się, położył dłoń na jej ramieniu.

- Obudź się - powiedział.

Nie poruszyła się. Zacisnął usta, przesuwał dłoń po jej miękkim ramieniu.

Potem zauważył na jej szyi cienki, złoty łańcuszek. Sięgnął po niego szorstkimi palcami, ściągając go z materiału sukienki, w którego fałdach się schował.

Oglądał zawieszony na łańcuszku niewielki krzyżyk, kiedy obudziła się i natychmiast cofnęła się w poduszkę. „To nie jest śpiączka” - to wszystko, co przyszło mu do głowy.

- Co r - robisz? - spytała słabym głosem.

Kiedy mówiła, tym trudniej było jej nie ufać. Głos drugiego człowieka brzmiał dla niego tak dziwnie, że nie mógł się oprzeć jego dziwnej sile, czego doświadczył po raz pierwszy w życiu.

- Ja... nie, nic - powiedział.

Zmieszany odsunął się w tył i oparł o ścianę. Patrzył na nią przez chwilę. Potem spytał.

- Skąd jesteś?

Leżała, patrząc na niego pustym wzrokiem.

- Pytałem, skąd jesteś - powtórzył.

Znów nic nie odpowiedziała. Odepchnął się od ściany z zaciętym wyrazem twarzy.

- Ing - Inglewood - powiedziała pośpiesznie.

Patrzył na nią przez chwilę chłodnym wzrokiem, potem znów oparł się o ścianę.

- Aha - powiedział. - Miesz... mieszkałaś sama?

- Byłam zamężna.

- Gdzie jest twój mąż?

Przełknęła ślinę.

- Nie żyje.

- Od jak dawna?

- Od tygodnia.

- Co zrobiłaś, kiedy umarł?

- Ucie... - przygryzła dolną wargę - uciekłam.

- Chcesz powiedzieć, że chodziłaś na zewnątrz przez cały czas?

- T - tak.

Patrzył na nią bez słowa. Potem gwałtownie obrócił się i poszedł do kuchni, stukając głośno butami o podłogę. Otworzywszy drzwi od szafy wyciągnął z niej całą garść ząbków czosnku. Położył je na talerz, posiekał

na kawałki, potem roztarł na miazgę. Jego nozdrza uderzył ostry zapach.

Kiedy wrócił do sypialni, opierała się na łokciu. Bez wahania podstawiał jej talerz niemal pod nos. Odwróciła głowę, wydając słaby krzyk.

- Co robisz? - spytała kaszłąc.

- Dlaczego odwracasz głowę?

- Proszę...

- Dlaczego się odwracasz?

- *To śmierdzi!* - jej głos załamał się w szloch - przestań, mdli mnie!

Podsunał talerz jeszcze bliżej do jej twarzy. Wydając zdławiony krzyk, cofnęła się i przywarła do ściany, podciągając nogi na łóżko.

- Przestań! *Proszę!* - błagała.

Odsunął talerz widząc, jak skręca się w konwulsjach.

- Jesteś jedną z nich. - powiedział do niej cichym, zjadliwym głosem.

Nagle poderwała się i minęła go, biegnąc do łazienki. Zatrzęsnęła drzwiami i usłyszał, jak targają nią okropne torsje.

Z zaciśniętymi ustami odstawił talerz na stolik, który stał przy łóżku.

Zarażona. To jednoznaczny objaw. Odkrył to już z górami rok temu, każdy organizm zarażony zarazkiem *vampiris* uczulony jest na czosnek.

Przy zetknięciu z czosnkiem pobudzone tkanki organizmu powodują uczulenie komórek, czego skutkiem z kolei jest patologiczna reakcja przy każdym kolejnym kontakcie z czosnkiem. Dlatego dożylnie podawanie czosnku dawało w ich przypadku tak mierne efekty. Działał na nich zapach czosnku.

Opadł ciężko na łóżko. Dziewczyna tak właśnie zareagowała.

Po chwili Robert Neville skrzywił się. Jeśli mówiła prawdę, musiała włożyć się na zewnątrz już przez tydzień. Po takim czasie musi być bez wątpienia słaba i wyczerpana, a w takich okolicznościach zapach czosnku mógł przyprawić ją o mdłości.

Zaciśnięte pięści uderzyły w materac. Nadal zatem nie był pewny. A obiektywnie rzecz biorąc, wiedział, że nie wolno mu wyciągać jednoznacznych wniosków na podstawie niewystarczających dowodów. Z

trudem przyszło mu się tego nauczyć, ale był przekonany, że tak właśnie jest, całkowicie w to wierzył.

Ciągle siedział na łóżku, kiedy otworzywszy zamek łazienkowych drzwi wyszła na zewnątrz. Stała przez chwilę w holu, patrząc na niego, potem weszła do dużego pokoju. Wstał z miejsca i poszedł za nią. Kiedy wchodził tam, siedziała na tapczanie.

- Jesteś zadowolony? - spytała.

- Mniejsza o to - powiedział - to jest twoja próba, nie chodzi tu o mnie.

Spojrzała na niego ze złością, jakby chciała coś powiedzieć. Wtedy jej ramiona opadły i potrząsnęła głową. Przez chwilę odczuł kłujący ból współczucia. Wyglądała tak bezradnie, trzymając wychudzone dłonie na brzuchu. Wydawało się, że przestała już ją martwić rozerwana sukienka.

Patrzył na niewielką wypukłość jej piersi. Była bardzo szczupła, prawie nie było w jej kształtach okrągłości. Nie była kobietą, którą zwykł sobie wyobrażać. „Mniejsza o to” - mówił do siebie - „to już nie ma znaczenia.” Usiadł na krześle naprzeciwko i patrzył na nią. Nie napotkał jej wzroku.

- Posłuchaj mnie - odezwał się po chwili - mam wszelkie powody, aby przypuszczać, że jesteś zarażona. Szczególnie teraz, kiedy widziałem twoją reakcję na czosnek.

Nic nie odpowiedziała.

- Nie masz nic do powiedzenia? - spytał.

Podniosła oczy.

- Myślisz, że jestem jedną z nich - powiedziała.

- Myślę, że możesz być.

- A to? - spytała unosząc krzyżyk.

- To nic nie znaczy - odparł.

- Ale przecież nie jestem pogrążona w śpiączce - powiedziała -

jestem całkowicie przytomna.

Nic nie odpowiedział. Nie potrafił temu zaprzeczyć, choć fakt ten nie rozproszył jego wątpliwości.

- W Inglewood byłem wiele razy - powiedział w końcu - dlaczego nie słyszałaś mojego samochodu?

- Inglewood to przecież duże miasto - powiedziała.

Popatrzył na nią uważnym wzrokiem, uderzając palcami o oparcie krzesła.

- Ch... chciałbym ci wierzyć - powiedział.

- Czyżby? - spytała. Wtedy złapał ją kolejny skurcz żołądka, pochyliła się, wciągając powietrze przez

zaciśnięte zęby.

Robert Neville siedział tam, dziwiąc się, że jej bardziej nie współczuje. Trudno było jednak o uczucia w jego wygasłym wnętrzu.

Zużył je już wszystkie, odczuwał pustkę, emocjonalną próżnię.

Po chwili podniosła wzrok. W jej oczach pojawiła się nieustępliwość.

- Zawsze miałam słaby żołądek - powiedziała - tydzień temu oglądałam śmierć męża. Rozerwany na kawałki. Na moich oczach.

Epidemia zabrała dwójkę moich dzieci. A przez ostatni tydzień tułam się po okolicy. Ukrywając się po nocach, żywiąc się jakimiś resztkami. Cała chora ze strachu, nie potrafię spać dłużej niż dwie godziny, kiedy się położę. I wtedy słyszę, że ktoś do mnie krzyczy. Ścigasz mnie przez plac, bijesz mnie, w końcu ciągniesz do swojego domu. Potem ogarniają mnie mdłości, bo podstawiasz mi pod nos talerz z rozgniecionym czosnkiem, a teraz mówisz, że jestem zarażona!

Leżące na jej brzuchu dłonie zacisnęły się.

- Czego ty się *spodziewasz*? - powiedziała ze złością.

Potem bezwiednie oparła się o poduszki tapczanu i zamknęła oczy.

Przez chwilę próbowała przytrzymać oderwany kawałek sukienki, ale kiedy znowu opadł, zaczęła szlochać nerwowo.

Siedząc na krześle, pochylił się do przodu. Mimo wątpliwości i podejrzeń odczuwał wyrzuty sumienia. Nic na to nie mógł poradzić.

Zapomniał o szlochającej dziewczynie. Zmieszany uniósł rękę i zaczął szarpać brodę.

- Czy... - zaczął. Przełknął ślinę. - Czy zgodzisz się, żebym wziął próbkę twojej krwi? - spytał. - Mógłbym...

Podniosła się nagle i chwiejnym krokiem zaczęła iść ku drzwiom.

Neville wstał także szybkim ruchem.

- Co robisz? - spytał.

Nic nie odpowiedziała. Jej palce nieporadnie usiłowały otworzyć zamek.

- Nie możesz wyjść tam - powiedział zdziwiony - za chwilę będzie ich tu pełno.

- Tutaj nie zostanę - zaczęła szlochać. - Co za różnica, jeśli mnie zabiją.

Położył dłonie na jej ramionach. Usiłowała się wyrwać.

- Zostaw mnie w spokoju! - krzyknęła. - Nie prosiłam się, żeby tu przyjść. Zaciągnąłeś mnie tutaj siłą. Zostaw mnie wreszcie w spokoju.

Stał obok niej zmieszany, nie wiedział, co powiedzieć.

- Nie możesz wyjść na zewnątrz - powtórzył.

Zaprowadził ją z powrotem do pokoju. Potem poszedł do barku, i przygotował jej drinka w niewielkiej szklance. „Mniejsza z tym, czy jest zarażona” - pomyślał. - „Mniejsza z tym.” Podał jej drinka. Potrząsnęła głową.

- Wypij to - powiedział. - Pomoże ci się uspokoić.

Popatrzyła na niego ze złością.

- Żebyś potem mógł podtykać mi pod nos czosnek?

Pokiwał głową.

- Wypij to - powiedział.

Po chwili wzięła szklankę i łyknęła trochę whisky. Alkohol przyprawił ją o kaszel. Odstawiwszy szklankę na oparcie tapczanu głęboko zaczerpnęła powietrza i wdrygnęła się.

- Dlaczego właściwie chcesz, żebym tu została? - spytała żałośnie.

Patrzył na nią, nie mając na myśli żadnej konkretnej odpowiedzi.

Potem powiedział. - Nawet jeśli jesteś zarażona, nie wypuszczę cię na zewnątrz. Nie wiem, co mogą z tobą zrobić.

Zamknęła oczy.

- Wszystko mi jedno - powiedziała.

Rozdział 17

- Nic z tego nie rozumiem - powiedział jej przy kolacji - minęły już trzy lata, a niektórzy z nich ciągle żyją. Wyczerpują się zapasy żywności. O ile wiem, w ciągu dnia nadal ogarnia ich śpiączka - potrząsnął głową - ale nie umierają, po trzech latach nie umierają. Co ich podtrzymuje?

Miała na sobie jego szlafrok. Około piątej złagodniała, wykapała się, zmieniła ubranie. Jej szczupłe ciało wydawało się zupełnie bezkształtne w załamaniach wielkiego, aksamitnego szlafroka.

Pożyczonym od niego grzebieniem uczesała włosy, wiążąc je kawałkiem sznurka w mysi ogonek z tyłu głowy.

Ruth przesuwiała palcami po filiżance z kawą.

- Widzieliśmy ich czasami - powiedziała - ale baliśmy się do nich zbliżyć. Wydawało nam się, że nie powinniśmy ich dotykać.

- Nie wiedzieliście, że to są ludzie, którzy powracają po swojej śmierci?

- Nie - potrząsnęła głową.

- A nie zastanawialiście się nigdy, co za ludzie atakowali w nocy wasz dom?

- Nigdy nie przyszło nam do głowy, że oni są... - Pokiwała wolno głową - trudno w coś podobnego uwierzyć.

- Domyślam się.

Spoglądał na nią, kiedy jedli w ciszy.

„Trudno było też uwierzyć, że po tylu latach istnieje ktoś normalny, kobieta. Trudno uwierzyć, że po tylu latach może pojawić się jakiś towarzysz niedoli.” Jego zdziwienie dotyczyło nie tyle jej osoby, co faktu, że coś tak niezwykłego może zdarzyć się w świecie, który był zgubiony.

- Opowiedz mi o nich coś więcej - powiedziała Ruth.

Wstał i wziął z kuchenki dzbanek z kawą. Nalał do jej filiżanki, potem do swojej, po czym odstawił dzbanek i usiadł.

- Jak się teraz czujesz? - spytał ją.

- Czuję się lepiej, dziękuję.

Pokiwał głową i nasypał cukru do swojej kawy. Mieszając, czuł na sobie jej wzrok.

„Co ona sobie myśli?” - zastanawiał się. Zaczerpnął głęboko powietrza, dziwiąc się, dlaczego nie ustępuje napięcie. Już przez chwilę wydawało mu się, że jej ufa. Teraz nie był tego pewien.

- Ciągle mi nie ufasz - powiedziała, jakby czytając w jego myślach.

Pospiesznie podniósł wzrok, potem wzruszył ramionami.

- To... to nie jest tak - powiedział.

- Oczywiście, że tak - powiedziała cichym głosem. Potem westchnęła. - No dobrze, jeśli musisz sprawdzić moją krew, zrób to.

Patrzył na nią podejrzliwym wzrokiem, zadając sobie w myślach pytanie. „Czy to jakaś sztuczka?” Popijając kawę starał się ukryć nerwowość. „Przecież to głupie” - pomyślał - „żeby być tak podejrzliwym.” Odstawił filiżankę.

- Dobrze - powiedział - bardzo dobrze.

Kiedy na nią popatrzył, wpatrywała się w kawę.

- Jeśli jesteś zarażona, zrobię wszystko, żeby cię wyleczyć.

Jej wzrok napotkał jego oczy.

- A jeśli nie będziesz w stanie mnie wyleczyć? - powiedziała.

- Poczekajmy, to się okaże - powiedział po chwili.

Obydwoje pili kawę. Potem spytał - Zrobimy to teraz?

- Proszę - powiedziała - może rano, nie... nie czuję się najlepiej.

- Dobrze - powiedział, kiwając głową - rano.

Posiłek dokończyli już w ciszy. Neville właściwie nie odczuwał satysfakcji z powodu tego, że pozwoliła mu sprawdzić swoją krew.

Obawiał się odkrycia w niej zarazków. Tymczasem mieli przed sobą wspólny wieczór i całą noc. Być może poczuje do niej sympatię. Wtedy rano będzie mógł...

Później, siedząc w dużym pokoju wpatrywali się w fototapetę, popijali porto i słuchali *Czwartej Symfonii* Szuberta.

- Nigdy bym w to nie uwierzyła - powiedziała jakby łagodniejszym tonem - nigdy nie myślałam, że będę jeszcze słuchać muzyki, popijając wino.

Rozejrzała się po pokoju.

- Włożyłeś w to wszystko niezły kawał roboty - powiedziała.

- A jak wyglądał wasz dom? - spytał.

- Nie tak jak ten - powiedziała. - Nie mieliśmy...

- No... - zastanowiła się przez chwilę. - Był obity deskami, używaliśmy też krzyży.

- Nie zawsze są skuteczne - powiedział cicho, patrząc na nią przez chwilę.

- Tak? - jej twarz była pozbawiona wyrazu.

- Dlaczego Żyd miałby obawiać się krzyża? - powiedział. - Czemu wampir, który za życia był Żydem, miałby powody, aby się krzyża obawiać? Większość ludzi odczuwało strach przed możliwością stania się wampirem. Większość wampirów zobaczywszy się w lustrze popada w histeryczną ślepotę. Jeśli jednak idzie o krzyż, no cóż, Żyd, Hindus ani Mahometanin nie ma powodu, aby bać się krzyża.

Siedząc i trzymając w ręku kieliszek z winem, patrzyła na niego pustym wzrokiem.

- To dlatego krzyż nie zawsze jest skuteczny - powiedział.

- Nie dajesz mi skończyć - powiedziała - używaliśmy też czosnku.

- Myślałem, że przyprawia cię o mdłości.

- Już wtedy byłam chora. Kiedyś ważyłam ponad pięćdziesiąt pięć kilo, teraz ważę czterdzieści pięć.

Pokiwał głową. Idąc do kuchni po kolejną butelkę wina pomyślał -

„Do tej pory przyzwyczaiłaby się do tego. Po trzech latach.” Ale z drugiej strony, może nie. Jaki sens ma teraz powątpiewanie?

Przecież zgodziła się, by sprawdzić jej krew. Cóż więcej mogłaby zrobić.

To jest jej problem” - pomyślał. „Zbyt długo żyłem sam. Nie dam wiary niczemu, jeśli nie zobaczę dowodów przez mikroskop. Dziedzictwo mego ojca znowu triumfuje. Jestem jego nieodrodnym synem, niech diabli wezmą jego butwiejące kości.

Stojąc w mroku kuchni, próbował tępych paznokciem podważyć papier, którym owinięta była szyjka butelki. Spoglądał do dużego pokoju, na Ruth.

Jego wzrok przesunął się po okrywającym ją szlafroku, zatrzymując się na chwilę na nieznacznej wypukłości jej piersi, potem powędrował

nizej, na śniade łydki, kostki, gładkie kolana. Miała młode, dziewczęce ciało. Z pewnością nie wyglądała na matkę dwojga dzieci.

Najdziwniejszą jednak rzeczą w tej całej sprawie było to, że nie odczuwał w stosunku do niej żadnego fizycznego pożądania. Gdyby pojawiła się dwa lata wcześniej, może nawet nieco mniej niż dwa lata, mogłoby dojść do gwałtu. Przeżywał wtedy potworne momenty, poddawał się im, doprowadzały go niemal do szału.

Później rozpoczął swoje eksperymenty. Papierosy przestały go ciągnąć, alkohol też stracił swoją siłę przyciągania. Rozmyślnie i z zadziwiającym sukcesem zatopił się w prowadzeniu badań.

Pożądanie w nim osłabło, dosłownie zniknęło. „Oto wybawienie pustelnika” - pomyślał. Musiało odejść prędzej czy później, w przeciwnym razie żaden normalny mężczyzna nie byłby w stanie wytrzymać życia bez seksu.

Na szczęście teraz nie odczuwał prawie nic, nie licząc może jakiegoś ledwo zauważalnego poruszenia gdzieś głęboko, pod twardą jak skała warstwą wstrzemięźliwości. Był nawet zadowolony z takiego stanu rzeczy.

Zwłaszcza, że nie miał żadnej pewności, czy Ruth była właśnie tą towarzyszką, na którą czekał. Nie był nawet pewny, czy będzie w stanie pomóc jej przeżyć jutrzejszy dzień. Czy będzie mógł ją wyleczyć?

Wyleczenie było mało prawdopodobne.

Wrócił do dużego pokoju z otwartą butelką. Uśmiechnęła się do niego przez moment, kiedy nalewał wino do jej kieliszka.

- Przyglądałam się z podziwem twojej fototapecie - powiedziała. -

Patrząc na nią prawie można uwierzyć, że się jest w lesie.

Mruknął.

- Dużo czasu musiało ci zabrać takie urządzenie domu -

powiedziała.

- Powinnaś wiedzieć - odparł - przecież robiliście to samo.

- Nie wyglądało to tak ładnie jak u ciebie - powiedziała - nasz dom był niewielki, a skład żywności był o połowę mniejszy od twojego.

- Pewnie skończyło się wam jedzenie - powiedział, uważnie się jej przyglądając.

- Mrożonki - odparła - przeżyliśmy bez konserw.

Pokiwał głową. „Logiczne” - musiał przyznać w duchu.

Nie lubił tego. Wiedział, że odzywała się jego intuicja, ale nie lubił

tego głosu.

- A co z wodą? - spytał potem.

Patrzyła na niego przez chwilę w ciszy.

- Nie wierzysz w ani jedno słowo z tego, co ci powiedziałam? -

spytała.

- Nie o to chodzi - powiedział. - Po prostu jestem ciekawy, jak sobie radziliście.

- Nie umiesz tego ukryć, słyhać to w twoim głosie - powiedziała. -

Zbyt długo byłeś sam, nie potrafisz już oszukiwać.

Chrząknął, gdy ogarnęło go niewygodne uczucie, że sobie z niego kpi.

„Przecież to bez sensu” - klócił się sam ze sobą. - „Ona jest po prostu kobietą. Najprawdopodobniej ma rację. Ja chyba faktycznie *jestem* niesympatycznym i gburowatym pustelnikiem. Ale jakie to miało znaczenie?”

- Opowiedz mi o twoim mężu - powiedział nagle.

Coś, jakby cień wspomnień przemknęło przez jej twarz. Podniosła do ust kieliszek z ciemnym winem.

- Nie teraz - powiedziała - proszę!

Oparł się wygodnie w tapczanie, nie umiając bliżej określić uczucia niezadowolenia, które nim owładnęło. Wszystko bowiem, co mówiła i co robiła, mogło być efektem jej przeżyć, ale mogło też być kłamstwem.

„Ale dlaczego miałaby kłamać?” - pytał sam siebie. Jutro rano przecież będzie mógł sprawdzić jej krew. Jakąż korzyść mogło przynieść jej kłamstwo, skoro jutro będzie znał prawdę i jest to kwestia jedynie kilku godzin?

- Wiesz - powiedział, chcąc nieco rozluźnić atmosferę -

zastanawiałem się, czy jeśli troje ludzi przetrwało epidemię, to może jest ich więcej?

- Myślisz, że to możliwe? - spytała.

- Dlaczego nie? Muszą być jeszcze inni, z takich czy innych powodów odporni na zarazek.

- Powiedz mi coś więcej o zarazku - powiedziała.

Zawahał się przez chwilę, potem odstawił kieliszek z winem.

„A co będzie, jeśli powiem jej wszystko? Jeśli po swojej śmierci powróci tu, wiedząc o wszystkim? Mając całą jego wiedzę?”

- Jest cała masa szczegółów - powiedział.

- Mówiłeś coś wcześniej o krzyżach - powiedziała - skąd wiesz, że to prawda?

- Pamiętasz, jak mówiłem ci o Benie Cortmanie? - powiedział

zadowolony z tego, że powtarza znany już jej fakt, że nie musi wtajemniczać jej w nowe rzeczy.

- Masz na myśli człowieka, którego...

Pokiwał głową.

- Podejź tu - powiedział, podnosząc się - zobaczysz go.

Stał za nią, kiedy patrzyła przez wizjer. Czując zapach jej skóry i włosów, odsunął się nieco w tył. „Czy to nie dziwne?” - pomyślał. - „Nie lubię tego zapachu. Zupełnie jak Guliwer, który powracał z krainy koni.

Drażni mnie zapach człowieka.”

- To ten, który jest przy lampie - powiedział.

Mruknęła cicho ze zrozumieniem. Potem powiedziała:

- Jest ich tak niewiele. Co się z nimi stało?

- Pozbyłem się większości z nich. Zawsze jednak jest kilku, którzy zdołali się gdzieś schować.

- Jakim cudem ta lampa świeci? - spytała. - Myślałam, że zniszczyli całą instalację elektryczną.

- Podłączyłem tę lampę do mojej prądnicy - powiedział. - Tak, żebym w świetle mógł na nich patrzeć.

- Nie zniszczyli żarówki?

- Zamocowałem na żarówce bardzo mocny klosz.

- Nie próbują wspinać się i niszczyć go?

- Na całej latarni rozwiesiłem czosnek.

- O wszystkim pomyślałeś - powiedziała, potrząsając głową.

Cofnąwszy się o krok w tył, patrzył na nią przez chwilę. „Jak ona może tak spokojnie na nich patrzeć” - pomyślał - ”zadawać pytania, wyrażać swoje uwagi, skoro nie dalej jak tydzień temu widziała, jak te właśnie istoty rozrywały na strzępy jej męża? Znowu wątpliwości” -

pomyślał. - „Czy to się nigdy nie skończy?”

Wiedział dobrze, że nie, dopóki wszystkiego się o niej nie dowie. W

tym momencie odwróciła się od wizjera.

- Muszę cię na chwilę przeprosić - powiedziała.

Patrzył, jak idzie do łazienki, usłyszał zamykający się za nią zamek.

Wrócił na kanapę. Wymuszony uśmiech igrał na jego twarzy. Spojrzał w głąb kieliszka z winem i z

roztargnieniem pogładził brodę. „Muszę cię na chwilę przeprosić”. Te słowa wydały mu się jakoś dziwnie zabawne, zabrzmiały jakoś archaicznie. Dobre obyczaje Kamyczka, który mizdrzy się zza grobu. Etykieta dla młodych wampirów.

Uśmiechu już nie było.

Co teraz? Co miała przynieść mu przyszłość? Czy za tydzień ona będzie tu jeszcze z nim, czy może pochłonie ją wieczny ogień?

Był przekonany, że jeśli jest zarażona, będzie musiał spróbować znaleźć jakieś lekarstwo, niezależnie od tego, czy okaże się skuteczne, czy nie. A co, jeśli nie jest zarażona? W pewnym sensie byłaby to jeszcze większa próba dla nerwów. W przeciwnym razie wszystko będzie po staremu, nie ulegną zmianie zasady, rozkład dnia. Jednak jeśli miałyby z nim zostać, muszą stworzyć jakiś układ, być może staliby się mężem i żoną, być może mieliby dzieci...

Tak, to rozwiązanie było bardziej przerażające.

Nagle zdał sobie sprawę z tego, że jest na powrót niepoprawnym rozdrażnionym kawalerem. Nie myślał już o swojej żonie, dziecku, o życiu, które minęło. Wystarczająca była teraźniejszość. Obawiał się teraz nowej konieczności poświęceń, przyjęcia na powrót odpowiedzialności.

Bał się znowu otworzyć serce, rozerwać łańcuchy, którymi było skute po to, by trzymać w zamknięciu uczucia. Obawiał się, że znowu pokocha.

Kiedy wyszła z łazienki, siedział tam nadal, zatopiony w swoich myślach. Nie zauważył tego, że z gramofonu słychać było już tylko cienki odgłos igły skrobiącej po płycie, która dawno skończyła grać.

Ruth podniosła płytę z gramofonu i przełożyła ją na drugą stronę.

Po raz trzeci dobiegły ich dźwięki tej samej symfonii.

- No więc, co mówiłeś o Cortmanie? - spytała, siadając.

- Cortmanie? - patrzył na nią pustym wzrokiem.

- Miałeś mi powiedzieć coś o nim i o krzyżu.

- No, kiedyś zaciągnąłem go tutaj i pokazałem mu krzyż.

- I co się stało?

„Czy mam już teraz się jej pozbyć? Czy nie zawracać sobie głowy badaniem krwi, zabić ją, a potem spalić jej ciało?” Poczul, jak ścisnęło go w gardle. Takie myśli były odrażającym świadectwem rzeczywistości, z którą się pogodził. Rzeczywistości, w której morderstwo przychodziło łatwiej niż nadzieja. „Nie” - pomyślał -

„aż tak nisko nie upadłem, jestem nadal człowiekiem, a nie mordercą.”

- Co się z tobą dzieje? - powiedziała nerwowym głosem.

- Co?

- Gapisz się na mnie.

- Przepraszam - powiedział chłodno. - Ja... po prostu myślę.

Nic już nie powiedziała. Piła wino, widział jej drżącą rękę, trzymającą kieliszek. Stłumił swoje uczucia. Nie chciał, żeby wiedziała, co czuje.

- Kiedy pokazałem mu krzyż - powiedział. - Zaczął mi się śmiać w twarz.

Kiwnęła głową.

- Ale kiedy podsunąłem mu przed oczy Torę, wywołało to reakcję, jakiej się spodziewałem.

- Co to było?

- Tora, księga jakiegoś prawa żydowskiego.

- I to wywołało... jakąś reakcję?

- Tak, był związany, ale kiedy zobaczył księgę Tory, rozerwał więzy i zaatakował mnie.

- I co się stało? - Wydawało się, że jej strach gdzieś zniknął.

- Uderzył mnie czymś w głowę, już nie pamiętam, co to było. Po takim ciosie niemal straciłem przytomność. Przydała mi się Tora, żeby wypchać go do drzwi i potem na zewnątrz.

- Mmm.

- Więc, jak widzisz, krzyż nie zawsze działa na wampiry, jak twierdzi legenda. Według mojej teorii legenda miała jakieś podstawy tam, gdzie powstała, czyli w Europie, która była w większości katolicka i gdzie krzyż był naturalnym sposobem obrony przed mocami ciemności.

- Nie mogłeś strzelać do Cortmana? - spytała.

- Skąd wiesz, że mam broń?

- Tak przypuszczam - powiedziała - my mieliśmy broń.

- W takim razie powinnaś też wiedzieć, że kule na nich wcale nie działają.

- Nie... nigdy nie byliśmy tego pewni - powiedziała, a potem szybko spytała - wiesz dlaczego tak jest? Dlaczego kule na nich nie działają?

Potrząsnął głową. - Nie, nie wiem - powiedział.

Siedzieli w ciszy, słuchając muzyki.

Wiedział dlaczego, ale znowu ogarnęły go wątpliwości, i nie chciał

jej powiedzieć.

Na podstawie swoich eksperymentów, które przeprowadzał na nieżywych wampirach stwierdził, że pod wpływem bakterii w ich ciele wydziela się kleista substancja, która zasklepia otwory po kulach natychmiast po strzale. Niemal natychmiast kule zostają przez nią otoczone, a skoro siłę witalną takiego organizmu stanowią będące w nim zarazki, nie można go zranić strzałami. Dlatego ich ciało mogło pochłonąć nieskończoną ilość kul, ponieważ owa kleista substancja stawiała opór kulom, które nie mogły zagłębić się na więcej niż kilka milimetrów. Tak więc strzelanie do wampirów porównać można było do rzucania kamieni w smołę.

Kiedy siedząc, przyglądał się jej, bawiła się fałdami szlafroka tak, że przez chwilę odsłoniło się jej brązowe udo. Widok ten nie był wcale pociągający, przeciwnie, zirytował go. „Typowa kobieta” - pomyślał. -

„Zrobiła to celowo.”

W miarę upływu wieczoru niemal czuł, że coraz bardziej się od niej oddala. W pewnym sensie nawet żałował, że w ogóle ją znalazł. Przez lata, które upłynęły, osiągnął pewien wewnętrzny spokój. Pogodził się z samotnością, przekonał się, że samotność nie jest aż tak zła. A teraz... to wszystko się kończy.

Aby wypełnić czymś pustkę tej chwili, sięgnął po fajkę i kapciuch z tytoniem. Potem napchał tytoniu do lulki i zapalił. Przez krótką chwilę zastanawiał się, czy ona nie ma nic przeciwko temu. Nie spytał.

Muzyka skończyła grać. Wstała. Patrzył na nią, kiedy przeglądała płyty. Wyglądała jak młoda dziewczyna, była tak szczupła. „Kim ona jest?” - pomyślał. - „Kim jest naprawdę?”

- Czy mogę to puścić? - spytała, trzymając w ręku album.

Nawet nie spojrział. - Tak, jeśli chcesz - powiedział. Usiadła, kiedy zaczął się *Drugi koncert fortepianowy* Rachmaninowa. Jej upodobania muzyczne nie są godne uwagi - pomyślał, patrząc na nią bez wyrazu.

- Opowiedz mi o sobie - powiedziała.

„Kolejne, typowe pytanie, jakie zadają kobiety” - pomyślał. Potem zwymyślał samego siebie za to, że nastawiony jest tak krytycznie. „Jaki sens mają wątpliwości, które tylko mnie irytują?”

- Nie ma co opowiadać - odparł.

Uśmiechała się znowu. „Czy śmiała się z niego?”

- Na śmierć mnie dziś po południu wystraszyłeś - powiedziała. - Ty ze swoją szczeciniastą brodą. I tymi dzikimi oczami.

Wypuścił z ust dym. „Dziki oczy? Przecież to absurdalne. Co ona chce osiągnąć? Czy chce przełamać lody swoją błyskotliwością?”

- Jaki ty jesteś pod tą brodą? - spytała.

Próbował się uśmiechnąć, ale nie udało mu się.

- Całkiem zwyczajny - powiedział.

- Ile masz lat, Robert?

Poczuł lekki skurcz w gardle. Po raz pierwszy wypowiedziała jego imię. Fakt, że po tak długim czasie kobieta wypowiedziała jego imię, wywołało w nim jakiś dziwny niepokój. „Nie nazywaj mnie w ten sposób”

- prawie do niej powiedział. Nie chciał zmniejszyć istniejącego między nimi dystansu. Jeśli miałyby się okazać, że jest zarażona i nie mógłby jej wyleczyć, niech pozostanie obcą osobą, którą po prostu od siebie odsunie.

Odwróciła głowę.

- Nie musisz ze mną rozmawiać, jeśli nie chcesz - powiedziała cichym głosem. - Nie będę ci zawracać głowy, jutro sobie pójdę.

Poczuł narastające napięcie.

- Ale... - zaczął.

- Nie mam zamiaru pchać się w twoje życie - powiedziała. - Nie musisz czuć się do niczego zobowiązany wobec mnie tylko dlatego...

dlatego, że jesteśmy jedynymi, którzy przetrwali.

Miał smutne oczy, kiedy na nią patrzył, wyczuwał w jej słowach jakiś cień poczucia winy. „Dlaczego mam jej nie ufać? - mówił sam do siebie - „jeśli jest zarażona, nigdy nie ujdzie z życiem. Czegóż można się tu obawiać?”

- Przepraszam - powiedział - byłem... *byłem* sam tak długi czas.

Nie podniosła wzroku.

- Jeżeli masz ochotę porozmawiać - powiedział - z przyjemnością powiem ci wszystko, co chcesz.

Po chwili wahania podniosła na niego wzrok. Jej oczy były nieobecne.

- Chciałabym wiedzieć coś o chorobie - powiedziała. - Zabrała moje dwie dziewczynki. Spowodowała śmierć mojego męża.

Popatrzył na nią i zaczął mówić.

- To jest zarazek - bakteria w kształcie pałeczki - powiedział - która wytwarza we krwi roztwór izotoniczny, krew przez to płynie wolniej niż u zdrowego człowieka. Bakteria pobudza wszystkie czynności życiowe organizmu, dostarcza energii i odżywia się krwią. Kiedy zabraknie krwi, wytwarza samozniszczalne bakteriofagi albo przekształca się w formę przetrwalnikową.

Jej twarz była bez wyrazu. Wtedy uświadomił sobie, że mogła nie zrozumieć tego, o czym mówił. Określenia, które teraz znał tak dobrze, mogły być dla niej całkiem obce.

- No cóż, większość z tych rzeczy nie jest tak ważnych. Przetrwalniki to owalne ciała, które zawierają wszystkie elementy bakterii w formie normalnej. Zarazek przekształca się w przetrwalnik, gdy nie ma dostępu do świeżej krwi. Następnie, kiedy organizm żywiciela rozpadnie się, zarazki w formie przetrwalnikowej przenoszone są drogą powietrzną, zanim natrafią na kolejnego żywiciela. Kiedy go znajdą, rozmnażają się i w ten sposób zarażony zostaje kolejny człowiek.

Pokiwała głową z niedowierzaniem.

- Bakteriofagi są nieożywionymi białkami, które tworzą się także wtedy, gdy nie mają dostępu do krwi. W przeciwieństwie do form przetrwalnikowych, w tym przypadku, odbiegający od normy metabolizm powoduje zniszczenie komórek.

Następnie powiedział jej o niewydolności systemu limfatycznego w usuwaniu zbędnych produktów, o czosnku, który jest w tym przypadku czynnikiem uczulającym i powoduje anafilaksję, czyli nadwrażliwość u różnych nosicieli zarazki.

- Dlaczego zatem my jesteśmy odporni? - spytała.

Patrzył na nią przez dłuższą chwilę, zwlekając z odpowiedzią.

Potem, wruszając ramionami, powiedział:

- Nie wiem, jak jest w twoim przypadku; jeśli chodzi o mnie, podczas wojny, kiedy byłem w Panamie, zostałem ukąszony przez nietoperza - wampira. Choć nie mogę tego udowodnić, moja teoria jest następująca. Nietoperz musiał wcześniej mieć kontakt z wampirem autentycznym i wtedy to dostały się do jego organizmu zarazki

„vampiris”. Skutkiem tego nietoperz szukał krwi ludzkiej, a nie zwierzęcej. Kiedy zarazek dostał się do mojego organizmu, musiał być z jakiegoś powodu osłabiony przez organizm nietoperza. Naturalnie, spowodował u mnie paskudną chorobę, ale uszedłem z życiem. W

konsekwencji mój organizm zdołał wypracować jakiś mechanizm odpornościowy. Taka jest moja

hipoteza. Nie znajduję żadnego innego wytłumaczenia.

- Ale... przecież to samo mogło przytrafić się także innym, którzy tam byli.

- Nie wiem - odparł cichym głosem - zabiłem tego nietoperza. -

Wzruszył ramionami. - Może ja byłem pierwszym człowiekiem, którego zaatakował.

Patrzyła na niego bez słowa. Jej dociekliwość sprawiała, że stawał

się niecierpliwy. Mówił dalej, choć wcale tego nie chciał. Pokrótce opowiedział jej o głównej przeszkodzie, jaka stała na drodze jego dociekań o wampirach.

- Na początku myślałem, że należało trafić żerdzią w serce -

powiedział. - Wierzyłem w to, co podaje legenda. Okazało się jednak, że tak nie jest. Wpychałem żerdzie we wszystkie części ich ciała i umierali.

Wywnioskowałem z tego, że chodzi tu o krwotok. Ale potem, któregoś dnia...

Powiedział jej o kobiecie, której ciało rozpadło się na jego oczach.

- Wiedziałem, że nie chodziło o krwotok. - Mówił dalej, odczuwając pewnego rodzaju satysfakcję z faktu przedstawiania swoich odkryć. - Nie wiedziałem, co mam robić. I wtedy, pewnego dnia przyszło mi do głowy...

- Co? - spytała.

- Wziąłem nieżywego wampira. Włożyłem jego ramię do sztucznie stworzonej próżni. Potem, wewnątrz próżni przebiłem ramię. Trysnęła krew - przerwał na chwilę. - To było wszystko.

Patrzyła na niego szeroko otwartymi oczyma.

- Nie rozumiesz? - powiedział.

- Mmm... nie - przyznała.

- Kiedy wpuściłem do środka powietrze, ręka rozpadła się -

powiedział.

Nadal wpatrywała się w niego.

- Widzisz - powiedział - zarazek może być pasożytem, ale nie musi.

Funkcjonuje, kiedy tlen jest dostępny, ale może także żyć bez tlenu. Jest przy tym pewna różnica. Będąc wewnątrz organizmu, żyje w symbiozie ze swoim żywicielem. Ciało wampira dostarcza zarazkowi pożywki w postaci krwi, a zarazek z kolei staje się dla wampira źródłem energii, aby ten

mógł postarać się o świeżą krew. Zarazek powoduje także wyrastanie kłów.

- Tak? - powiedziała.

- Kiedy dostaje się powietrze - ciągnął dalej - sytuacja natychmiast ulega zmianie. Zarazek staje się bakterią tlenową. Kończy się tym samym symbioza, zarazek staje się złośliwym pasożytem - tutaj przerwał. -

Zaczyna zjadać swojego żywiciela - dokończył.

- W takim razie żerdź... - zaczęła.

- Wpuszcza do wewnątrz organizmu powietrze. Oczywiście. Robi w ciebie otwór, wewnątrz zostaje otwarte tak, że kleista substancja nie może funkcjonować. Serce nie ma więc z tym nic wspólnego. Teraz tylko podcinam nadgarstki wystarczająco głęboko, by klej nie mógł działać -

uśmiechnął się lekko. - Kiedy pomyślę o całym zmarnowanym czasie, kiedy strugałem żerdzie!

Przytaknęła skinieniem głowy i zauważywszy w swojej dłoni kieliszek, odstawiła go.

- To dlatego ciało kobiety, o której ci wspomniałem, rozpadło się tak gwałtownie - powiedział. - Nie żyła już tak długo, że skoro tylko powietrze dostało się do środka, zarazek spowodował natychmiastowy rozpad.

Jej ciałem wstrząsnął dreszcz.

- To potworne - powiedziała.

Patrzył na nią zdziwiony. „Potworne? Czy to nie dziwne? Już przez lata nie myślałem o tym w ten sposób.” Słowo „potworny” stało się dla niego przeżytkiem. Nadmiar strachu wokół niego sprawił, że stał się czymś powszednim, wyświechtaną formułą. Dla Roberta Neville'a ta makabryczna sytuacja, w której żył, była jedynie czystym faktem. W jej określaniu nie używał żadnych przymiotników.

- A co... co z tymi, którzy byli jeszcze żywi? - spytała.

- No cóż, kiedy podetnie się im żyły, zarazek od razu staje się pasożytem. Ale w większości przypadków powodem ich śmierci jest po prostu krwotok.

- *Po prostu...*

Odwróciła się szybko i zacisnęła wargi w cienką linię.

- Co się stało - spytał.

- N... nic. Nic - powiedziała.

Uśmiechnął się. - Człowiek przyzwyczajają się do tych rzeczy -

powiedział. - Musi się przyzwyczaić.

Znów po jej ciele przebiegł dreszcz. Przełknęła ślinę.

- Nie sposób przestrzegać pewnych zasad w dżungli, w której żyję -

powiedział. - Wierz mi, to jedyne, co mogę zrobić. Lepsze to niż pozostawienie ich własnej śmierci z powodu zarazki, żeby następnie powrócili; byłoby to o wiele bardziej przerażające, czyż nie?

Zacisnęła dłonie.

- Ale sam powiedziałeś, że wielu z nich jeszcze żyje - rzuciła nerwowo. - Skąd twoja pewność, że nie będą żyli?

- Wiem, po prostu mam tę pewność - powiedział - znam zarazek, wiem, jak potrafi się rozmnażać. Nie ma znaczenia, czy ich organizm walczy z zarazką, tak czy inaczej ta walka jest przegrana.

Przygotowałem antybiotyki, wstrzykiwałem całe tuziny szczepionek. Nie działały, po prostu nie mogą być skuteczne, kiedy choroba jest już bardzo zaawansowana. Organizm nie może jednocześnie walczyć z zarazką i wytwarzać antyciał. To jest niemożliwe, wierz mi. To jest pułapka, z której nie ma wyjścia. Jeśli ja ich nie zabiję, prędzej czy później przejdą przez śmierć i powrócą, by mnie dopaść. Nie mam wyboru. Nie mam żadnego wyboru.

Zapanowała cisza, a jedynym dźwiękiem w pokoju było zgrzytanie igły gramofonowej po wewnętrznych rowkach płyty. Nie patrzyła na niego, jej pusty wzrok utkwiony był w podłogę.

„To dziwne” - myślał - „w jakiś mało określony sposób stałem się obrońcą tego, co wczoraj było koniecznością, z którą się pogodziłem.” W

ciągu minionych lat nawet nie dopuszczał do siebie możliwości, że może się mylić. Jej obecność przyniosła mu te dziwne, obce myśli.

- Czy ty rzeczywiście myślisz, że nie mam racji? - zapytał z niedowierzaniem w głosie.

Przygryzła dolną wargę.

- Ruth - powiedział.

- Nie do mnie należy wydanie osądu - odparła.

Rozdział 18

- Virge!

Ciemny kształt cofnął się do ściany, kiedy zachrypliły krzyk Roberta Neville'a rozdarł mroczną ciszę.

Gwałtownym ruchem podniósł się z tapczanu i pogrążonymi jeszcze w sennej mgle oczyma gapił się w ciemność pokoju, w jego piersi serce waliło jak dłonie maniaka uderzające o ścianę lochu.

Skoczył na równe nogi, pogrążony jeszcze w sennej mgle, nie mogący określić czasu ani miejsca, w którym się nagle znalazł.

- Virge? - powiedział znowu słabym, drżącym głosem

- Virge?

- To... to ja - ktoś niepewnym głosem powiedział w ciemności.

Na drżących nogach zrobił kilka kroków w kierunku cienkiego strumienia światła, który dostawał się do pokoju przez wizjer. Zmrużył

oczy pod wpływem światła.

Westchnęła ciężko, kiedy wyciągnąwszy rękę uchwycił jej ramię.

- R... Ruth - powiedziała przerażonym szeptem.

Stał w ciemności, kołysząc się powoli, jego oczy wpatrywały się w ciemną postać, która stała przed nim, niczego nie rozumiejąc.

- To ja, Ruth - powiedziała raz jeszcze, głośniej.

Przebudzenie nadeszło jak uderzenie strumienia wody.

Obezwładniający szok. To nie była Virge. Potrząsnął gwałtownie głową, zaczął przecierać drżącymi rękami oczy.

Potem stał tam, gapiąc się szeroko otwartymi oczyma, przytłoczony nagłą depresją.

- O - wymamrotał ledwo słyszalnym głosem. - O, ja...

Pozostał tam, gdzie stał, czując, że jego ciało kołysze się wolno w mroku w miarę, jak wracał do pełnej świadomości. Popatrzył w otwarty wizjer z odsłoniętą klapką, potem znowu na nią.

- Co ty tu robisz? - powiedział głosem zmienionym od snu.

- Nic - powiedziała nerwowo. - Nie mogłam spać.

Zamrugał oczyma w ostrym świetle lampy. Potem jego ręka opadła ze ściennego wyłącznika, odwrócił się. Ruth stała ciągle przy ścianie, jej ręce zaciśnięte były w pięści.

- Dlaczego jesteś w ubraniu? - spytał ze zdziwieniem w głosie.

Patrząc na niego, przełknęła ślinę. Jeszcze raz przetarł oczy i odsunął długie włosy ze skroni.

- Ja... ja tylko wyglądam - odparła.

- Dlaczego jesteś w ubraniu?

- Nie mogłam spać.

Stał i patrzył na nią, ciągle jeszcze rozkojarzony, czując, jak ustaje powoli przyspieszone bicie serca. Przez otwarty wizjer dochodziły do niego krzyki, słyszał, jak Cortman krzyczał:

- Wychodź, Neville!

Podszedł do wizjera, zatrzasnął drewniany kłapkę i odwrócił się do niej.

- Chcę wiedzieć, dlaczego jesteś w ubraniu - powiedział znowu.

- Ot tak, nie ma żadnego powodu - odparła.

- Chciałaś wyjść, kiedy spałem?

- Nie... ja...

- Chciałaś to zrobić?

Chwyliła ciężko powietrze, kiedy złapał jej rękę.

- Nie, nie - powiedziała szybko. - Jakże mogłabym wyjść, kiedy pełno ich na zewnątrz?

Stał, oddychając ciężko. Patrzył na jej przerażoną twarz. Poczul

skurcz w gardle na myśl o szoku, jakiego doznał przy przebudzeniu, myśląc, że to była Virginia.

Gwałtownie puścił jej rękę i odwrócił się. Myślał, że przeszłość już przeminęła. Jakże wiele czasu musi upłynąć, by przestała do niego powracać?

Milczała, kiedy nalewał sobie pełną szklankę whisky, potem pił

długimi łykami. „Virge, Virge” - myślał z żalnością - „ciągle jest ze mną.” Zamknął oczy i mocno zacisnął zęby.

- Czy tak miała na imię? - usłyszał głos Ruth.

Przez jego mięśnie przebiegł skurcz, zaraz potem rozluźnił się.

- Już w porządku - powiedział głuchym głosem. - Połóż się spać.

Odsunęła się nieco w tył.

- Przepraszam, nie chciałam...

W tej chwili zorientował się, że nie chce wcale, by poszła spać. Nie potrafił powiedzieć, dlaczego, po prostu nie chciał być sam.

- Myślałem, że jesteś moją żoną - usłyszał swój głos. - Obudziłem się i myślałem...

Potem nabrał pełne usta whisky i w chwilę potem zakrztusił się.

Ruth stała w cieniu i słuchała.

- Widzisz, ona wróciła - powiedział. - Pochowałem ją, a ona pewnej nocy wróciła. Wyglądała jak... jak ty. Zupełnie, jak cień. Nie żyła. Jednak wróciła. Chciałem zatrzymać ją ze sobą, ale nie była już tą samą osobą...

Widzisz, przyszła po to...

Siłą zatrzymał w gardle szloch, który cisnął się na zewnątrz.

- Moja własna żona - powiedział drżącym głosem - przyszła, żeby napić się mojej krwi!

Z trzaskiem postawił szklankę na blacie barku. Odwróciwszy się poszedł nerwowym krokiem do wizjera, potem wrócił do barku, zatrzymał się przed nim. Ruth nic nie powiedziała, stała milcząc w mroku, słuchała.

- Musiałem ją znowu odwieźć - powiedział. - Byłem zmuszony zrobić z nią to samo, co robiłem z innymi. Mojej własnej żonie - poczuł

drapanie w gardle. - Żerdź - powiedział z przerażeniem w głosie. -

Musiałem wbić żerdź w jej ciało. Była to jedyna rzecz, jaką mogłem zrobić, zgodnie z wiedzą, jaką wtedy miałem. Ja...

Nie był w stanie skończyć. Stał tak przez dłuższą chwilę, bezradny był wobec dreszczy, które nim targały, powieki miał mocno zaciśnięte.

Potem zaczął mówić znowu.

- Zrobiłem to prawie trzy lata temu. Ciągle o tym pamiętam, ciągle to jest przy mnie. Co mam zrobić? Co mogę zrobić? - Uderzył zaciśniętą pięścią w blat barku, gdy wspomnienia znów przemknęły przezeń bolesną udręką. - Niezależnie od tego, jak bardzo się starasz, nie można tego zapomnieć, nie można się do tego przyzwyczaić, nie sposób nigdy uciec od tego.

Drżącymi dłońmi odgarnął w tył włosy.

- Wiem, co czujesz, wiem. Nie... nie ufałem ci na początku. Byłem bezpieczny, zamknięty, jakby w muszli. Teraz... - potrząsnął głową powoli, jakby w poczuciu porażki - w jednej chwili to wszystko przepadło, spokój, poczucie bezpieczeństwa, moje przystosowanie - wszystko przepadło.

- Robert.

Jej głos też był zagubiony, łamał się.

- Za co zostaliśmy tak srogo ukarani? - powiedziała.

Wciągnęła z drzeniem powietrze.

- Nie wiem - powiedział gorzko. - Nie ma odpowiedzi, nie ma powodu. Po prostu tak jest.

Była teraz przy nim. Szybkim ruchem, bez wahania, nie cofając się, przytulił ją do siebie. Stali tak mocno objęci, dwoje ludzi zagubionych w bezkresnych ciemnościach nocy.

- Robert, Robert.

Jej dłonie przesuwały się po jego plecach, głaszcząc je. On obejmował ją mocnym uściskiem swoich ramion, oczy miał zamknięte, twarz przyciśniętą do jej włosów, które były miękkie i ciepłe.

Ich usta przez długi czas pozostawały stopione ze sobą, jej ramiona obejmowały w jakimś desperackim uścisku jego szyję.

Potem siedzieli razem w ciemności przytuleni do siebie tak, jakby całe istniejące na świecie ciepło ukryło się w ich ciałach. Dzielili to ciepło między sobą. Czuł, jak gwałtownymi ruchami unosiły się i opadały jej piersi, gdy przytulała się do niego, jej twarz przyciśnięta była do jego szyi.

Jego duże dłonie przesuwały się niezgrabnie po jej włosach, gładząc je, czując ich jedwabistość.

- Przepraszam, Ruth.

- Przepraszam?

- Za to, że byłem dla ciebie okrutny, nie ufałem ci.

Milczała, obejmując go mocno.

- Och, Robert, to takie niesprawiedliwe, takie niesprawiedliwe. To jest nie fair. Dlaczego my jeszcze żyjemy? Dlaczego nie umarliśmy wszyscy? Byłoby lepiej, gdybyśmy wszyscy umarli.

- Cicho, cichutko - powiedział, ogarniając ją uczuciem, które jak rwący, uwolniony strumień wylewało się z jego serca i umysłu - wszystko będzie dobrze.

Czuł jej ciało przy sobie, czuł jej drzenie na swoim ciele.

- Będzie dobrze, dobrze - powiedział.

- Ale jak to możliwe?

- *Będzie* dobrze - powiedział, choć wiedział doskonale, że sam w to nie wierzy, wiedział, że słowa

wymykają się bez udziału jego woli.

- Nie - powiedziała. - Nie.

- Będzie dobrze, Ruth.

Nie potrafił powiedzieć, jak długo siedzieli, tak mocno przytuleni do siebie. Zapomniał o wszystkim, stracił poczucie czasu i miejsca, byli tylko we dwoje, potrzebując się nawzajem, rozbitkowie, którzy przetrwali koszmar, odnalazłszy się siedzieli teraz, trzymając się w objęciach.

On jednak chciał coś dla niej zrobić, w jakiś sposób okazać jej pomoc.

- Chodź, sprawdzimy twoją krew - powiedział.

Jej ciało zeszywniało w jego ramionach.

- Nie, nie - powiedział szybko. - Nie masz się czego obawiać. Jestem pewny, że niczego nie znajdziemy. A nawet jeśli znajdziemy, wyleczę cię.

Przysięgam, że cię wyleczę, Ruth.

Patrzyła na niego w mroku, nie mówiąc ani słowa. Wstał, ciągnąc ją za sobą, cały drżał, był poruszony jak nigdy dotąd. Pragnął jej pomóc, wyleczyć ją.

- Zgódź się - powiedział. - Nie skrzywdzę cię, obiecuję, że cię nie skrzywdzę. Sprawdźmy to. Upewnijmy się. Będziemy mogli coś zrobić razem, wspólnie coś zaplanować. Uratuję cię, Ruth, na pewno uratuję albo sam zginę.

Była nadal napięta, broniła się.

- Chodź ze mną, Ruth.

Teraz, gdy prysnęła cała jego powściągliwość i przełamał wszystkie bariery, trząśnięty całym, nie panował nad sobą.

Zabrał ją do sypialni. Zobaczywszy w świetle lampy jej przerażenie, przytulił ją do siebie i zaczął gładzić włosy.

- Wszystko w porządku - powiedział. - Wszystko będzie dobrze, Ruth. Niezależnie od tego, co znajdziemy, będzie dobrze. Zrozum to, proszę.

Posadził ją na taborecie. Jej twarz była zupełnie bez wyrazu, całym jej ciałem wstrząsały dreszcze, kiedy dezynfekował igłę nad palnikiem Bunsena.

Potem schyliwszy się, pocałował ją w policzek.

- Już dobrze - powiedział czule. - Już dobrze.

Zamknęła oczy, kiedy wbił igłę. Wprost sam odczuwał ból w palcu, kiedy wyciskał i rozprowadzał na szkiełku jej krew.

- Już, już - powiedział, niecierpliwie przyciskając niewielki wacik do opuszka jej palca. Czuł, jak jego ciało drży i był wobec tego zupełnie bezradny. Niezależnie od tego, jak bardzo starał się opanować, nie był w stanie. Jego palce odmawiały mu posłuszeństwa, kiedy usiłował

przygotować preparat. Spoglądał cały czas na Ruth, uśmiechał się do niej, próbował w niej nie dostrzegać napięcia i strachu.

- Nie obawiaj się - powiedział - proszę, nie bój się. Wyleczę cię, jeśli w twojej krwi jest zarazek. Na pewno cię wyleczę, Ruth, na pewno.

Siedziała nie mówiąc nic, patrzyła na to, co robił, obojętnym wzrokiem. Jej leżące na kolanach dłonie poruszały się niespokojnie.

- A co zrobisz, jeżeli... jeżeli *jestem zarażona* - powiedziała po chwili.

- Jeszcze nie wiem - odparł - ale jest mnóstwo rzeczy, które można zrobić.

- Co na przykład?

- Na przykład szczepionki.

- Powiedziałaś, że szczepionki nie działają - powiedziała, a jej głos nieco zadrżał.

- Tak, ale... - przerwał, wkładając szkiełko pod mikroskop.

- Robert, co mógłbyś zrobić.

Odsunęła taboret, kiedy pochylał się nad mikroskopem.

- Nie patrz, Robert! - zaczęła go nagle prosić błagalnym tonem.

On jednak zobaczył.

Nie zauważył, kiedy wstrzymał oddech. Jego puste oczy napotkały jej wzrok.

- Ruth - powiedział zatrwożonym szeptem.

Drewniana żerdź rozbiła się w tym momencie o jego czoło.

Robert Neville poczuł w głowie eksplozję bólu, czuł, jak jedna noga odmówiła mu posłuszeństwa. Upadając przewrócił mikroskop. Prawym kolaniem uderzył o podłogę, oszołomiony i zdezorientowany, szeroko otwartymi oczyma popatrzył w górę na jej twarz, zniekształconą wyrazem przerażenia. Żerdź spadła na niego znowu. Zaczął krzyczeć z bólu. Upadł

na oba kolana, lecąc do przodu, oparł się obiema dłońmi, które uderzyły o podłogę. Gdzieś w oddali, sto kilometrów stamtąd usłyszał jej zdławiony szloch.

- Ruth - wymamrotał.

- Mówiłam ci, żebyś *nie patrzył* - wykrzyknęła.

Wyciągnął ręce, chcąc uchwycić ją za nogi, ale trzeci raz zadała mu cios żerdzią, tym razem w tył głowy.

- Ruth!

Jego ręce ogarnął bezwład, dłonie ześliznęły się po jej łydkach, zadrapując opalenizną jej skóry. Upadł na twarz, palce zacisnęły się kurczowo, a jego umysł wypełniła noc.

Rozdział 19

Kiedy otworzył oczy, w jego domu panowała zupełna cisza.

Leżał tak jeszcze przez chwilę, patrząc z zakłopotaniem na podłogę.

Potem jęknąwszy nagle podniósł się i usiadł. Wtedy poczuł w głowie ukłucia tysięcy igiełek, po czym osunął się znowu na chłodną podłogę, przyciskając ręce do czaszki, w której pulsował ból. Kiedy tak leżał, z jego gardła dobył się jakiś bliżej nieokreślony dźwięk.

Po kilku minutach powoli zaczął się podnosić, chwyciwszy się za krawędź ławy. Kiedy tak stał na chwiejnych nogach, z zamkniętymi oczyma, podłoga pod nim zakołysała się.

Po chwili, kuśtykając, zdołał przejść do łazienki. Obmył twarz strumieniem zimnej wody, potem usiadł na krawędzi wanny, przyciskając nasiąknięty zimną wodą ręcznik do czoła.

„Co się stało?” - mrugając oczyma, wpatrywał się w białe płytki na podłodze.

Wstał i wolnym krokiem poszedł do dużego pokoju. Nie było w nim nikogo. Drzwi wejściowe były na wpół otwarte, widać było przez nie szarość poranka. Odeszła.

Zaczął odzyskiwać pamięć. Z trudem, opierając się o ściany, przeszedł do sypialni.

Na ławie, obok przewróconego mikroskopu leżała kartka. Wziął ją odrętwiałymi palcami i podszedł do łóżka. Jęknąwszy opadł na łóżko i przysunął zapisaną kartkę przed oczy. Litery zafalowały, zaczęły się rozplýwać. Potrząsnął głową i zacisnął mocno powieki. Po chwili zaczął

czytać.

„Robercie,

teraz już wiesz. Wiesz, że cię szpiegowałam, wiesz, że prawie wszystko z tego, co ci powiedziałam,

było kłamstwem.

Piszę jednak ten list, bo chcę uratować ci życie, jeśli zdołam.

Kiedy dostałam zadanie szpiegowania ciebie, twoje życie było mi obojętne, ponieważ *miałam* męża. Miał na imię Robert. Zabiłeś go.

Teraz jednak sytuacja się zmieniła. Wiem, że położenie, w którym się znalazłeś, zmusiło cię do tego, podobnie jak my nie wybieraliśmy naszej sytuacji. *Jesteśmy* zarażeni. O tym już wiesz. Nie rozumiesz jednak tego, że będziemy żyli. Znaleźliśmy sposób, mamy zamiar zorganizować się w społeczeństwo, powoli, ale z pewnością do tego dojdziemy. Mamy zamiar także pozbyć się tych nieszczęśników, oszukanych przez śmierć. I, choć modłę się, żeby było inaczej, możemy także zdecydować, by pozbawić życia ciebie i takich, jak ty.”

„Takich, jak ja?” - pomyślał, niemal zrywając się na równe nogi.

Czytał jednak dalej.

„Postaram się jakoś ciebie uratować. Powiem im, że jesteś w tej chwili za bardzo uzbrojony, żeby ich ataki były skuteczne. Wykorzystaj czas, który ci daję, Robercie! Musisz uciekać ze swojego domu, schroń się w górach. Jeszcze w tej chwili jest nas zaledwie garstka. Jednak prędzej czy później będziemy już zbyt dobrze zorganizowani i żadne moje słowa nie powstrzymają pozostałych od tego, by cię zabić. Na Boga, Robert, uciekaj teraz, kiedy jeszcze można!

Wiem, że trudno ci w to wszystko uwierzyć. Możesz nie wierzyć w to, że przez krótki czas jesteśmy w stanie pozostawać przy życiu w świetle słonecznym. Trudno ci będzie uwierzyć w to, że opalenizna na mojej skórze to makijaż. Możesz nie uwierzyć w to, że już udało nam się żyć z zarazkiem we krwi.

Dlatego właśnie zostawiam ci jedną z moich pigułek.

Zażywałam je przez cały czas, kiedy tu byłam. Były schowane w pasie, który miałam na sobie. Jak sam się przekonasz, są mieszaniną wyciągu z krwi i jakiegoś leku. Sama nie wiem, co to dokładnie jest. Krew odżywia zarazek, lek z kolei zapobiega jego rozmnażaniu. Odkrycie i wytworzenie tego leku uchroniło nas od śmierci i pomoże nam odtworzyć społeczeństwo.

Uwierz mi, to wszystko prawda i uciekaj!

Proszę cię też o przebaczenie. Nie chciałam cię uderzyć, sam fakt, że to zrobiłam, mnie samą niemal pozbawił życia. Byłam jednak tak bardzo przerażona tym, co możesz zrobić, kiedy się dowiesz.

Przebacz mi, że tak wiele razy kłamałam. Ale, proszę, uwierz w jedno. Kiedy byliśmy w mroku tak blisko siebie, nie szpiegowałam cię, wtedy cię kochałam.

RUTH

Przeczytał list jeszcze raz. Potem ręce opadły mu bezwiednie i siedział tak, wpatrując się pustym

wzrokiem w podłogę. Nie mógł w to uwierzyć. Powoli potrząsał głową, starając się zrozumieć to, co się wydarzyło, ale za każdym razem umykało mu jakiekolwiek prawdopodobne rozstrzygnięcie.

Chwiejnym krokiem podszedł do ławy. Wziął małą bursztynową pigułkę i położywszy na otwartej dłoni powąchał ją, potem posmakował.

Poczuł, jak opuszcza go poczucie bezpieczeństwa, jakie wynikało z możliwości jego umysłu. Ramy, w których osadzone było jego życie, zaczynały się walić i to go przerażało.

Jakże mógł odeprzeć tyle dowodów? Pigułki, opalenizna schodząca z jej łydki, to, że chodziła w słońcu, jej reakcja na czosnek. Usiadł ciężko na taboret, patrząc na żerdź, która leżała na podłodze. Powoli, jakby zacinając się, jego umysł zaczął analizować minione wydarzenia.

Na początku, kiedy ją zobaczył, zaczęła przed nim uciekać. Czy to też było częścią fortelu? Nie, była przecież autentycznie przestraszona.

Musiał ją chyba przestraszyć jego krzyk i mimo tego, że spodziewała się kontaktu z nim, przypuszczalnie zapomniała o swoim zadaniu. Potem się uspokoiła, próbowała go przekonać, że jej reakcja na czosnek była spowodowana jedynie chorym żołądkiem. Potem zaczęła kłamać, uśmiechać się, udawała beznadziejne pogodzenie się z losem i wyciągnęła od niego wszystkie informacje, po które ją wysłali. Potem, kiedy chciała wyjść, uniemożliwił jej to Cortman i cała zgraja, która grasowała na zewnątrz. I wtedy ocknął się. Przecież obejmowali się, przecież...

Zaciśnięta aż do białości pięść gwałtownym ruchem uderzyła w ławę. „Kochałam cię”. „Kłamstwo, kłamstwo!” Jego palce zmięły kartkę z listem, odrzucił ją od siebie gestem pełnym gorczy.

Ogarniająca go złość rozpałała w jego głowie płomień bólu tak, że objął ją mocno dłońmi i jęknąwszy, zamknął oczy.

Potem uniósł głowę. Powoli przesuwając się na taborecie, podniósł

mikroskop i ustawił go z powrotem na jego podstawie.

Pozostała część listu nie była kłamstwem, wiedział o tym. Wiedział

nawet bez pigułki, bez słowa wyjaśnień, bez przypominania sobie, rozumiał, co się stało. Co więcej, był przekonany, że nawet Ruth i jej towarzysze najprawdopodobniej o tym nie wiedzą.

Długo spoglądał w okular. Tak, wiedział. Dopuszczenie do świadomości tego, co miał przed oczyma, zmieniło cały jego pogląd na rzeczywistość. Jednocześnie czuł się głupio, czuł, jak mało efektywna była jego praca, skoro nigdy tego nie przewidział! Tym bardziej, że czytał to zdanie ze sto razy, z tysiąc razy. Nigdy we właściwy sposób nie docenił tej informacji. Była tak krótka, a znaczyła tak wiele.

Bakterie mogą ulegać mutacji.

CZĘŚĆ CZWARTA STYCZEŃ 1979

Rozdział 20

Przybyli nocą. Przyjechali ciemnymi autami, przywożąc reflektory, pistolety, siekiery i piki. Wyłonili się z ciemności przy akompaniamencie silników samochodowych, ich reflektory zawieszane na długich, białych wysięgnikach omiatały snopami światła róg alei, sięgały ku ulicy Cimarron.

Robert Neville siedział przy wizjerze. Odłożył właśnie książkę i siedząc, spoglądał beczynn timer na zewnątrz, gdy nagle strumienie światła rozjaśniły wyblakłe twarze wampirów, powodując, że ich ciała zaczęły zwijać się, zapierało im dech, ich zwierzęce ślepią wpatrywały się w światła.

Neville odskoczył od wizjera, serce zaczęło w nim łomotać. Przez chwilę stał w mroku pokoju, drżąc cały, nie potrafił zdecydować, co ma dalej robić. Jego gardło ścisnęło się gwałtownie, potem przez dźwiękoszczelne ściany doleciał do niego ryk silników. Przyszły mu wtedy na myśl pistolety w jego biurku i półautomatyczna broń stojąca na ławie.

Pomyślał, że musi bronić domu.

Zacisnął dłonie tak, że paznokcie niemal wbiły mu się w dłonie. Nie, podjął już decyzję, dokładnie wszystko przemyślał w ciągu minionych miesięcy. Postanowił, że nie będzie walczyć.

Z uczuciem ucisku głęboko w żołądku wrócił do judasza i wyrztał na zewnątrz.

Ulica była areną przemocy i gwałtu w jasnym blasku reflektorów.

Rozległy się odgłosy butów biegających po chodniku. Jedne postacie atakowały drugie. Potem rozległ się strzał, którego odgłos odbił się głuchym echem, za chwilę dobiegły go kolejne strzały.

Dwóch mężczyzn - wampirów z hukiem powalonych zostało na ziemię. Czterech innych chwyciło ich za ramiona i uniosło ich ciała, podczas gdy dwóch kolejnych wbiło w piersi wampirów błyszczące w świetle ostrza pik. Twarz Neville'a drgnęła, kiedy noc napełniła się krzykiem. Czuł, że jego piersią targa ciężki oddech, kiedy patrzył na to wszystko przez wizjer.

Ubrane na czarno postacie dokładnie wiedziały, co należało robić.

Widać było około siedmiu wampirów; sześciu mężczyzn i jedną kobietę.

Przybysze otoczyli siódmkę i wyciągnawszy przed siebie przypominające cepy narzędzia zatopili głęboko w ich ciała ostre jak brzytwa końce swoich pik. Po chodniku poląła się krew, postacie wampirów znikwały jedna po drugiej. Neville czuł, jak ogarniają go dreszcze. „Czy to jest to nowe społeczeństwo?” - przemknęło mu przez myśl. Próbował uwierzyć, że byli zmuszeni do tego, co robią, miał jednak poważne wątpliwości. Czy musieli to robić w taki sposób? Czy musiała to być tak brutalna rzeź?

Dlaczego zabijali nocą, wśród takiego larum, kiedy za dnia można było się ich pozbyć w spokoju?

Robert Neville czuł, jak zaciśnięte u jego boków pięści drżą. Nie podobał mu się ich wygląd, nie podobała mu się cała ta jatka, przeprowadzona z zadziwiającą systematycznością. Bardziej

przypominali gangsterów niż ludzi, których zmusiła do tego sytuacja. Na ich twarzach malował się wyraz występnego triumfu. W świetle reflektorów wydawały się blade i zacięte, w ich oczach czaiło się okrucieństwo.

Nagle przez ciało Neville'a przebiegł gwałtowny dreszcz, gdy zrodziło się w nim pytanie: „A gdzie jest Cortman?” Oczy Neville'a przebiegły po całej ulicy, ale nie widział nigdzie Cortmana. Przycisnąwszy jeszcze mocniej twarz do wizjera, patrzył w jedną, to w drugą stronę ulicy. Nie chciał, żeby dopadli Cortmana.

Uświadomił sobie, że nie chciał, by skończyli z nim w taki sposób. Choć było to szokujące, uświadomił sobie, że solidaryzuje się z wampirami, a nie z ich oprawcami.

Owa siódemka leżała teraz w kałuży krwi, ich ciała poskręcane były w bezładnej masie. Światła reflektorów poruszały się wokół, rozdzierając ciemności nocy. Neville znowu odwrócił głowę, kiedy roziskrzony snop światła przemknął przed jego domem. Potem reflektor przesunął się dalej, a Neville popatrzył znowu.

Rozległ się krzyk. Oczy Neville'a powędrowały w oświetlone miejsce.

Zesztywniał.

Na dachu domu po przeciwnej stronie ulicy stał Cortman. Wspinał

się po dachu do komina, całym ciałem przylegając płasko do dachówek.

Nagle przyszło Neville'owi do głowy, że główną kryjówką Cortmana mógł być właśnie komin. Myśl ta doprowadziła go niemal do rozpaczy.

Zacisnął mocno wargi. Dlaczego dokładniej nie szukał Cortmana? Nie mógł nic poradzić na przyprawiające o mdłości obawy, które ogarniały go na myśl, że Cortman zostanie zabity przez tych okrutnych przybyszy. Z

obiektywnego punktu widzenia nie miało to sensu, ale nie mógł

powstrzymać takiego odczucia. Skończenie z Cortmanem nie należało do nich.

Nic jednak nie można było zrobić.

Smutnymi, umęczonymi oczyma patrzył, jak w skupionym świetle reflektora wiło się ciało Cortmana. Przyglądał się białym rękóm, które powolnymi ruchami sięgały ku poręczom. Cortman robił to tak wolno, jakby cały czas aż do skończenia świata należał do niego. „Pospiesz się!” -

powstały w nim słowa, których nie wypowiedział. Wprost czuł, jak napinają się mięśnie, gdy patrzył na powolne, udręczone ruchy Cortmana.

Nikt nie krzyczał, nie wydawał rozkazów. Podnieśli strzelby i noc rozdarł otwarty ogień.

Neville niemal czuł w swoim ciele uderzenia kul. Ogarnęły go spazmatyczne skurcze, kiedy patrzył, jak postacią Cortmana targają kolejne strzały.

Cortman nadal czołgał się, widać było jego białą twarz i zgrzytające zęby, „Oto koniec Olivera Hardy'ego” - pomyślał - śmierć całej komedii, koniec śmiechu. Nie słyszał już strzelaniny, która nie ustawała na zewnątrz. Nawet nie czuł, że po policzkach spływały mu łzy. Jego wzrok przykuty był do niezdarnej postaci swego starego kompana posuwającego się centymetr po centymetrze w górę jasno oświetlonego dachu.

Cortman podniósł się na kolana i konwulsyjnym ruchem uchwycił

palcami krawędź komina. Jego ciało zachwiało się, gdy padły kolejne strzały. Ciemne oczy gapiły się w oślepiające światło, usta były wykrzywione jakimś bezgłośnym warczeniem.

Za chwilę stał już przy kominie; twarz Neville'a zrobiła się blada i napięta, kiedy przyglądał się, jak tamten podnosi prawą nogę.

I wtedy jak potężny młot odezwała się broń maszynowa, szpikując ołowiem ciało Cortmana. Przez chwilę wyprostował się i stał w gorącym strumieniu kul, jego drżące ręce wzniesione były wysoko ponad głowę. Na jego twarzy, oprócz bladości, widać było grymas wojowniczej przekory.

- Ben! - Neville wymamrotał chrapliwym szeptem.

Ciało Cortmana zgięło się wpół, przechyliło i upadło. Ślizgało się i przewracało wolno po pochyłości dachu, blisko poręczy, po czym, spadając z dachu, upadło. W ciszy, która nagle zapanowała, Neville usłyszał głuchy odgłos uderzenia o chodnik z przeciwległej strony ulicy.

Szklanym wzrokiem przyglądał się, jak do wijącego się ciała dobiegają mężczyźni z pikami.

Potem Neville zamknął oczy, a paznokcie odcisnęły głębokie ślady w jego dłoniach.

Na zewnątrz rozległy się kroki. Neville gwałtownie wycofał się w ciemność. Stał tak na środku pokoju, czekając, aż go zawołają i każą mu wyjść na zewnątrz. Był nieugięty. „Nie będę walczyć” - powiedział sobie stanowczo. Mimo tego, że chciał walczyć, mimo tego, że już odczuwał

nienawiść do odzianych w czerń przybyszów ze splamionymi krwią pikami.

Nie zamierzał walczyć. Dokładnie przemyślał tę decyzję. Robili to, co musieli zrobić, choć czynili to z niepotrzebnym okrucieństwem i widocznym upodobaniem. Ponieważ sam ich zabijał, musieli go pojmać, aby ratować samych siebie. Nie zamierzał się bronić. Odda się w ręce sprawiedliwości ich nowego społeczeństwa. Kiedy go zawołają, wyjdzie i podda się; taka była jego decyzja.

Ale nikt nie zawołał. Neville cofnął się nagle, chwytając w płuca powietrze, kiedy ostrze siekiery wbiło się głęboko w drzwi wejściowe. Stał

w dużym pokoju, trzęsąc się w mroku.

„Co oni mają zamiar zrobić? Dlaczego nie wzywają go, aby się poddał? Przecież nie jest wampirem, jest człowiekiem tak, jak oni! Co mają zamiar zrobić?”

Nagle odwrócił się i skierował wzrok do kuchni. Rozbijali siekierami także tylne drzwi. Nerwowo zrobił krok w kierunku holu. Jego przerażony wzrok wędrował to na wejściowe drzwi, to na tylne. Czuł, jak waliło mu serce. Nic nie rozumiał! Nie rozumiał tego!

Jęknął zaskoczony, kiedy jego domem zaczęły wstrząsać strzały.

Próbowali przestrzelić zamek u drzwi wejściowych. Kolejny strzał zadźwięczał w jego uszach.

I nagle olśniła go myśl. Wcale nie zamierzają wziąć go przed swój trybunał sprawiedliwości. Zamierzają go zniszczyć.

Mruknął z przerażeniem i pobiegł do sypialni. Jego ręce sięgnęły do szuflady biurka.

Wyprostował się na drżących nogach, trzymając w rękach pistolety.

A jeśli *chcą* pojmać go jako więźnia? Wyciągał wnioski jedynie na podstawie tego, że nikt go nie wzywa do wyjścia. W domu nie świeciło się światło, a może myślą, że już stąd uciekł?

Stał drżący w ciemnościach sypialni, nie bardzo wiedząc, co ma dalej; robić. Z gardła dobywało się jakieś przerażone mamrotanie.

Dlaczego nie ratował się ucieczką! Dlaczego jej nie posłuchał i nie uciekał!

Głupiec!

Jeden z pistoletów wypadł z bezwładnych palców, kiedy wyważyli drzwi wejściowe. Odgłos ciężkich kroków dobiegał już z dużego pokoju, a Neville cofnął się, trzymając w odrętwiałej dłoni drugi pistolet. „O, nie dam się zabić bez walki!”

Westchnął, natknąwszy się na ławę. Stał tam w napięciu. W pokoju, który był bliżej wyjścia, jeden z mężczyzn powiedział coś, czego Neville nie zrozumiał. Potem światło latarek rozbłysło w holu. Neville wciągnął

powietrze. „A więc to jest koniec” - była to jedyna rzecz, jaka przyszła mu do głowy - „to jest koniec.”

Ciężkie kroki rozległy się w holu. Palce Neville'a zacisnęły się mocniej na pistolecie. Jego oczy z wyrazem dzikiego przerażenia wpatrywały się w wejście.

Pojawiło się w nim dwóch mężczyzn.

Jasne światło ich latarek zaczęło błyskać po całej sypialni, wreszcie uderzyło jego twarz. Mężczyźni

cofnęli się gwałtownie.

- Ma pistolet! - krzyknął jeden z nich i wystrzelił ze swojej broni.

Neville usłyszał uderzenie kuli w ścianę ponad głową. Potem pistoletem, który trzymał w swojej dłoni, szarpnęło kilka razy, a na jego twarzy rozpryskiwało się światło latarek. Nie celował w żadną ze stojących tam postaci, po prostu automatycznie pociągał za spust. Jeden z nich zaczął krzyczeć z bólu.

Potem Neville poczuł na piersi gwałtowny cios. Zachwiał się w tył.

Podcięło go, palący ból eksplodował w jego ciele. Potem runął na kolana, z rąk wypadł mu pistolet.

- Bierz go! - usłyszał za sobą czyjś krzyk, kiedy upadał na twarz.

Próbował jeszcze sięgnąć po pistolet, ale czarny but stanął na jego ręce. Z

drzeniem wciągnął powietrze i cofnął rękę, patrząc na podłogę oczyma zamglonymi przez ból.

Czyjeś szorstkie ręce ujęły go pod pachy i zaczęły ciągnąć w górę.

Cały czas zastanawiał się, kiedy nastąpią kolejne ciosy. „Virge” - pomyślał

- „Virge”. Idę teraz do ciebie. W piersi czuł taki ból, jakby ktoś z dużej wysokości lał na jego ciało roztopiony ołów. Słyszał i czuł, jak czubki jego butów trą o podłogę. Czekał na śmierć. „Chcę umrzeć we własnym domu”

- pomyślał. Stawiał jakiś nieznaczný opór, ale to im nie przeszkadzało.

Kiedy ciągnęli go przez pokój najbliższy drzwi wejściowych, czuł w piersi rozdzierający ból, jakby przesuwano się po nim ostrze piły.

- Nie - jęknął - nie.

Wzbierający w piersi ból przesunął się do mózgu. Wszystko wokół

zawirowało i osunęło się w ciemność.

- Virge - wymamrotał zachrypłym szeptem.

Ludzie w czerni wyciągnęli jego pozbawione życia ciało z domu.

Wciągali je w noc. Zabierali w świat, który należał do nich, który nie był już jego własnością.

Rozdział 21

Szum; delikatny szelest w powietrzu. Robert Neville zakaszlał lekko, potem na jego twarzy pojawił się grymas, kiedy ból wypełnił jego pierś.

Bełkotliwy jęk przemknął przez jego usta, a głowa opadła lekko na płaską poduszkę. Szum stawał się coraz bardziej intensywny, stał się huczącą mieszaniną dźwięków. Powoli zaczął ku sobie przyciągać ręce, leżące bezwładnie po obu stronach tułowia. „Dlaczego nie zabrali tego ognia z jego piersi?” Czuł, jak rozżarzone węgle wpadają do wnętrza jego ciała.

Kolejny jęk pełen udręki wykrzywił jego szarzejące wargi. Potem zadrżały powieki i otworzył oczy. Przez całą minutę, nie zmrużywszy ani razu oczu wpatrywał się w nierówny gipsowy sufit. Ból w klatce piersiowej wzbierał

i nabrzmiewał w niekończącym się rytmie pulsu. Jego twarz zastygła jak maska, na której rysowało się zmaganie z bólem. Gdyby choć przez chwilę rozluźnił się, ból opanowałby go całkowicie, bez przerwy więc trzeba było z nim walczyć. Przez kilka pierwszych chwil pochłonięty go całkowicie zmagania z bólem, odczuwał coś w rodzaju zadawanych rozgrzanym ostrzem ciosów. Potem dopiero jego umysł zaczął funkcjonować, trochę jak rozkręcająca się maszyna, z początku niepewnie, co chwilę przystając, to znów ruszając ze zgrzytem obracających się trybów.

„Gdzie jestem?” - to była jego pierwsza myśl. Ból był nie do zniesienia. Popatrzył niżej, na swoją pierś. Była cała zabandażowana szerokim opatrunkiem, na środku którego niespokojnymi ruchami unosiła się i opadała duża, wilgotna plama czerwieni. Zamknąwszy oczy przełknął ślinę. „Jestem ranny” - pomyślał. - „Zostałem ciężko ranny.” W

gardle i ustach odczuwał suchość, jakby ktoś zasypał je pudrem. „Gdzie jestem? Co ja tu...

I wtedy przypomniał sobie ludzi odzianych w czerń, którzy zaatakowali jego dom. Zorientował się, gdzie jest, już nawet przed tym, jak powolnym ruchem z bólem odwrócił głowę i zobaczył po drugiej stronie niewielkiego pomieszczenia zakratowane okna. Patrzył na nie przez dłuższą chwilę z zaciśniętymi zębami, mięśnie twarzy miał mocno napięte. Z zewnątrz dochodziły różne dźwięki - jakieś szuranie, jakieś za-mieszanie.

Pozwolił, by głowa bezwładnie upadła na poduszkę i leżał tak, patrząc w sufit. Trudno mu było pojąć to, co widział wokół. Ponad trzy lata spędził w domu w samotności. A oto teraz coś takiego.

Nie sposób jednak było poddawać w wątpliwość ostry, przeszywający ból w piersi, nie można było wątpić w to, że wilgotna, czerwona plama na bandażach stawała się coraz większa. Zamknął oczy.

„Umieram” - pomyślał.

Starł się to wszystko zrozumieć. Nie potrafił. Mimo tego, że przez te wszystkie lata śmierć była dla niego codziennością, że po cienkiej linie samotnej egzystencji stąpał ponad bezkresną przepaścią śmierci, mimo tego wszystkiego nie rozumiał śmierci. Jego własna śmierć była nadal czymś, co nie mieściło mu się w głowie.

Leżał na plecach, kiedy otworzyły się drzwi. Nie mógł się odwrócić, sprawiłoby to zbyt wielki ból.

Leżał i wsłuchiwał się w kroki. Zbliżyły się do łóżka, nagle zatrzymały się. Spojrzał w górę, ale w zasięgu jego wzroku nie było nikogo: „Oto mój kat” - pomyślał - „sprawiedliwość nowego społeczeństwa.” Zamknąwszy oczy, czekał.

Znowu usłyszał kroki, wiedział, że ktoś stał przy łóżku. Próbował przełknąć ślinę, ale w gardle miał zupełnie sucho. Jego język przesuwiał się po wargach.

- Chcesz coś do picia?

Znów podniósł wzrok do góry. Kiedy ją zobaczył, jego serce zaczęło bić mocniej. Szybciej płynąca krew spowodowała eksplozję bólu, który przez chwilę zawładnął jego umysłem. Nie umiał powstrzymać jęku udręczenia. Odwrócił głowę na poduszce, zagryzł wargi, jego dłoń zaciskała się gorączkowo na prześcieradle. Czerwona plama stawała się coraz większa.

Kłęcząca teraz przy nim, ocierała pot z jego czoła delikatnymi dotknięciami, wilgotną, chłodną chustką zwilżała jego wargi. Ból zaczął

powoli ustępować i w jego polu widzenia wyostrzyła się jej twarz. Neville leżał nieruchomo, wpatrywał się w nią obolałymi oczyma.

- No i co? - zaczął.

Nic nie powiedziała. Podniosła się i usiadła na brzegu łóżka. Znów delikatnym ruchem otarła jego czoło. Potem sięgnęła ponad jego głowę i usłyszał, jak nalewała wodę do szklanki.

Kiedy nieco uniosła mu głowę, aby mógł pić, poczuł, jakby ktoś wbijał mu w ciało brzytwy. „To właśnie musieli czuć, kiedy przebijały ich piki” - pomyślał - „Uzucie nacinania, ukąszenia, udręka utraty krwi, płynu życia.”

Głowa opadła mu ponownie na poduszkę.

- Dziękuję - wymamrotał.

Siedziała i patrzyła na niego, a na jej twarzy rysował się jakiś osobliwy wyraz współczucia połączonego z obojętnością. Jej rudawe włosy zaczesane były gładko i spięte w kucyk z tyłu głowy. Wyglądała bardzo schludnie, była opanowana.

- Nie uwierzyłeś mi, prawda? - powiedziała.

Lekki kaszel wydał jego policzki. Otworzył usta i wciągnął w płuca wilgotne, poranne powietrze.

- U... uwierzyłem - odparł.

- To dlaczego nie uciekłeś?

Usiłował coś mówić, ale z ust wydobył się jedynie bełkot. Jego gardło poruszyło się i znowu wciągnął z drżeniem powietrze.

- Nie... nie mogłem - wymamrotał - próbowałem uciekać wiele razy.

Któregoś dnia nawet byłem już spakowany i... i wyruszyłem. Ale nie potrafiłem, nie mogłem... opuścić domu. Zbyt byłem do niego ...

przyzwyczajony. To był już mój nawyk, nawyk mieszkania w tym domu...

tak, jak ktoś przyzwyczajony jest do tego, że żyje.

Przebiegła wzrokiem po jego lśniącej od potu twarzy. Zaciskając wargi, otarła pot z jego czoła.

- Teraz już za późno - powiedziała po chwili. - Wiesz o tym, prawda?

Przełknął głośno ślinę.

- Wiem - odparł.

Próbował się uśmiechnąć, ale tylko drgnęły mu wargi.

- Dlaczego wdałeś się w walkę z nimi? - powiedziała. - Mieli rozkaz, aby cię dostarczyć całego i zdrowego. Gdybyś nie otworzył do nich ognia, nie zraniliby cię.

Jego gardło ścisnęło się.

- Jaka... różnica - wciągnął z trudem powietrze. Zamknął oczy i zacisnął mocno zęby, aby odeprzeć falę bólu. Kiedy na powrót podniósł

powieki, nadal siedziała przy nim. Wyraz jej twarzy nie zmienił się. Na jego twarzy pojawił się nieznaczny, udręczony uśmiech.

- Wasze... wasze społeczeństwo jest... z pewnością wspaniałe -

powiedział, wciągając powietrze. - Kim są ci... ci gangsterzy, którzy po mnie przyszli? Wasze zgromadzenie sprawiedliwości?

Patrzyła beznamiętnym wzrokiem. „Zmieniła się” - przyszło mu nagie do głowy.

- Nowe społeczeństwa są zawsze prymitywne - odparła - powinieneś o tym wiedzieć. W pewnym sensie jesteśmy grupą rewolucjonistów, którzy przemocą biorą we władanie społeczeństwo. To nieuniknione.

Przemoc nie jest ci obca. Sam zabijałeś. I to wiele razy.

- Tylko po to... po to, żeby przetrwać.

- Dokładnie z tego samego powodu my zabijamy - powiedziała spokojnym tonem - aby przetrwać. Nie możemy pozwolić na to, aby umarli istnieli obok żywych. Ich umysły nie funkcjonują normalnie. Oni istnieją jedynie dla jednego celu. Należy ich unicestwić. Powinieneś wiedzieć o tym jako ten, który niszczył umarłych i żywych.

Jego głęboki oddech boleśnie szarpnął jego ciałem. Jego oczy pociemniały od bólu, cały dygotał, cierpiąc. „To musi się już wkrótce skończyć” - pomyślał. - „Nie można tego już dłużej znieść.” Nie, śmierć go nie przerażała. Nie rozumiał jej, ale też się jej nie obawiał.

Fala bólu cofnęła się, a wraz z nią odeszła z oczu mgła. Popatrzył na jej spokojną twarz.

- Mam taką nadzieję - powiedział - ale... czy widziałaś ich twarze, kiedy... kiedy zabijali? - poczuł skurcz w gardle. - Jedna radość.

Na jej ustach błąkał się lekki, nieokreślony uśmiech.

„Zmieniła się” - pomyślał - „zupełnie się zmieniła.”

- Czy kiedykolwiek widziałeś swoją twarz, kiedy zabijałeś? - spytała, ocierając delikatnym ruchem pot z jego czoła. - Ja widziałam twoją -

pamiętasz? Była przerażająca. Nawet nie zabijałeś wtedy. Ścigałeś mnie.

Zamknął oczy. „Dlaczego ja ją słucham?” - pomyślał. - „Bezmyślna neofitka, nawrócona na nowy system przemocy.”

- Być może dostrzegłeś upodobanie na ich twarzach - powiedziała -

nic w tym dziwnego, są młodzi. I są zabójcami. Zabójcami z urzędu, zabójcami działającymi zgodnie z prawem. Darzy się ich za wykonywanie ich zadań szacunkiem, podziwia się ich. Czego ty od nich oczekujesz? Są tylko ludźmi, mogą błędzić. A ludzie mogą się nauczyć upodobania w zabijaniu. To sprawa stara jak świat. Wiesz o tym, Neville.

Popatrzył na nią, podnosząc wzrok. Na jej twarzy zobaczył

wymuszony uśmiech kobiety, która ponad swoją kobiecość przedkładała dobro sprawy.

- Robert Neville - powiedziała - ostatni przedstawiciel starej rasy.

Jego twarz stężała.

- Ostatni? - wymamrotał, ześlizgując się w otchłań samotności.

- Z tego, co nam wiadomo - powiedziała zdawkowo - jesteś osobnikiem zupełnie wyjątkowym. Wiesz, kiedy cię nie będzie, nie pozostanie nikt podobny do ciebie w naszym społeczeństwie.

Spojrzał w kierunku okna.

- Tamci... na zewnątrz... to ludzie - powiedział.

Skinęła głową.

- Czekają.

- Na moją śmierć?

- Na twoją egzekucję - powiedziała.

Poczuł skurcz mięśni, kiedy na nią spojrział.

- Lepiej pospieszcie się - powiedział głosem pozbawionym strachu, w którym zabrzmiał szorstki ton buntu.

Przez dłuższą chwilę patrzyli na siebie. Potem wydawało się, że coś w niej pękło. Na jej twarzy pojawiło się zakłopotanie.

- Spodziewałam się tego - powiedziała delikatnym głosem. -

Spodziewałam się, że nie będziesz się bać.

Powodowana jakimś impulsem położyła rękę na jego dłoni.

- Kiedy pierwszy raz dowiedziałam się, że dostali rozkaz pójścia do twojego domu, chciałam tam iść, by cię ostrzec, ale potem przyszło mi do głowy, że jeśli jeszcze tam jesteś, już nic nie skłoni cię do ucieczki. Kiedy przynieśli cię tutaj, chciałam pomóc ci uciec, ale powiedzieli mi, że jesteś postrzelony. Wiedziałam, że w takim przypadku ucieczka jest niemożliwa.

Przez jego usta przemknął uśmiech.

- Cieszę się, że się nie obawiasz - powiedziała. - Jesteś bardzo odważny. - Jej głos zrobił się bardzo czuły. - Robert.

Zapanowała cisza, czuł, jak jej ręka zaciska się na jego dłoni.

- Jak to jest, że mogłaś tu wejść? - zapytał po chwili.

- W nowym społeczeństwie pełnię funkcję oficera - powiedziała.

Jego dłoń poruszyła się pod jej uściskiem.

- Nie... pozwól... - zachłysnął się krwią. - Nie pozwól..., żeby to wszystko stało... stało się zbyt brutalne. Tak nieludzkie.

- Co ja mogę... - zaczęła mówić, po czym przerwała.

Uśmiechnęła się do niego.

- Spróbuję - powiedziała.

Nie mógł dalej mówić. Coraz bardziej dokuczał mu ból. Wił się i miotał jak złapane w sidła zwierzę.

Ruth pochyliła się nad nim.

- Robert - powiedziała - posłuchaj mnie. Oni mają zamiar wykonać na tobie egzekucję. Mimo tego, że jesteś ranny. Muszą to zrobić. Ludzie stali tam przez całą noc, czekali. Przerażasz ich, nienawidzą cię. Chcą twojego życia.

Pospiesznym ruchem podniosła rękę i rozpięła bluzkę. Sięgając pod biustonosz, wyjęła niewielkie zawiniątko i wcisnęła je do jego prawej dłoni.

- To wszystko, co mogę zrobić, żeby było ci lżej - wyszeptała. -

Ostrzegałam cię. *Mówiłam* ci, żebyś uciekał - tu jej głos załamał się nieco

- nie dasz rady stawić czoła tak wielu, Robert.

- Wiem - słowa uwięzły mu w gardle.

Przez chwilę stała nad jego łóżkiem, a na jej twarzy rysowało się prawdziwe współczucie. „Na początku wszystko było pozą” - pomyślał -

„to, że tu przysła, mówiła takim oficjalnym tonem. Bała się być sobą. To jestem w stanie zrozumieć.”

Ruth pochyliła się nad nim, a jej chłodne wargi przyłgnęły mocno do jego warg.

- Wkrótce z nią będziesz - powiedziała szybko półgłosem.

Potem podniosła się, miała mocno zaciśnięte wargi. Zapięła dwa górne guziki swojej bluzki. Jeszcze przez moment spoglądała w dół na niego. Potem jej wzrok powędrował na jego prawą dłoń.

- Weź je prędko - szepnęła, po czym odwróciła się szybkim ruchem.

Słyszał jej oddalające się kroki. Potem drzwi zamknęły się, dało się słyszeć trzask przekręconego zamka. Zamknął oczy i czuł, że spod powiek spływają ciepłe łzy. „Żegnaj, Ruth.”

„Żegnaj, świecie.”

Potem nagle wciągnął powietrze. Zebrał się w sobie i z trudem zdołał usiąść. Przewycięzył przygniatający ból, który rozpałił się w jego piersi i usiłował powalić go z powrotem na łóżko. Zgrzytając zębami, stanął na nogi. Już niemal upadł, ale odzyskując równowagę, na chwiejących się nogach postąpił kilka kroków po podłodze.

Upadając złapał się okna i popatrzył na zewnątrz.

Było tam pełno ludzi. W szarym świetle poranka rozlegał się szum.

Tłum falował, jakby przestępując z nogi na nogę. Hałas przypominał

brzęczenie tysięcy owadów.

Popatrzył na stojący tłum, lewą ręką chwytając krat. Z jego palców odpłynęła krew, oczy błyszczały w gorączce.

Ktoś z nich go zobaczył.

Przez chwilę nasiliło się szemranie ich głosów, w chwilę potem rozległo się kilka przerażonych okrzyków.

Potem nagle zapanowała cisza, jakby znienacka na ich głowy spadła jakaś gigantyczna płachta. Ich pobladłe twarze skierowały się ku niemu.

On patrzył na nich. Do głowy przyszła mu myśl: „Teraz ja jestem tu nienormalny. Normalność jest bowiem pojęciem, które wyznacza większość, określają ją standardy większości, a nie standardy pojedyn-czego człowieka.”

Nagle świadomość ta jakby zlała się z tym, co widział na ich twarzach - grozą, strachem, przerażeniem. Wiedział, że się go *boją*. W ich oczach był jakimś potwornym dręczycielem, którego nigdy nie widzieli, a który przerażał ich bardziej niż choroba, z jaką przyszło im żyć. Był dla nich jakimś niewidzialnym upiorem pozostawiającym po sobie wykrwawione ciała ich najbliższych, które były jedynym dowodem jego istnienia. Rozumiał ich, wiedział, co czują i nie żywił względem nich nienawiści. Jego prawa dłoń zacisnęła się na zawiniątku z pigułkami. Nie żywił nienawiści przynajmniej dopóty, dopóki nie pomyślał o przemocy, z którą zabijali. O ile jego koniec nie będzie rzezią rozgrywającą się na ich oczach...

Robert Neville patrzył na zewnątrz, na nowych mieszkańców Ziemi.

Wiedział, że nie należy do nich, wiedział, że na równi z wampirami był dla nich przekleństwem, uosobieniem terroru, który trzeba było zniszczyć. I wtedy, niespodziewanie przyszło mu do głowy coś, co okazało się zabawne pomimo bólu.

Zduszony śmiech przechodzący w chichot wypełnił mu gardło.

Odwróciwszy się, oparł się o ścianę. Połykał pigułki. „Oto zamyka się koło” - pomyślał, gdy jego ciało pogrążało się w nieodwracalnym letargu.

Zamyka się koło. Kolejny, zrodzony ze śmierci strach. Następny przesąd przechodził do historii, wkraczał do wnętrza niezdobytej fortecy dziejów.

Jestem legendą.

Document Outline

- ??
 - ??
 - ??
 - ??
 - ??
 - ??

- ??
 - ??
 - ??
 - ??
 - ??
 - ??
 - ??
 - ??
 - ??
 - ??
 - ??

- ??
 - ??
 - ??
 - ??
 - ??
 - ??

- ??
 - ??
 - ??

Table of Contents

